

Wczesnym przedpołudniem przyszedł do mnie Leszek i razem poszliśmy do R.K.U. Od mego powrotu do Wilna chodziliśmy tam razem prawie codziennie z nadzieją, że w końcu nasze starania o wzięcie nas do wojska zostaną uwieńczone powodzeniem. Trudno nam było zrozumieć, tak jak i innym młodym ludziom natrętnie nachodzącym ten urząd, że mimo, że wojna toczy się od 2 tygodni stale słyszymy tą samą odpowiedź: "Proszę czekać na powołanie".

My nie chcieliśmy czekać, gdy wypadki biegły tak szybko. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jako studenci korzystający dotychczas z odroczenia służby wojskowej i mający za sobą jedynie przysposobienie wojskowe w gimnazjum, jesteśmy mało warci jako żołnierze, ale właśnie dlatego oczekiwaliśmy zmobilizowania nas, pospiesznego przeszkolenia i tak upragnionego skierowania na front. Skazani na bierność, buntowaliśmy się i szukali jakiegokolwiek możliwości dostania się do wojska, lecz jak dotychczas bezskutecznie.

W mieście nie czuło się zresztą wojny. Oczywiście obowiązywało zaciemnienie, na ulicach widziało się nieco więcej osób w mundurach, w kawiarniach leżały się i krążyły różne sensacyjne wiadomości i najbardziej bzdurne plotki, lecz praca biegła codziennym torem, sklepy były otwarte, ich zaopatrzenie takie same jak przed miesiącem, a ceny nie uległy zmianie. Oczywiście wszyscy rzucali się rano na gazety i śleczeli wiele godzin przed radioodbiornikami, ale nastrój był dobry i z wyjątkiem nielicznych pesymistów dla większości ludzi ostateczny wynik konfliktu wydawał się oczywisty, zwłaszcza od chwili, gdy Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę.

To, że nasze wojska cofały się pod naporem Niemców, a Warszawa była obleżona, w większym stopniu napawało nas wściekłością niż budziło niepokój i wątpliwości co do zdolności operu polskich armii. Nie dopuszczaliśmy myśli o klęsce i byliśmy głęboko przekonani, że w końcu

cu nastąpi zwrot w zmaganiach wojennych tak, jak we Francji w bitwie pod Marną czy w roku dwudziestym w czasie "cudu nad Wisłą".

Rezultat naszej dzisiejszej wizyty w RKU był dokładnie taki sam jak poprzednich - to znaczy żaden. Powoli traciliśmy nadzieję, że uda się nam dostać do wojska, a to nie poprawiało nam humoru. Nie wiedząc co począć z nadmiarem wolnego czasu, poszliśmy na piwo do "Zacisza", gdzie przysiadł się do nas któryś z uniwersyteckich kolegów Leszka, od którego dowiedzieliśmy się, że niejaki pułkownik Dąbrowski zbiera ochotników i organizuje oddział, który ma wkrótce wyruszyć na zachód do walki z Niemcami. Ów pułkownik, o istnieniu którego dowiedziałem się w "Zaciszu", miał za sobą chlubną kartę w wojnie 1920 roku, kiedy to na czele oddziału konnicy walczył z bolszewikami na Wileńszczyźnie i w Mińszczyźnie. Cieszył się opinią oficera bojowego i szalenie odważnego o cechach watałki, który woli chodzić własnymi drogami niż walczyć w oddziałach regularnej armii. Myśl, że możnaby dostać się do jego oddziału i gdzieś na tyłach wroga w zgoła Sienkiewiczowskiej scenerii dokonywać bohaterских czynów owładnęła nas obu bez reszty. Tak, to było to, czego szukaliśmy - przyгода, mocne męskie przeżycia oprómiennie w dodatku blaskiem walki za Ojczyznę.

Zaraz pojechaliśmy na Antokol, gdzie w koszarach obok kościoła św. Piotra i Pawła miał znajdować się punkt werbunkowy. Do koszar nie wpuszczono nas, ale na wartowni dowiedzieliśmy się, że nikogo od "Dąbrowskiego" już niema i polecono nam zjawić się jutro rano. Wracaliśmy do miasta nieco zawiedzeni, ale najważniejsze było to, że potwierdziła się wiadomość o organizującym się oddziale.

W domu Matka przyjęła moje rewelacje z pewnym sceptyzmem, ale mieszkający u nas od kilku tygodni kapitan, potwierdził wersję o organizowanym przez Dąbrowskiego ochotniczym oddziale. Kapitan ten, któremu na początku wojny Matka odstąpiła jeden z pokoi w naszym mieszkaniu, był dość tajemniczą figurą. Rzadko występował w mundurze a zwykle chodził ubrany po cywilnemu, nawet gdy szedł rano na służbę.

Był świetnie poinformowany o wszystkim, co się działo w mieście, wychodził i wracał o różnych porach dnia i nocy i podejrzewaliśmy, może bezpodstawnie, że pracował w II Oddziale.

Nazajutrz rano popędziliśmy z Leszkiem na Antokol. Tym razem wpuszczone nas do koszar, gdzie na obszernym dziedzińcu panował ożywiony ruch. Wokół niewielu osób wojskowych gromadziły się grupy cywilów, głównie młodzieży w gimnazjalnych mundurkach lub w drelichowych blukach przysposobienia wojskowego.

Panował rozgardiasz i wyczuwało się ogólne podniecenie - krążyły różne pogłoski, ale właściwie nikt nie wiedział, co będzie dalej. W końcu polecono nam ustawić się w dwuszeregu i po odliczeniu pojawił się przed nami oficer, który zakomunikował nam, że stanowimy załazek oddziału przeznaczonego do walki z Niemcami. Ci z nas, którzy zostaną uznani za zdolnych do służby wojskowej będą w przyspieszonym trybie przeszkoleni, a po złożeniu przysięgi dostaną broń i konie, a jedynie od nas zależy, kiedy staną się jednostką zdolną do działań bojowych.

Formowanie oddziału potrwa kilka dni i dopiero potem zostaniemy skoszarowani. Wszyscy ochotnicy zostaną zarejestrowani i będą mogli udać się do domu, ale następnego dnia muszą rano zjawić się w koszarach. Na pytanie oficera, kto na ochotnika zgłasza się do sporządzania spisu ochotników obaj z Leszkiem wystąpiliśmy i zostaliśmy wraz z kilku innymi wyznaczeni do tej roboty.

Wkrótce siedzieliśmy przy kilku stołach, a przed nami kolejno przesuwali się kandydaci na przyszłych bohaterów podając swe dane personalne. Tak to chlubną służbę dla Ojczyzny zaczęłem od papierkowej bazgraniny!

Koją kancelaryjną działalność przerwał narastający warkot nadlatujących samolotów i głuchoe odgłosy wybuchów. Wszyscy wypadliśmy z gmachu wiedzeni nie tyle obawą, co ciekawością. Stojąc w cieniu wielkich drzew rosnących przed koszarami obserwowałem niebo, po którym

wysoko sunęły małe sylwetki samolotów. To wtedy po raz pierwszy usłyszałem ten narastający dźwięk spadających bomb. Zanim zdążyłem się przestraszyć, powietrzem targnęła seria bliskich wybuchów i wzdłuż biegnącej pod górę ulicy wytrysnęły słupy ziemi i jakieś ciemne kształty zawirowały w powietrzu. Z drzewa, pod którym stałem, posypały się liście i drobne gałązki. Gdy w oddali zamierał dźwięk oddalających się samolotów, wokół rozległy się krzyki i wszyscy pobiegliśmy ku miejscu eksplozji. Z góry brzegiem ulicy z rozbitego rurociągu płynęła szeroka struga wody. W miejscu wybuchu pierwszej bomby widniała w jezdni płytka wyrwa, przy której gromadzili się podnieceni mieszkańcy sąsiednich domów. Okazało się, że cała seria bomb poszła wzdłuż ulicy wybuchając na jezdni i żaden z domów nie został poważnie uszkodzony, a co najważniejsze, nikt nie był nawet ranny. Wracając do koszar nieco zawiadziony, że nie dane mi było nikogo ratować lub wydobywać z gruzów, bo tak wtedy wyobrażałem sobie scenę po nalocie.

Przed wieczorem strumień zgłaszających się ochotników zmalał i zwolniona nas polecając stawić się w koszarach na jutro rano. Wracaliśmy z Leszkiem do domu smując plecy i próbując odgadnąć, jak ułoży się nasza wyprawa wojenna.

Nazajutrz, gdy po wczesnym śniadaniu wychodziłem z domu na schodach natknęłem się na kapitana, który wracał z miasta. Nawet nie odpowiedział na moje: "Dzień dobry", lecz złapał mnie za ramię i prawie wciągnął mnie z powrotem do przedpokoju.

-Bolszewicy nas zaatakowali!- powiedział nie patrząc na mnie - Rano przekroczyli granicę i biją się z naszymi z Kopu..

Oniemiałem. Gdy spojrzałem na kapitana, który w najwyższym zdenerwowaniu drżącymi rękami zapalał papierosa, zrozumiałem, że nie żartuje, że stało się coś strasznego, czego nikt się nie spodziewał.

- "Teraz to już koniec- głęboko zaciągnął się papierosem - teraz wszystko się zawali"-

Przypuszczał, że za jeden lub dwa dni Bolszewicy dotrą do Wilna, a co dalej będzie, nie wiadomo, ale należy spodziewać się najgorszego.

Co będzie tym najgorszym, nie wiedzieliśmy jeszcze, ale nie miałem złudzeń, że nadchodzi ciężkie czasy. Tu na Kresach były jeszcze świeże wspomnienia wojny dziewiętnastego i dwudziestego roku i pobyt Czerwonej Armii i Czerezwyczajki w naszym mieście. Przypomniały się opowiadania o rabunkach, aresztowaniach i śledztwach prowadzonych przez komunistów. Od najwcześniejszych lat wyrastałem w panującej w rodzinie i szkole atmosferze pogardliwej niechęci do Rosji Sowieckiej i wszystkiego, co wiązało się z komunizmem. Wprost nie mogłem dopuścić myśli o utracie niepodległości!

Wiadomość o wtargnięciu Bolszewików Matka przyjęła niespodziewanie spokojnie. Nie miała złudzeń co do następstw zaistniałej sytuacji i chyba zdawała sobie sprawę, że nasze dotychczasowe życie ulegnie całkowitej zmianie.

Nie rozpacziała, nie płakała i gdy oznajmiłem, że idę do koszar na Antokolu, prosiła mnie jedynie, abym niczego nie decydował pochopnie.

Wprost z domu popędziłem do Leszka, który mieszkał tuż za rogiem na ulicy Jasińskiego. Oczywiście nowiny, które przyniosłem, były dla niego i jego matki zaskoczeniem - w tym czasie chyba niewiele osób w mieście wiedziało, co się zdarzyło tego ranka.

Pani Szelałowska wpadła w rozpacz i długo musieliśmy ją uspakajać. W końcu zgodziła się, że Leszek pojedzie ze mną na Antokol. Zaklinała go jednak, aby wracał jak najprędzej - była straszliwie zdenerwowana i robiła wrażenie kompletnie bezradnej.

Na ulicy przekonaliśmy się, że miasto już wiedziało; ludzie stali w grupkach, omawiając najświeższe nowiny. Przygnębione twarze, łzy w oczach, pełne rozpaczny słowa. Gorączkowo wypytywano o wiadomości, starając się ze strzępów informacji odtworzyć przebieg wydarzeń. W autobusie, którym jechaliśmy na Antokol, jedni przeklinali, inni zastanawiali się, co będzie gdy OMI wejdą do miasta, jak

się zachować. Mówiono, aby robić zapasy, obawiano się represji i aresztowań. Klócono się, czy należy bronić miasta i podjąć nierówną walkę, czy też zachować się biernie. Takich, którzy chcieli walczyć, było niewielu - zdawano sobie sprawę z beznadziejności oporu.

Na dziedzińcu koszar zastaliśmy kilkadziesiąt osób - głównie młodzież, i niewielu wojskowych, przeważnie podoficerów. Żołnierzy prawie nie było, bo załogę koszar stanowili chyba rezerwiści, a oddziały regularne były na froncie. Panowało pewne zamieszanie i niepewność, co będzie dalej, choć wszyscy chcieli się bić, tylko niewiadomo z kim i pod którym dowództwem. Oczekiwano na broń, którą miano przywieźć z magazynów wojskowych. Jakiś porucznik, czy też kapitan próbował zaprowadzić porządek w tym bałaganie, podzielić ochotników na plutony i wyznaczyć dowódców, ale wszystko to szło dość nieskładnie. Odniosłem wrażenie, że nikt właściwie nie panuje nad sytuacją, a ponieważ ciągle zjawiali się nowi ludzie, zamieszanie potęgowało się z godziny na godzinę. Staraliśmy się trzymać z Leszkiem razem i dostaliśmy się do plutonu pod dowództwem wachmistrza, który budził nasze zaufanie swym zachowaniem i wyglądem. Nie był młodzikiem, przekroczył chyba pięćdziesiątkę. Średniego wzrostu, chudy, a właściwie żylasty, lekko przygarbiony, ubrany był w stary wyblakły mundur i spodnie "galife" obszyte od wewnątrz skórą. Na lewej ~~piersi~~ piersi miał kilka rzędów kolorowych baretek orderowych, a ~~z~~ spod zawadiacko zsuniętej na bakier furazerki z proporczykiem sterczał duży nochał. Poruszał się niespiesznie, silnie kiwając się na krzywych "kawaleryjskich" nogach. Mówił miękkim kresowym akcentem zaciągając z rosyjska, ale komendy przez niego wydawane podrywały ludzi jak smagnięcie biczem. Czulo się w nim starego, doświadczonego żołnierza i nam, żołnierzom, imponował ogromnie. Mówiono o nim - Bałachowiec.

Okolo południa pojawił się na dziedzińcu nowy oficer, który zarządził zbiórkę. Gdy w dwuszeregu niezbyt wyrównanym ustawiliśmy się wzdłuż trzech boków czworokąta, otaczając z trzech stron grupkę wojskowych, nowoprzybyły wystąpił i wygłosił przemówienie.

Przedstawił się jako rotmistrz Dąbrowski i oznajmił, że obejmuje nam nami dowództwo. Zdziwiło mnie to, bo spodziewałem się pułkownika Dąbrowskiego, a ten tutaj był zbyt młody i jakoś nie odpowiadał moim wyobrażeniom o żołnierzu wsławnym walkami z Bolszewikami w 1920 r. Niewielkiego wzrostu, w eleganckim mundurze i czapce z żółtym otokiem stał przed nami na lekko rozstawionych nogach, w błyszczących butach, z ostrogami i założywszy ręce do tyłu przemawiał krótkimi zdaniem, którym starał się nadać pozór zdecydowania i stanowczości. Wglądał na typowego oficera kawalerii i łatwiej go było wyobrazić na zawodach hipicznych na drepczącym niecierpliwie koniu niż czkapiącego w deszczu po błotnistej polnej drodze. Nie bardzo pamiętam treści jego wystąpienia, ale chyba było dość patetyczne i nastawione^{ne} na zagrożenie nas do walki.

Jedyną konkretną informacją było to, że weźmiemy udział w obronie miasta, a broń dostaniemy po południu, tu w tych koszarach. Mamy się tu zebrać ponownie /została wyznaczona godzina zbiórki/ a odcnie możemy rozjechać się; ci, którzy chcą, mogą udać się na ten wolny czas do miasta.

Przed opuszczeniem koszar dowiedziałem się jeszcze z rozmów z współtowarzyszami, że naszym dowódcą będzie jednak pułkownik Dąbrowski, który jest podobno przy innej grupie ochotników, z którą mamy się połączyć i razem ruszyć do walki. Wszystko to jednak przedstawiało się dość niejasno i przypuszczeniom i różnym pogłoskom nie było końca.

Wracając do domu zastanawialiśmy się z Leszkiem, co będzie dalej. Rodziło się wiele wątpliwości, czy tak zorganizowany oddział naprawdę będzie zdolny do walki.

Najbardziej niepokoił nas brak broni, która miała być dostarczona już rano, a dotychczas nie było jej ani śladu. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że to jest jedyna okazja, aby nie siedzieć z założonymi rękoma, gdy cały kraj stawia opór, czego w przyszłości żaden z nas

nie mógłby sobie wybaczyć. A poza tym, co tu ukrywać, to była prawdziwa przygoda, o której marzy większość młodych ludzi, a i głupio było teraz rezygnować, żeby nie wyjść na tchórza.

Moją ostateczną decyzję "wyruszenia w pole" Matka przyjęła ze ~~zami~~ zrozumieniem, choć napewno lepiej niż ja zdawała sobie sprawę z beznadziejności walki w tych warunkach. Niezależnie od tego, co czuła, sądzę, że nie mogła namawiać mnie na pozostanie w domu, bowiem byłoby to zaprzeczeniem tego wszystkiego, co starała mi się wpoić od dziecka - nadrzędności spraw ogółu nad interesem osobistym.

Gdy po obiedzie, przygotowany do wyruszenia, w długich butach zbyt eleganckich jak na wojaczkę czekałem niecierpliwie na Leszka, który miał wpaść po mnie, pojawił się Kapitan, który przyszedł po swoje rzeczy. Oznajmił, że musi zniknąć, bo nie może pozostać w Wilnie zajętym przez Bolszewików. Wiedząc o moich planach przed opuszczeniem mieszkania wręczył mi swą szablę i rewolwer z nabojami. Owa scena przekazania mi broni, mimo teatralno-humorystycznego wydźwięku, zrobiła na mnie pewne wrażenie; potraktowałem to zapewne jako zobowiązanie mnie przez żołnierza z 20 roku do kontynuowania walki z Bolszewikami, choć równocześnie ten Kapitan po cywilnemu znikający pokryjomy, nie miał nic w sobie z obrońcy Ojczyzny, jakiego mogłem się spodziewać na podstawie wszystkich lektur i opowiadań o ubiegłej wojnie. Niemniej rewolwer był rewolwerem i przy ogólnym braku broni podnosił mnie we własnych oczach, ale z oficerską szablą nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Jasne było, że nie mogłem zostawić jej w domu, więc postanowiłem zabrać ją do koszar - może się jednak do czegoś przyda?.

Zupełnie nie pamiętam mojego pożegnania z Matką - byłem chyba zbyt podniecony i ciekawy, co mnie czeka.

W parę godzin po tym, z szablą pod pachą i naganem wsuniętym za pasek spodni, zjawiłem się razem z Leszkiem na Antokolu.

Było już późne popołudnie, ciepłego pogodnego dnia wrześniowe-

go. Na podwórzu koszar stały grupki tych, którzy zdecydowali się wyjść naprzeciw bieżącym wypadkom; nie było nas wielu, coś około setki. Ciągłe czekano na obiecaną broń, ale ona wciąż nie nadchodziła. Dopiero przed wieczorem ta upragniona broń została dostarczona do koszar i tu nastąpiło srogie rozczerwanie.

Była to zbieranina jakichś starych karabinów, wśród których nie wielu szczęśliwcom udało się znaleźć kilka niemieckich mauserów z I wojny, do których pasowała polska amunicja. Resztę stanowiły przedwojenne rosyjskie i austriackie karabiny, a wśród nich było nawet kilka francuskich Lebeli i nawet jednostrzałowych berdańek.

Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie dotychczas zachował się ten śmiech i komu to mogło być potrzebne w normalnym przedwojennym czasie. Grzebiąc w stosie tych rupieci rozłożonych na drewnianych stołach znalazłem KBKS w dobrym stanie, przywleczony tu zapewne z jakiejś strzelnicy wojskowej lub szkolnej oraz kilka pudełek z amunicją typu "extra long", taką w jakiej w dzieciństwie używałem do mojego floweru polując na wrony, a potem na cietrzewie siedzące w czasie mrozów na wysokich brzozech. Pocięczałem się, że przynajmniej będę mógł celnie strzelać z tego małokalibrowego karabinka i liczyłem, że jeżeli trafię przeciwnika w odsłonięte miejsce z odległości jakiś 50 m, to odczuje to zapewne silniej niż ugryzienie komara. Moja broń była sprawna, lekka i poręczna i dysponowałem porządną ilością amunicji, którą poupychałem w kieszeniach pancerza. A ponadto miałem przecież swój nagan i ufałem, że naboje do niego nie sprawią mi zawodu. Leszek także wygrzebał coś do strzelania, choć dla wielu z nas zabrakło jakiegokolwiek broni. Ci zawiedzeni zastanawiali się wo zrobić; wielu z nich zrezygnowało i odeszło do domu, tak, że na podwórzu koszar zostało nas nie więcej niż 50-60 osób. Każdy oglądał to, co udało mu się pochwycić, manipulowane karabinami, wymieniano naboje i prawdziwy cud, że nikt nikogo nie postrzelił w tym rozgardiaszu.

O zmroku zarządzono zbiórkę, jeszcze raz podzielona nas na plutony i rotmistrz Dąbrowski zapowiedział, że idziemy zająć pozycje na skraju miasta, gdzie będziemy oczekiwać na bolszewików.

Uformowani w dość bezładną kolumnę ruszyliśmy ku północy miasta i już w kompletnych ciemnościach dotarliśmy na Śnipiszki, gdzie wg naszych przypuszczeń mieliśmy stawić czoło nadchodzącym oddziałom sowieckim. Maszerując po kocich łbach podmiejskich uliczek zastanawialiśmy się z Leszkiem, czy ta cała wojenna impreza ma jakikolwiek sens, lecz wbrew zdrowemu rozsądkowi brnęliśmy dalej, bo nie mogliśmy teraz wycofać się nie tracąc twarzy.

Oddział nasz, który w czasie marszu w ciemnościach porozbijał się na luźne grupki, zatrzymał się w końcu w małej uliczce. Przysiadliśmy na skraju chodników czekając na rozkazy i dyskutując zawzięcie i wtędy przekazano nam decyzję dowódcy, zgodnie z którą nie nawiązujemy walki w mieście, lecz opuszczamy Wilno i wyruszamy do Mejszagoły, gdzie gromadzą się nasze oddziały, aby mając zabezpieczone tyły granicą polsko-litewską stawić czoła bolszewikom lub przejść do walki partyzanckiej. Gdy padł rozkaz wymarszu, w drobny kapuśniaczku, który zaczął mrzyć z czarnego nieba, ruszyła przed siebie coraz to bardziej topniejąca gromada niedoszłych obrońców grodu Gedymina.

*chłope
18*
2 Tak właśnie 17 września roku Pańskiego 1939 około godziny jedenastej w nocy rozpocząłem swą wojnę z Hitlerem i Stalinem zbrojny w sportowy karabinek i nagan z kilkoma nabojami, w głębokim przekonaniu, że pakuję się w idiotyczną przygodę, która nęciła mnie jednak nieodparcie.

o - o

Koń wolno przestąpił z nogi na nogę i wyciągnął pysk do przodu, aby poluzować cugle. Siodło zaskrzypiało cicho, gdy poruszyłem się przytrzymując karabin oparty o ręk i moje prawe udo. W

gęstniejącym mroku coraz bardziej ciemniał las po prawej stronie drogi, przy której stałem na czujce, a horyzont odcinający niebo od pola rozciągającego się po lewej roztopił się w jednostajnej szarości. Wytężyłem wzrok starając się dojrzeć wszystko, co mogło zdarzyć się przede mną i nadśluchiwałem czujnie, ale wokół panowała cisza, tylko z tyłu dochodziły odgłosy wsi - porykiwanie bydła, szczekanie psa, skrzypienie wrót lub żurawia. Panował spokój nadciągającej nocy, lecz we mnie tliło się jeszcze podniecenie wywołane zdarzeniami kończącego się dnia i tym, że stałem na pierwszej warcie na straży oddziału biwakującego we wsi. Od chwili opuszczenia Wilna minęła zaledwie doba, a tyle się już zdarzyło.

Nasza wędrówka szosą mejszagolską przypominała raczej ucieczkę niż marsz oddziału wojskowego. Szliśmy dwójkami lub gęsiego skrajem szosy, gubiąc się w ciemnościach, a potem łącząc w większe grupy, początkowo ożywieni i rozgadani, a w miarę upływu nocy i narastania zmęczenia coraz bardziej milczący i zrezygnowani. Z ciemności rozświetlanej niekiedy światłem latarki lub przyciemnionych świateł dorożkarstwa wyruszały się grupy żołnierzy lub policji, wozy czymś wyładowane, rowerzyści lub ludzie prowadzący rowery obwieszane tłumokami.

W środku nocy minęło nas kilka dział ciągnionych przez konie, potem znowu wozy i ludzie pojedynczo i grupami. Czasem wybuchały kłótnie lub rozlegały się pojedyncze okrzyki, lecz w większości cały ten pochód odbywał się w milczeniu.

Gdy weszło słońce i zapanował jasny słoneczny poranek, byliśmy tak zmęczeni, że co kilka kilometrów przysiadaliśmy lub kładli na poboczu szosy. W czasie jednego z takich odpoczynków siedziałem oparty o słup telegraficzny w gronie kilku kolegów gapiąc się na łąkę, na której pasło się stado spętanych koni. I wtedy ktoś rzucił uwagę, że nam dobrze byłoby ruszyć w dalszą drogę konno. Szybko doszliśmy do wniosku, że pomysł jest dobry, a zrealizowanie go nie przedstawia większych trudności.

Koni nikt nie pilnował, a że stado należało zapewne do dworu, którego zabudowania widniały na płaskim wzgórzu za łąką, nie mieliśmy żadnych oporów. Byliśmy przekonani, że bolszewicy i tak je zabiorą, więc my ruszając do boju z nimi mamy pełne prawo wykorzystać konia do naszych szczytnych celów i ulżyć naszym zmęczonym nogom.

Nie bez pewnych trudności /większość przyszłych obrońców Ojczyzny było mieszcuchami/ każdy z nas złapał sobie chabotę i po zdjęciu pęt wgramolił się na swego wierzchowca.

Jako, że od dziecka miałem do czynienia z końmi i wiedziałem jaka to przyjemność jechać na oklep na chudzielcu ze sterzącym kościstym kłębem, wybrałem niewielkiego kragłego konika dziwnej szarobułanej maści bardziej stosownej dla osła niż konia. Zdjęte pęto założyłem mu na szyję i w trosce o wygodę mojej sempiterny z płaszczka złożonego w kilkoro zrobiłem coś w rodzaju czapraka. Tłukąc konia piętami, popędzając ułamaną witką i uderzając go po szyi otwartą dłonią, macując się z dyndającym mi na szyi karabinkiem i uważając, aby nagan nie wypadł mi z za pasa, w końcu zmusiłem chabotę do odłączenia się od stada i wspięcia na szosę.

Cała nasza gromada, budząca zainteresowanie i wywołująca kpiące uwagi mijanych uciekinierów skierowała się w kierunku Majszagoży. Leszek, chłop wysoki, wybrał sobie wielką, kościstą, siwą kołybę i już po kilku kilometrach zaczął się na niej wiercić i zmieniać co chwila pozycję, podczas gdy ja jechałem na tym osłobarwnym wążach w miarę wygodnie. W miarę przebytych kilometrów nabierałem do mego wierzchowca coraz więcej sympatii - dreptał spokojnie, posłuszny każdemu mojemu gestowi, potrząsając nieco zbyt wielkim łbem, aby odpędzić baki. Ponieważ maścią swą przypominał osła, nazwałem go w myślach "Magarac", co znaczy po serbsku osioł. Jeszcze trzy tygodnie temu wylegiwałem się na słońcu na kamienistym brzegu Adriatyku, a teraz oto tłukłem się na grzbiecie skradzionego konia

zbliżając się do litewskiej granicy.

Było już chyba południe, gdy wjechaliśmy do jakiejś wioski pełnej uciekinierów i wojska, w której natknęliśmy się na naszych wódzów. Polecili nam zleść z koni i czekać na resztę naszego oddziału. Konie wprowadziliśmy na podwórze jakiejś zagrody, a sami rozeszliśmy się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Kilku z nas zaprosił gospodyni i uraczyła gościnnie obiadem, za który nie chciała wziąć ani grosza. Mieliśmy szczęście, bo wieś była pełna obcych i wazyszy azukali pożywienia; mimo niewątpliwej pełnej współczucia gościnności gospodarzy nie zawsze można było coś dostać.

Po obiedzie rozłożyliśmy się na trawie odpoczywając po trudach nocy. W łagodnym ciepłe wrzeźniowego słońca ogarniała mnie nieprzwykła senność. Mimo gwaru na wiejskiej ulicy - zasnąłem. Wydawało mi się, że spałem krótką chwilę, gdy obudziło mnie potrząsanie i wołanie: "Eto wajcie!". Zbieramy się!"

Na wiejskiej ulicy za płotem krążyło wielu ludzi. Przeszali żołnierze - łazili pojedynczo, często bez broni w porozpinanych mandrach, lub stali w grupach dyskutując zawzięcie. Byli zakurzeni i wyraźnie zmęczeni, choć niektórzy podnieceni i gestykulujący. Przy płotach i pod drzewami dreptały przywiązane konie, a na naszym podwórzu kilku ukanów poilo z wiader swe rozciodżone wierzchowce. Na trawie i na okocie leżały siedła i zwisały kawaleryjskie płaszcze.

Obok zagrody zobaczyłem rozmawiających kilku jeźdźców, wśród których poznałem naszego wachmistrza Bałachowca, którego straciłem z oczu w czasie naszego nocnego marszu. Siedział na rosiym gniadoszi na pięknym, zupełnie nowym siodle, którego czaprak i olstra lśniły w słońcu jasną barwą skóry. Skąd wziął tego konia, kiedy z Wilna wyruszył razem z nami na piechotę? Kim byli pozostali kawalerzyści?

Gdy zbliżyliśmy się do tej grupy, okazało się, że kilku podchorążych dołączyło do rotmistrza Dąbrowskiego, bo ich oddziały składają broń, a żołnierze albo wracają do domu albo przechodzą na Litwę razem z oficerami, oni zaś chcą dalej walczyć. Nasz wachmistrz polecił nam

abyśmy postarali się o broń i wierzchowce, a potem przybyli na zbiór-
kę oddziału na wygnie ze wsią. Mieliśmy o tym powiadomić wszyst-
kich spotkanych ochotników do partyzantki. Łatwo było powiedzieć, ale
jak to zrobić? Po krótkiej naradzie podzieliliśmy się na dwójki/ję
z Leszkiem/ i ruszyliśmy na poszukiwanie, zostawiając nasze do-
tychczasowe "wintówki" w chacie, mimo protestu naszych gospodarzy.

Zdobycie karabinów okazało się zupełnie łatwe. Między chatami
stały dwa działka, jaszczka i konie, a na skraju drogi karabiny sta-
towane w kozły. Pomędzy tym wszystkim kręcili się żołnierze, ale
jak się wydawało, byli zajęci swojemi sprawami i nie zwracali uwagi
na broń. Kiedy przekonaliśmy się z Leszkiem, że bezkarnie możemy
chodzić obok broni w odpowiednim momencie złapaliśmy każdy po 2
KIK i zwieźliśmy pomiędzy okotki. Nasza akcja przeszła zupełnie
niepostrzeżenie - nikt chyba nie zwrócił uwagi na zniknięcie kara-
binów, które przynieśliśmy do "naszej" zagrody, i ukryli w krza-
kach. Zachęceni tym powodzeniem zdobycie amunicji odłożyliśmy na
później i ruszyli na poszukiwanie koni.

W przeciwną stronę wsi upatrzyliśmy grupę osiodłanych koni
przywiązanych do płotu, których nikt nie pólnował. Weszliśmy po-
między wierzchowce i poklepując je po zadach i szyjach, rozgła-
dając się na wszystkie strony, zaczęliśmy odwiązywać je od płotu.
Leszek zdążył szybciej i już wyprowadzał swego konia na drogę, gdy
ja ciągle nie mogłem uporać się z zaciśniętym rzemieniem, bo mój
koń przestraszony cofał się napinając cugle. I wtedy z najbliż-
szej chaty wyskoczyło kilku szanów i przypadło do nas. Tamtożenie,
że chcieliśmy napić konie nie wiele nam pomogło i to, że nie dos-
taliśmy pomocy zewdzięczaliśmy interwencji jakiegoś oficera,
który szczerliwie się napotoczył. Tak więc próba zdobycia wierz-
chowców spaliła na panewce.

Idąc z powrotem wiejską ulicą doszedłem do wniosku, że mógłbym
jeździć na moim Magaracu, choć napewno nie był to wierzchowiec re-

prezentacyjny. Miał tą jednak zaletę, że nie był wysoki i łatwo się na niego wsiadało, a poza tym był spokojny, ale nie tępy. Zresztą budził moje zaufanie i poczulem do niego sympatię. Trzeba było jednak zdobyć siodło i uzdę.

Kawaleryjskie siodło skradłem z płotu i nie oglądając się za siebie popędziłem między jakieś chlewiki, a potem dotarłem z moją zdobyczą do naszego gospodarstwa od tyłu, od strony stodoły. Leszek wracał ulicą i był tam przede mną. Spotkał mnie z rozjaśnioną miną, bo okazało się, że na naszym podwórzu oprócz koni, na których przyjechaliśmy do wsi, są jeszcze 3 konie wojskowe pozostawione tu przez żołnierzy, którzy dość mają wojny i wracają do domu. Oczywiście były też siodła i uzdy, więc mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy oprócz amunicji, no i jakichś wojskowych mundurów lub przynajmniej płaszczy.

Gdy wkrótce potem wjeżdżaliśmy "kenne i zbrojnie" /ja na Magaracu/ na wygon wyznaczony na miejsce zbiórki, w skośnych promieniach schyłkowego słońca zobaczyłem kilkudziesięciu jeźdźców i grupkę pieszych kręcących się przy paru wozach, na których zwalone leżały karabiny, ładownice, pasy, płaszcze wojskowe, siodła i różnorodny ekwipunek żołnierski. To była zdobycz, która porzucona ~~zaskak~~ przez rozbrajających się żołnierzy regularnych oddziałów została zebrana we wsi przez naszych chłopców. Każdy mógł tu znaleźć to, czego mu było trzeba. Pas, ładownice z nabojami i kawaleryjski długi płaszcz uzupełniły mój wojenny ekwipunek, co na tyle podniosło mnie we własnych oczach, że zacząłem wierzyć, że teraz mogę zacząć wojować naprawdę.

Na łące znajdowało się także nasze dowództwo - rotmistrz Dąbrowski oraz kilku oficerów, a także grupa podoficerów i podchorążych, którzy dołączyli do oddziału. Był także nasz wachmistrz Bałachowiec. Tu dowiedziałem się, że Bałachowiec to nie jest, jak sądziłem, jego nazwisko lecz przyzwisko. W czasie wojny 1920 roku był żołnierzem ugrupowania generała Bałachowicza, formacji białoruskiej walczącej z bolszewikami po stronie polskiej. Po wojnie wielu jego żołnierzy służyło w naszym

wojaku.

Do zachodu słońca na łące trwał ożywiony ruch - przybywali nowi ochotnicy, wymieniano konie, formowano plutony, a mniej sprawnym jeźdźcom próbowano z różnym skutkiem wythumaczyć, jak się siodła konia, jak należy na niego wsiadać i że siedzenie na jego grzbiecie różni się nieco od siedzenia okrakiem na płocie. Zapewne nasi woźdzwie doszli w końcu do wniosku, że umiejętności jeździeckie i bojowe będziemy rozwijać w polu i zarządzili udanie się na nocleg, zapowiadając, że nazajutrz wyruszamy na zachód, aby dotrzeć do nadniemeńskich lasów.

Ustalono zasady służby wartowniczej, hasło i wyznaczono kolejność wart. Mnie udało się dostać na pierwszą turę i oto teraz tkwiłem tu na skraju lasu na Magaracu, wlepiając wzrok w ciemność, nadstawiając uszy na odgłosy płynące z różnych stron.

W pewnym momencie wydało mi się, że od strony pola dochodzą jakieś dźwięki, coś jakby odgłos kroków i szelest rżyska, po którym coś stąpa, ale niczego zrazu nie mogłem dojrzeć. Po chwili uchwyciłem jakby ciemniejszy zarys na tle pola; to coś zbliżało się wolno, przystając od czasu do czasu. Odbezpieczyłem karabin i oparłem go kolbą o udo. Właśnie chciałem zawołać: "Stój. Kto idzie?" gdy od pola dobiegło krótkie rżenie i z mroku wyłoniła się sylwetka konia - konia bez jeźdźcy. Magarac obrócił ku niemu łeb i zaszczygnął uszami. Koń zbliżył się i gdy był już ode mnie o kilka kroków, wyciągnął szyję, aby nas obwąchać. Magarac prychnął ostrzegawczo i zadreptał w miejscu. I wtedy nagle przybysz kwiknął, obrócił się zadem i wyrzucił kopytami mego wierzchowca w bok, trafiając mnie w lewą nogę tuż nad kostką. Szarpnąłem sugłami, karabin niemal nie wypadł mi z rąk, a przejmujący tępy ból obezwładnił mi nogę. Pochylony nad szyją kręcącego się w miejscu Magaraca macałem lewą ręką bezwładną nogę, nieomal przekonany, że to przeklęte bydlę złamało mi kość. Było mi słabo i wyężyłem wszystkie siły, aby

nie zlecieć z konia. Gdy po paru minutach ból zleżał, poruszyłem nogą i stwierdziłem, że mogę ją zginać w kolanie, ale każdy ruch stopy jest bardzo bolesny. Czułem jak noga mi puchnie, a cholewa długiego buta staje się coraz bardziej ciasna.

Byłem wściekły. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli mam zlaną nogę, to wszystkie moje plany biorą w łeb i moja wojaczka kończy się niesławnie, zanim się zaczęła.

Z obolałą nogą, w ponurym nastroju, doczekałem na posterunku do końca warty. Gdy mnie zmieniono i znalazłem się w wiosce z trudem zlałem z konia, lecz nie byłem w stanie chodzić. Prawie wszyscy już spali po chatach i stodołach, ale któryś z kręcących się po podwórzu kolegów zlitował się nade mną, rezsiedział, napił i zaprowadził do stodoły Magarata, a mnie umieścił na sianie na klepsku obok nego wierzchowca. Kiałem ochotę jak najprędzej zdjąć but, ale zdałem sobie sprawę, że rano nogę go nie włożyć na spuchniętą nogę, więc zdecydowałem się spać obuty. Parszywa to była noc!

Tępy ból nie bardzo pozwalał mi zasnąć, a gdy zapadałem w drzemkę, wydawało mi się, że depezą mnie konie i budziłem się przerażony. Leżąc w ciemności obok koni żujących siano, podzwaniających uzdami, uderzających kopytami w klepsko, wśluchiwałem się w nocne odgłosy pełen najczarniejszych myśli.

Gdy rano zaczął się we wsł ruch, pojawił się Leszek i zaopiekował się mną serdecznie. Przy jego pomocy kuśtykając przebrnąłem przez wszystkie przygotowania do wyruszenia oddziału i w końcu znalazłem się w siodle w azaragu. Mimo dobrych rad i mamów kolegów byłem zdecydowany nie porzucić oddziału, bo doszedłem do wniosku, że nie mam zlananej nogi, lecz, że to tylko mocne stłuczenie, którego skutki miną po kilku dniach. Skrótłem lewe puśliko i wsunęłem głęboko nogę w strzemię, dzięki czemu dość pewnie czułem się w siodle, choć wyglądałem zapewne pokraccnie.

W piękne słoneczne przedpołudnie oddział nasz uformowany w dwój-

ki ze szperaczami na czele i dwoma wozami z tyłu pożegnał gościnną wieś i zamurzył się w leśną drogę.

Dziś, gdy piszę te słowa, nie jestem w stanie odtworzyć ani trasy, którą przebyliśmy w następnych dniach, ani nazw mijanych przez nas miejscowości. Nie pamiętam kolejności zdarzeń, nazwisk naszych dowódców i moich kolegów. Z mroku wyłaniają się jedynie pojedyncze fakty, niekiedy drobne i bez znaczenia, pojedynczy ludzie oraz sceny, które działaniem niewiadomo jakiego mechanizmu mojej świadomości utrwaliły się w pamięci.

Zapewne przyczyną tego było podobieństwo dni i nocy naszego marszu ku Niemcu. Unikaliśmy zetknięcia się z wrogiem, o którego obecności w okolicy dowiadujemy się od miejscowej ludności - wystraszonej i niepewnej, lecz w większości nam życzliwej i gotowej do pomocy. Nie odmawiano nam żywności ani siana i obroku dla koni i nigdy nie mieliśmy trudności ze znalezieniem przewodników, którzy przeprowadzali nasz oddział bocznymi drogami pomiędzy większymi wioskami. Początkowo posuwaliśmy się w dzień, a noc spędzając w niewielkich wioskach, lecz po kilku dniach przeszliśmy na nocne marsze, a w dzień wypoczywaliśmy w lesie koło osad dostarczających nam żywności. Sprzyjała temu piękna pogoda - słoneczne ciepłe dni i rozgwieżdżone noce już po jesiennemu chłodne.

Początkowo noga dokuczala mi bardzo. Pół biedy kiedy posuwaliśmy się stępą, ale gdy oddział przechodził w kłus lub w galop musiałem trzymać się lęku, aby nie zlecieć i zaciskać zęby z bólu. Najgorzej jednak było, gdy padała komenda: „Z koni!” i wszyscy prowadzili swe wierzchowce, aby dać im nieco odpoczynku, a samym rozprostować kości. Wtedy albo udawało mi się przyjąć na jednym z naszych taborowych wozów, albo kuśtykałem i polskakiwałem na jednej nodze między dwoma kołmi prowadzonymi przez Leszka, trzymając się rękami za puśliaka dwóch siodeł. Na drugi lub trzeci dzień po tym wypadku zdecydowałem się na noc ściągnąć kut i wymoczyć spuchniętą

zielono-siną nogę w zimnej wodzie. Co za ulga!

Zato ponowne włożenie buta następnego ranka nie było przyjemną operacją. W końcu udało mi się go wciągnąć, ale na konia musiałem jeszcze przez szereg dni wsiadać z prawej strony. Na szczęście z każdym dniem było coraz lepiej i po tygodniu mogłem już chodzić, lekko jedynie utykając.

Raz zdarzył się wypadek świadczący o determinacji niektórych mieszkańców tej ziemi. W ciemną noc szperacze podjechali do samotnego gospodarstwa w głębi lasu i gdy jeden z nich zszedł z konia i zbliżał się do chaty, aby zasięgnąć języka, z okna buchnęły dwa strzały, na szczęście niecelne. Okazało się, że był to gajowy, który w ciemności wziął naszych żołnierzy za bolszewików i gotów bronić się do upadłego / w chacie była z nim żona i dzieci / wypalił do domniemanych napastników. Musiał zdawać sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, a jednak gotów był podjąć walkę. Tacy ludzie, o ile przetrwali, stanowili najcenniejszy materiał, z którego w przyszłości powstaną oddziały partyzanckie.

Noce stawały się coraz zimniejsze i błogosławilem wojskowy płaszcz, który chronił mnie od chłodu na koniu i służył za przykrycie w czasie snu na ziemi. Brak snu dokuczał nam nocne i często w czasie marszu wszyscy drzemali na koniach. Czasem zdarzało mi się zasnąć w siodło tak mocno, że dopiero uderzenie gałęzi lub potknięcie się Magaraca przywracało mi przytomność. Aby żołnierze zachowali czujność, co kilka kilometrów padała komenda "Z koni!" i każdy z nas brnął po piaszczystych zazwyczaj drogach z cugłami swego wierzchowca zarzuconymi na ramię i z ziębniętymi rękami wsuniętymi w rękawy płaszcza.

Te nocne piesze wędrówki pojawia się w mojej pamięci, jak jakiś lunatyczny sen, gdy obok mnie potykającego się na wyrwach i korzeniach człapał z opuszczonym łbem mój drzemający koń. Gdy przystawałem, Magarac z rozpędu trącał mnie swym pyskiem, z którego śmierdziało okropnie - nasze konie stale głodne skubały nawet gałęzie świerków i chyba dlatego miały tak cuchnący oddech.

W końcu ciemność najdłuższej nawet nocy przechodziła w szary, lodowato chłodny świt, a potem ranek rozświetlony skośnymi promieniami słońca. Jak dobrze było wyjechać z lasu na szmaragdowo-zieloną łąkę ze srebrzystymi smugami szronu, na której nasz oddział pozostawiał ślad i poczuć na twarzy nagle ciepło wrześniego słońca.

Były także chwile beztrzęsiego wypoczynku we wsi lub na leśnej polanie, gdy rozsiadane konie szczypały trawę lub chrupały owies, którego wątły zapas każdy z nas przechowywał w olstrach przy siodle.

Utkwił w mej pamięci taki postój w majątku należącym do Jundzilla, gdy wygrzewaliśmy się w słońcu oparci o ścianę drewnianego spichlerza, z którego wydano nam obfitą porcję owsa dla koni. Nam też się poszczęściło, bo w majątku była serowarnia, wyrabiająca świetne litewskie sery, jakich teraz się nie spotyka.

Każdy z żołnierzy dostał lśniącą czerwoną skórką kulę świetnego sera, którego sam zapach napędzał ślinkę do ust nawet wytrawnemu smakoszowi, a cóż dopiero nam, wygłodniałym włóczęgom. Rzuciliśmy się na ten ser delektując się wspaniałym smakiem i delikatną żezką sączącą się z jego wnętrza, ale ... jedliśmy go bez chleba, bo zabrakło go we dworze.

Karabiny oparte o ścianę, ściągnięte buty i bosa nogi wystawione na powiewy wietrzyka, pajda sera w łapie, leniwe pogaduszki, miła ociężałość w zmęczonym ciele - oto co utkwiło w mej pamięci z tego ostatniego z Leszkiem wypoczynku.

Coraz ciszej robiło się wokół nas. Oddział przemykał leśnymi drózkami, kluczył między wsiami, w których według dobiegających do nas wieści coraz częściej można było natknąć się na Czerwonoarmistów.

Nocami, gdy musieliśmy przecinać większe drogi zdarzało się długo czekać w zaroślach, aż przejadą kolumny samochodów. Dowództwo nasze kierując się ku zachodowi usiłowało uniknąć starcia z Bolszewikami, a taktyka ta nie mogła ^{nie} wyrzucić ujemnego wpływu na morale żołnierzy. Oddział wolno topniał, bo ludzie pozostawali w mijanych osadach, oddając konie gospodarzom z zamiarem powrotu do domu. Pozostali najbardziej wytrwali i zdeterminowani.

Którejś nocy oddział zatrzymał się w położonej na skraju lasu niewielkiej wiosce złożonej z kilku gospodarstw. Wystawiono wartę, rozsiadano i napojono konie, a żołnierze nakarmieni przez gospodarzy rozlokowali się po stodołach. Pozwolono nam spać długo i gdy następnego dnia wyszedłem ze stodoły, słońce stało już wysoko. Przy korycie u studni na środku podwórza otoczonego zabudowaniami pełno było żołnierzy - niektórzy obnażeni do pasa chlapali się w wodzie, inni pili konie. Na ganku chaty gospodyni w dzieckiem na ręku rozmawiała z ukłaniami. Nagle huknął strzał karabinowy, powtórzony echem odbitym od ścian lasu. Potem zaraz drugi, a po kilku sekundach wybuchła strzelanina i zagrzęchała seria z broni maszynowej. Na podwórzu powstało zamieszanie. Zaskoczeni żołnierze w pośpiechu wciągali koszule i mundury, biegnąc po karabiny i pasy z ładownicami, a spłoszone konie kręciły się w miejscu zadzierając łby i szarpiąc cuglami. Zawróciłem do stodoły po płaszcz i broń, a gdy z niej wyskoczyłem, zobaczyłem naszego oficera, który w rozpiętym mundurze wydawał rozkazy mocując się z pasem i lornetką dyndającą na rzemieniu.

Przy odgłosach strzelaniny dochodzących z przeciwnego krańca wsi, w pośpiechu zajmowaliśmy pozycje strzeleckie wskazane przez naszego wodza, a wyznaczeni żołnierze siodłali konie, kryjąc się po zabudowaniach gospodarczych.

Krzyknęłem do Leszka, który siodłał konie, aby zajął się moim Magaracem, a sam stanąłem za płotem z desek, który zasłaniał mnie z kierunku, skąd dochodziła strzelanina. Mogłem s-tamtąd dogodnie obserwować przedpole. Droga wiejska skręcała przed naszym gospodarstwem skośnie na prawo, a przede mną rozciągało się otwarte pole, za którym rozciągał się rząd rzadkich krzaków łączący się z lasem po lewej. Część naszego oddziału biwakowała w zabudowaniach leżących przed nami i właśnie stamtąd dochodziła strzelanina. Nasze gospodarstwo było chyba przedostatnie od strony rozciągającego się za nami lasu, w którym nikła droga ze wsi.

Ulicą wiejską przegalopowało dwóch żołnierzy z rozkazami do dowódcy naszego plutonu; po krótkiej z nimi rozmowie porucznik objaśnił nam, że atakują nas Bolszewicy i będziemy wycofywać się do lasu, ale dopiero wtedy, gdy cały nasz oddział opuści wieś. Tymczasem nie możemy dopuścić Bolszewików do lasu, gdyż usiłowali dotrzeć tam po naszej lewej stronie.

Padł rozkaz, aby koniowodni wyprowadzili konie ze wsi i ukryli się z nimi w lesie, oczekując na wycofanie się spieszonych żołnierzy. Każdy z luzaków oprócz własnego musiał prowadzić jeszcze 2 wierzchowce, więc we wrotach naszej zagrody spłoszone strzałami konie tłoczyły się, ~~z~~ przepychały i nie chciały wyjść na ulicę, po której przelatywali w galopie żołnierze wycofujący się z gospodarstw położonych przed nami. Odetchnęłam z ulgą, gdy Leszek wraz z moim Magaracem wy dostał się za bramę i pogalopował do lasu.

Ci z nas, którzy pozostali na miejscu przycupnęli w różnych punktach szdłuż plotu otaczającego gospodarstwo, wypatrując Bolszewików; minęła jednak dość długa chwila, zanim z naszej strony padły pierwsze strzały. Wyteżałam wzrok, lecz nie mogłam dojrzeć żadnego sowieckiego żołnierza, choć nie byłem pewien, czy coś nie rusza się w krzakach przede mną. Kaprał z naszego plutonu stojący kilka metrów na lewo ode mnie także nie strzelał. Nagle cofnął się o parę kroków upuszczając karabin i bez jęku upadł na wznak. Zaskoczony patrzyłem, jak leżał na plecach z ugiętymi kolanami nogami i wolno poszuszał zaciśniętymi w pięści rękami, jakby wykonywał jakieś idiotyczne ćwiczenie gimnastyczne.

Dopiero gdy zaczął stękać unosząc głowę i przycisnął obie dłonie do brzucha, zdałem sobie sprawę, że został trafiony. Przenieśliśmy go za chłupę, a gdy ktoś rozpiął mi mundur i spodnie, zobaczyłem na białej skórze koło pępka niewielką ranę, z której wyciekło nieco krwi. Ranę przez zaciśnięte zęby powtarzał: "O Boże trafili mnie. O Boże, trafili mnie."

Kilku kolegów wniosło go do chaty, a reszta na rozkaz porucznika wró-

ciła na uprzednie stanowiska. Stojąc za płotem usiłowałem znaleźć jakiś cel, do którego warto by strzelać, ale nasi przeciwnicy dobrze się kryli. Nikogo z nich nie mogłem dostrzec, a żał mi było amunicji, aby strzelać na ślepe.

Drugą obok naszego gospodarstwa przebiegali ostatni żołnierze z tamtego krańca wsi, a odgłosy strzałów, wśród których górowały teraz serie z broni maszynowej, dochodziły nie tylko z naprzeciwka, lecz także z lewej i prawej strony.

Padł rozkaz wycofania się do lasu. Żołnierze wyskakowali przez wrota i przygięci gnali wzdłuż ulicy; inni przelazili przez dziury w płocie i przemykali między zabudowaniami sąsiedniego gospodarstwa. Kilku z nas chciało wziąć rannego z chałupy, lecz nie wiedzieliśmy, jak to zrobić. Podskoczył do nas porucznik:

- Zostawić go! - krzyknął - Do lasu! -

Jakiś żołnierz, może jego przyjaciel, nie ustępował:

- Musimy go zabrać, panie poruczniku, jego Ruacy zabiją."-

- Zostawić go, zrozumiano?! - krzyknął oficer, a potem dodał łagodniej

- jemu już nie możemy pomóc, on i tak umrze. Walcie do lasu, zbiórka przy keniach."-

Wybiegłem na drogę, na której świsnęły kule. Popędziłem wzdłuż płotu za kilku żołnierzami. Poprzez terkot wystrzałów dochodziło mnie sapanie biegnących za mną i jakieś okrzyki, ale gnałem jak zajęc nie oglądając się za siebie. Suchy trzask pękających desek nad głową - kątem oka zobaczyłem drzazgi sypiące się z płotu - to seria poszła zbyt wysoko. Instyktownie pochyliłem się niżej, a w głowie jedna tylko myśl: Dopasć lasu. Prędzej! Prędzej!

Wpadłem pomiędzy drzewa - serce łomocze, brak tchu, aś jestem cały. Między drzewami nasi - leżą na ziemi, chronią się za pniami, dyszą, rzucają urywane słowa.

Od strony wsi i z lewa na wskos dochodziły strzały, a na drodze,

którą wrywaliśmy do lasu, sylwetka żołnierza rozplaszczonego na ziemi. Żołnierza nieruchomego - martwego.

Porucznik pozwolił nam chwilę odpocząć na skraju lasu w oczekiwaniu, czy nikt jeszcze nie nadbiegnie, a potem ruszyliśmy między drzewa do naszych koni.

W grupie żołnierzy zobaczyłem Leszka trzymającego kilka koni razem z moim Magaracem. Był tam także rotmistrz Dąbrowski i paru oficerów rozmawiających z chłopem, który, jak się potem okazało, miał być naszym przewodnikiem.

Gdy padła komenda: "Na koń." i znalazłem się w siodła, rozejrzałem się wokół: nasz oddział liczył teraz nie więcej niż 30 ludzi - brakowało wielu żołnierzy. Nie było wiadomo, czy polegli, czy dostali się w ręce Łolazewików, czy też zagubili się w czasie ucieczki. Kilka koni bez jeźdźców puściliśmy wolno; szły one za oddziałem pewien czas, a potem pozostały gdzieś w lesie.

Sunęliśmy wąskimi leśnymi drogami, przecinaliśmy jakieś poręby, aby potem zamrzyć się w gąszcz drzew. W ponurym nastroju, w narastającym przekonaniu bezsensu dalszej wędrówki, wymieniając półgłosem krótkie uwagi /był rozkaz o zachowaniu najgłębszej ciszy/ jechaliśmy bezładnie, czasem rozciągając się w rząd pojedynczych jeźdźców, czasem zbijając w ciasną gromadę.

W pewnej chwili od przodu doszedł nas przytłumiony odgłos jadących samochodów lub czołgów. Padły rozkazy, aby zejść z koni i trzymać je za pyski, żeby nie parskaly ani, broń Boże, nie zarżały. Stałem w gąszczu z karabinem zawieszonym na szyi i oburącz trzymałem Magaraca za mordę, a wyglądniały koń niecierpliwie rzucał łbem starając się dosięgnąć zwisających wokół gałązek. Warkot narastał i wolno przesuwiał się na prawo - to jechały ciężkie pojazdy drogą przed nami. Trwało to długo, bo gdy wydawało się, że już wszystko przejechało i można ruszać, z oddali znów narastał szum zbliżających się motorów. I wtedy w czasie takiej chwili oczekiwania następnej kolumny, ktoś zaczął pół-

głosem mówić modlitwę za poległych. Szept: „Wieczne odpoczywanie racz
Pa dać Panie ” .. mieszał się z warkotem ciągnących pojazdów. Ukryci
w gęstwinie obok swych wierzchowców, z odkrytymi głowami żołnierze
powtarzali słowa modlitwy. W tej scenie było coś teatralnego, jakiś
romantyzm, któremu ulegają ludzie w chwilach silnego napięcia psy-
chicznego.

Gdy przejechały samochody, przeskoczyliśmy przez szosę bez przeszkód
i znowu zanurzyliśmy się w las. Jechałem blisko czoła, a Leszek po-
został gdzieś z tyłu. Od dowódcy przepłynął rozkaz podawany z ust do
ust, aby dwóch żołnierzy posuwało się o 200 m za oddziałem jako tylna
straż.

Wędrowaliśmy głównie leśnymi drogami, często zmieniali kierunek i
unikając ludzkich osiedli kierowaliśmy się na zachód. Gdy po paru go-
dzinach chciałem podzielić się z Leszkiem resztkami sera, który prze-
chowowałem wraz z owsem w olotrach przy siedle, stwierdziłem, że nie
ma go w oddziale. Powiedziano mi, że jedzie razem z kolegą w straży
tylnej, ale gdy zatrzymaliśmy się, aby napić konie i dać im chwilę
odpoczynku, a straż tylna nie pojawiała się, zaczęłem niepokoić się
o niego. Za zezwoleniem dowódcy z paru kolegami wróciliśmy około ki-
lometra przejechaną drogą, ale nikogo nie spotkaliśmy- obaj żołnierze
przepadli. Wobec nakazu zachowania ciszy nie mogliśmy nawoływać i po
krótkiej naradzie powróciliśmy do swoich. Zaginięcie Leszka wprowiło
mnie w przygnębienie; pocieszałem się, że obaj musieli zagubić się
w lesie, co było łatwe, jeżeli pozostali nieco zbyt daleko w tyle, a
potem pojechali inną drogą. Przecież drogi, którymi posuwał się od-
dział, wielokrotnie skręcały, rozdwajały się i łączyły. Wyrzucalem
sobie, że właśnie teraz tak jak zazwyczaj nie trzymaliśmy się razem;
Gdyby tak było, to może ktoś inny zostałby wyznaczony na straż tylną
oddziału, albo może nie zgubiłbym drogi, bo lepiej orientowałem się
w terenie niż Leszek, który był typowym mieszczubkiem. Pocieszała mnie
jedynie myśl, że od czasu gdy go straciłem z oczu, nie było żadnych
strzałów, co wykluczało spotkanie się Leszka z Bolszewikami. Praw-

depodobieństwo dogonienia oddziału było znikome i zakładałem, że obaj żołnierze dotrą w końcu do jakiejś osady, gdzie korzystając z pomocy wieśniaków schowają broni i jako cywile powrócą do domów.

Leszek był moim przyjacielem jeszcze w szkole, a ostatnie dni wspólnej wędrówki odświeżyły tę więź rozluźnioną przez jego studia w Wilnie, a moje we Lwowie.

Teraz zostałem w oddziale sam i choć poznałem tu paru kolegów, z którymi mieliśmy wspólnych znajomych / Jurek Stabrowski, Jarek Zdrojewski/, to jednak wiedziałem, że brak mi będzie Leszka. A niepokój o jego los pogłębiał mój zły nastrój.

Głodni i zmęczeni tłuśliśmy się przez całą noc i dopiero rano rozłożyliśmy się w rzadkim sosnowym lesie na odpoczynek i krótką drzemkę.

Około południa ruszyliśmy w dalszą drogę, a nikt z nas prostych żołnierzy, nie wiedział, dokąd zmierzamy. Nie jestem pewien, czy nasz dowódca miał jakiś określony plan działania i czy nie kierował się na zachód pchany jedynie siłą inercji. Może udawał sobie sprawę z nikłej siły bojowej oddziału i stracił nadzieję na dotarcie do rejonów zajętych przez Niemców? Może zwątpił w sens tej wyprawy? Nie powinienem go dziś osądzać, lecz z całą pewnością popełnił on podstawowy błąd jako dowódca oddziału partyzanckiego. Nie potrafił stworzyć więzi łączącej całą grupę. W ciągu naszej wędrówki nie nawiązał bezpośredniego kontaktu z żołnierzami, zachował dystans, który może jest uzasadniony w regularnej armii ze względu na dyscyplinę, lecz nie jest w stanie zespolic tak różnorodnego elementu, jaki znalazł się w naszym oddziale, w zgraną grupę zdolną do zespołowego działania. A w trudniejszych chwilach po porażce nie zdobył się na szczerą rozmowę z żołnierzami, na podniesienie nas na duchu, na rozbudzenie choć krztyny nadziei i wiary we własne siły. A taka odprawa była wtedy konieczna.

Zły nastrój pogłębiała jeszcze pogoda. ~~Był~~ Dzień w odróżnieniu od poprzednich pięknych dni ^{i słonecznych} był mglisty, a na niebie kłębiły się ciem-

ne chmury.

Człapaliśmy dość bezładną gromadą po dawno nieużywanej, porośniętej młodymi świerdkami i krzakami jałowca drodze biegnącej pomiędzy gęstym lasem i młodym sośniakiem. Natęskach traktach porośniętych trawą z szarymi plamami szorstkiego mchu jesienią brązowieją gromady maślaków. Nikt jednak nie zwracał uwagi na grzyby, a myśli każdego krążyły wokół jemu tylko znanych spraw.

Krzaki i sosenki rzedły coraz bardziej i oddział wysunął się na łąkę, w poprzek której biegł rząd olch rosnących zapewne na brzegach rowu lub strugi.

Nagle z pod tych drzew padły strzały zmieszane z okrzykami: „Stój! Brasaj eruzie! Szaj!”

Zakotłowało się. Spłoszone konie zadzierając łby i przysiadając na zadach zawracały w miejscu. Zaskoczeni żołnierze odchyleni do tyłu szarpali cugle lub pochyleni na końskie karki walili piętami wierzchowce, starając wyrwać się z kręcącej się w miejscu masy koni. W huku strzałów przy krzykach Czerwonoarmiejców i w świetle kul oddział rozproszył się na wszystkie strony, a pojedynczy ~~jeźdźcy~~ jeźdźcy roztrącając krzaki gnali spowrotem na złamanie karku. Nikt nie próbował obrony, nie wystrzelił, nie padł żaden rozkaz. Wialiśmy nieprzytomnie, aby dalej od zaczajonych, grzejących do nas Rusków.

Pędziłem pochylony na kark wierzchowca, a niewielki mój Magarac nie mógł nadążyć za kawaleryjskimi końmi. Zostawałem w tyle. I nagle.... wszystko stanęło na głowie, coś mnie rąbnęło w kark i znalazłem się nosami przy ziemi sunąc pięknym ślizgiem po trawie. Zerwałem się na tyle prędko, aby zobaczyć jak Magarac podrywa się z ziemi i gna za końmi z obijającymi się o boki strzemionami. Złapałem leżący przede mną karabin i rzuciłem się w pogoń. Z tyłu trzaskały wystrzały, ale byłem już między krzakami. Pędziłem co sił potykając się i płacząc w połach zbyt długiego płaszcza. Żeby tylko dogonić swoich - może zaczekają w lesie?! Serce biło mi jak młotem, karabin i ładownice ciążyły coraz bardziej, ale biegłem, zwalniając chwilami, gdy już zupełnie brakło tchu.

Krzyki i coraz rzadsze strzały pozostawały gdzieś z tyłu, a ja parłem naprzód zataczając się i przedzierając przez krzaki. I kiedy już traciłem nadzieję i wlokłem się dysząc ciężko, ujrzałem między drzewami kilku jeźdźców zбитych w gromadę i mego Magaraca skubiącego spokojnie trawę. Na uginających się nogach dowlokłem się do niego, ale nie miałem siły wdrapać się na siodło ani zawołać o pomoc. Ktoś wziął odemnie karabin a inny jeździec przechylił się przez Magaraca złapał mnie za kołnierz, potem za pas i wciągnął jak worek owsa na konia. Po pewnej chwili, gdy wysapałem zmęczenie, wsadziłem nogi w strzemiona, zebrałem cugle, zawiesiłem karabin na szyi i rozejrzałem się wokół. Była nas wśród drzew zaledwie garstka - sześciu lub ośmiu i jeden koń bez jeźdźcy.

Poznałem rosłego gniadosza Bałachowca. Na środku siodła, tego pięknego nowego siodła lśniącego jasną skórą, w niewielkim wgłębieniu czerwieniła krew; ciemniejące jej smugi spływały po tybince. Stary wachmistrz spotkał na tej leśnej drodze swoje przeznaczenie - mnie się udało.

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy odjechać głębiej w las, aby tylko dalej od Bolszewików. Najstarszym stopniem wśród nas okazał się Jurek Zdrojewski - był podchorążym artylerii, więc on objął dowództwo. Był tu także Jurek Stabrowski.

Nie było nadziei odnalezienia reszty oddziału; zapewne wszyscy rozproszyli się i pogubili w czasie ucieczki. Odczuwałem powszechne zniechęcenie i brak wiary w sens naszej włości, więc nie żdziwiłem się, gdy po kilkudziesięciu minutach przedzierania się przez gąszcze padła propozycja, aby kończyć te nasze wojowanie i wracać do domu. Chyba nikt się temu nie sprzeciwił i po naradzie postanowiliśmy konie puścić wolno, podzielić się na grupy i rozejść w różne strony. Zdejmowałem uzdę i siodło z Magaraca w poczuciu przegranej oraz gorzkiego zawodu, że rzeczywistość stała się tak różna od przewidywań. Jednak była w tym także odrobina ulgi, że kończy się

coś bezsensownego i groźnego zarazem i że jak dotychczas udało mi się uniknąć najgorszego.

Klepnąłem serdecznie po zadzie konia, do którego zdążyłem się już przyzwyczać, bo służył mi wiernie; nawet nie podniósł łba - wyglądał skubał suchą leśną trawę oddalając się krok po kroku między drzewa. Inne konie wolno rozpraszają się po łsie.

Pochowaliśmy siedła /z olstra wyjętem mój nagan/ i uzdy w krzakach, przykrywając je gałęziami w nadziei, że Bolszewicy ich nie znajdą, a potem pożegnali uściskiem ręki nie patrząc sobie w oczy.

Było nam głupie i dręczyły wątpliwości, czy postępujemy słusznie?

Postanowiliśmy wracać do Wilna razem z Jurkiem i Jarkiem, a do czasu zmroku zaszyć się gdzieś i odpocząć. Ruszyliśmy przez las, z którego wyszliśmy na podmokłe rejsty porośnięte krzaczkami pijanic, żurawiny i witkami bakuni. Brnęliśmy po sprężysto uginających się pod stopami mokradłach aż do leżącej zdaleka od lasu kępy rachitycznych brzoźek rosnących na skrawku suchego gruntu. Tu rozłożyliśmy się na płaszczach i ustalili kolejność czuwania.. Ułożyłem się wygodnie i odganiając brzęczące nad głową komary zapadłem w drzemkę, a potem w głęboki sen.

Obudziliśmy się o zmierzchu. Doszliśmy do przekonania, że karabiny nie mogą nam się przydać, a w razie nieprzewidzianego spotkania, wystarczy nam pistolet Jarka i mój nagan. Karabiny zostawiliśmy w miejscu naszego odpoczynku, gdzie nie można ich było specjalnie ukryć ani zabezpieczyć. Byliśmy głodni, więc zamierzaliśmy dotrzeć do ludzi i prośbą lub groźbą zdobyć coś do jedzenia, a potem pozbyć się naszych płaszczy i rzeczy wojskowych/Jarek był w mundurze/ i jako cywile ruszyć do Wilna. Nawet nie bardzo wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, czy daleko od Grodna czy Lidy.

Było już ciemno, gdy dotarliśmy do samotnego gospodarstwa splejącego pod lasem w pewnej odległości od wsi. Gospodarze w pierwszej chwili byli przestraszeni pojawieniem się podejrzanych nieznajomych,

ale po naszych wyjaśnieniach przyjęli nas gościnnie, nakarmili i zapewnili nocleg na słomie rozłożonej na podłodze. Mogliśmy się nareszcie porządnie umyć i ogolić.

Nazajutrz rano nasz wojskowy przydziewek wymieniliśmy na cywilne łachy i był to dla gospodarzy dobry interes, bo za mundur Jarka, nasze płaszcze i przyzwoite garnitury, a zwłaszcza doskonalą parę buty dostaliśmy stare rozlatujące się portki, krta jakiegoś polatane kurciny i dziurawe chodaki. Ale właściwie o coś takiego nam chodziło.

Gdy przebrałem się w zbyt obszerną, wyblakłą granatową kurtkę bez guzików przewiazaną czerwoną wełnianą krajką, portki wpuściłem w stare polatane kamasze, z których wystawały bure onuce, a nieostrzyżony żeb przykryłem czapką z oberwanym daszkiem, wyglądałem jak wioskowy pastuch albo piąty syn najędźniejszego gospodarza we wsi. Obaj koledzy prezentowali się nie wiele lepiej i razem mogliśmy uchodzić za trójkę wiejskich chłopaków, którzy wybrali się do miasta, żeby kupić machorki czy wódkę.

Jedna tylko rzecz nie pasowała do mojej nowej osobowości - paszport z szeregiem wiz z mojej podróży do Jugosławii, który diabli wiedzą po co wyruszając z Wilna wziąłem z pewną sumą pieniędzy. Był to zresztą jedyny dowód tożsamości, który posiadałem po powrocie do kraju. Wyobraźcie sobie mój jakiegoś świeżo kreowanego milicjanta, który znalazłby coś takiego przy wiejskim oberwańcu. Nie było więc innego wyjścia, jak tylko spalić go przed naszą wyprawą do Wilna; to samo zrobili koledzy ze swoimi papierami licząc na to, że nikt nie będzie żądał dokumentów od chłopaków ze wsi.

Okazało się, że nocowaliśmy we wsi oddalonej o ok. 10 km od Lidy, więc zdecydowaliśmy się, że spróbujemy dotrzeć do stacji i dojechać do Wilna pociągiem.

Przed odejściem oddaliśmy gospodarzowi naszą broń i opisaliśmy, gdzie zostawiliśmy karabiny i siodła; zainteresowały go zwłaszcza

te ostatnie, zapewne ze względu na skórę, która zawsze przyda się w gospodarstwie. A karabin także jest nie do pogardzenia, gdy mieszka się pod lasem i można jesienią zasadzić się na koziołka lub dzika.

Wkrótce znaleźliśmy się na szosie prowadzącej do Lidy. Od czasu do czasu przejeżdżały nią ciężarówki, najczęściej wypełnione żołnierzami, niekiedy śpiewającymi nowe dla nas i dziwnie brzmiące wojskowe pieśni. Zostawiały za sobą przenikliwy ostry zapach całkowicie odmienny od zapachu polskiej benzyny. Wkrótce oswoiliśmy się z ruchem na szosie i nabraliśmy pewności siebie - nikt nie zwracał na nasuwagi.

Byliśmy już niedaleko miasta, gdy dogoniło nas kilku sowieckich żołnierzy jadących na oklep i prowadzących ponad 10 koni. Poznaliśmy je - były to nasze konie, choć nie było między nimi mego Magaraca. Bojcy wesoło rozmawiając poganiali je różgami; wkrótce wyprzedzili nas i zniknęli w oddali.

Smując różne przypuszczenia, co do losu naszych kolegów, dotarliśmy do miasta, którego nikt z nas nie znał. O drogę do stacji zapytaliśmy jakąś babinę, która budziła nasze zaufanie i dotarliśmy tam bez przeszkód, choć po mieście krążyły patrole czerwonej milicji, z którymi lepiej było się nie spotykać. Kupno biletów do Wilna nie nastąpiło z trudnością, ale musieliśmy dość długo tkwić w kolejce przed kasą, co wystawiało nasze nerwy na próbę, bo wokół kręcili się wojskowi, a po stacji włóczyły się patrole milicji z czernymi opaskami na rękawie. Potem czekaliśmy jeszcze w zatłoczonej sali na nadążanie pociągu i gdy rozeszła się wieść, że nadchodzi, rzuciliśmy się w tłumie podróżnych na peron i po twardej walce o miejsce znaleźliśmy się w wagonie.

Podróż do Wilna przeszła gładko; wczesnym popołudniem pożegnałem się z Jurkiem i Jarkiem na dworcu i znalazłem się na ulicy Sadowej. Za godzinę będę w domu. Rozpierała mnie niecierpliwość, lecz starałem się iść wolno, rozglądając się ciekawie tak, jak powinien wędrować chłopak ze wsi, gdy znajdzie się w wielkim mieście. W jednej z bram

zobaczyłem starą Żydówkę siedzącą nad dwoma koszami jabłek i wagą. Okropnie zachciało mi się wbić zęby w soczyste jabłko, od rana nie miałem w ustach i męczyło mnie pragnienie.

Wyszperałem w kieszeni jakieś drobne monety i zbliżyłem się do przekupki.

-Niech da dwa japka - powiedziałem grając rolę wasującą do mego wyglądu.

Żydówka odważyła jabłka i wzięła należność. Pochyliłem się po owoce i zobaczyłem, że jedno jabłko jest nadgniłe.

--Nu patrzajtesz! Co ty mnie daża? - Daj japka jak należy - powiedziałem, wyciągając jabłko do przekupki.

- U mnie jabłka pierwszy sort. - powiedziała stara patrząc na mnie od dołu z lekka ironicznym uśmiechem - i lepiej, panie oficerze, nie szunąć zanadto i iść swoje drogo, żeb jakies nieszczęście się nie przygodziło -.

A więc mój kamuflarz nie był tak dobry, jak sądziłem, skoro prosta Żydówka poznała się na nim.

Do domu dotarłem bez przeszkód idąc znanymi do dziecka ulicami, które teraz wydawały mi się jakies inne - miały ten osobliwy zapach pozostawiony przez liczne ciężarówki, wszystkie zielonkawo-bure z wielkimi numerami i ruskimi bukwami na tylnych klapach. Na chodnikach dużo było żołnierzy w szarych, na dole obstrzępionych szynelach i oficerów, często ze śmiesznie odstającymi, wypchanymi czynszkieszeniami lub dużymi pakunkami pod pachą. Potem dowiedziałem się, że nasi "wyzwoliciele" wykupywali wszystko, co tylko było w sklepach.

Mieszkańcy Wilna też wydali mi się jacyś inni - nie widziało się eleganckich pań, a przechodnie wyglądali szare i jakos biednie. Już działały prawa mimikry - nie wyróżniać się, stać się niezauważalnym w tłumie.

Zupełnie nie pamiętam momentu mojego powrotu, moich odczuć ani

reakcji Matki.

W pamięci pozostały jedynie rozkoszne chwile w wannie, gdy mog-
łem zamurzyć się w ciepłej wodzie i umyć porządnie po dziesięciu
dniach mojej włóczgi, a potem włożyć czystą bieliznę i własne ubranie.

Łechy, w których zjawilem się w domu, powędrowały do śmietnika, tyl-
ko czerwoną krajkę, którą byłem przepasany schowałem na pamiątkę.

A potem była ~~ta~~ jeszcze ta trudna rozmowa z matką Leszka. Idąc do
domu państwa Szelegowskich miałem nadzieję, że zastanę tam Leszka.
Nie było go. Była jedynie pani Maria pełna niepokoju, a potem rozpaczy,
na dnie której tliła się iskierka nadziei. Staraniem się ją podtrzymać
na duchu, przekonując, że syn się odnajdzie, że nie mógł zginąć tak
bez śladu, lecz w miarę upływu czasu sam traciłem nadzieję na jego
powrót.

Pani Maria za dawnych czasów nie wydawała się osobą przywiązaną
większe znaczenie do spraw wiary, a na pewno nie była osobą praktyku-
jącą; jednak po kilku tygodniach w rozmowach ze mną wyrażała głęboką
wiarę w opiekę Matki Boskiej nad Leszkiem. Zaczęła codziennie chodzić
do kościoła, a jej dotychczasowy stosunek do religii uległ całkowitej
zmianie.

Patrzyłem z pewnym zdziwieniem i głębokim współczuciem, jak rozbu-
dzona wiara pozwalała tej kobiecie zachować nadzieję, że jej syn żyje
i kiedyś powróci. I nawet wtedy, gdy po mieście rozszła się pogłos-
ka, że Bolszewicy rozstrzelali w Lidzie kilkudziesięciu żołnierzy
wraz z rotmistrzem Dąbrowskim, pani Maria nie straciła nadziei.

Ponieważ była teraz zupełnie sama /mąż jej był w Warszawie/ i uważa-
ła mnie za przyjaciela swego syna, moje odwiedziny przynosiły jej pewną
ulgę, bo mogła ze mną rozmawiać o Leszku. Ze wstydem jednak muszę
przyznać, że te wizyty u niej stawały się coraz rzadsze, a po wejściu
Niemców do Wilna i moim wyjeździe z miasta urwały się całkowicie. Nie
wiem, co potem działo się z panią Marią, lecz wiem, że Leszek nie
wrócił nigdy. Czy zginął w lesie, czy dostał się w ręce Czerwonoarmis-

tów, czy został rozstrzelany, czy zesłany na Syberię?. Na to pytanie nie znajdę już odpowiedzi.

Czy cała ta wyprawa miała jakikolwiek sens? Sens mają jedynie poczynania uwieńczone sukcesem, walki zwycięskie, a jeżeli przegrane - to stanowiące posiew, z którego wyrasta zwycięstwo. Ten zapomniany epizod okupiony śmiercią kilku, może kilkunastu istnień jest bez znaczenia wobec milionów ofiar ostatniej wojny, a pamięć o nim zaniknie, gdy pomrą ostatni jego uczestnicy.

A może nie należy pytać o sens niektórych zdarzeń? Może bezcelowe jest robienie bilansu zysków i strat? Może takie fakty należy oceniać według innych wartości, takich jak cierpienie i ofiara? Takie rozważania prowadzą nas jednak w obszary, w których należy kierować się nie chłodną kalkulacją lecz wiarą

A. Dobrowolski

II/12.68/2KW

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Szedłem szybko po ciemnych uliczkach Zarzecza, przeskakując polyskujące w świetle rzadkich latarni smugi lodu rozpościerające się wokół rynien. W chłodnym powietrzu tej marcowej nocy suche dzwięczały kroki pojedynczych przechodniów. Od śródmieścia blade rozświetlającego niebo nad czarnymi konturami kamienie słabo dochodziły odgłosy przejeżdżających ciężarówek.

Spieszyłem się, bo było już blisko północy i zbyt długie zasiadziałem się u Tamary. Poprostu nie mogłem się od niej oderwać - całowałem ją przyciskając do rozgrzanego pieca i pieściłem jej duże białe piersi. Dalej nie pozwalała mi się posunąć, stanowcze choć łagodnie odpychała moje dłonie. Już któryś raz z rzędu te nasze wieczory kończyły się mymi zawiedzionymi nadziejami - nie posuwałem się ani na krok poza granicę zakreśloną przez Tamarę.

Teraz wracając do domu zastanawiałem się, co zrobić, aby w końcu zdobyć ją. Oczywiście nie byłem w niej zakochany, ale działała na mnie bardzo mocno, a także grała tu rolę moja męska ambicja. Analizowałem swe szanse na sukces, lecz z przykrością musiałem przyznać, że były one raczej mizerne.

Tamara w towarzystwie / a miała szerokie grono znajomych / budziła zainteresowanie wszystkich mężczyzn i niechęć większości kobiet.

Naturalna blondyna, średniego wzrostu o mocnych ramionach i dużych wysoko osadzonych piersiach poruszała się energicznie a zachowanie jej świadczyło o pewności siebie, jaką daje kobiecie świadomość własnej urody. Twarz ^{pełna} młocna o młocnej cerze, okolona ciężkimi lokami, osadzona była na gładkiej szyi, a szare oczy pod prostymi

brwiami potrafiły się śmiać lub rzucać wściekłe spojrzenie.

Dość przeciętna intelektualnie, choć po kobiecemu sprytna, nie była napewno ^{t l}subtelna; robiła wrażenie nieomal ordynarnej, gdy bez śladu skrepowania śmiała się ukazując piękne zęby z bardzo niekiedy słonych dowcipów i anegdot. Roztaczała wokół siebie atmosferę zdobywczą kobiecości i podniecających niejasnych obietnic - po prostu była wspaniałą zdrową samiecą - żanią na rykowisku.

Gdy przed kilku tygodniami poznałem Tamarę na jakiejś prywatce, zaczęła ona wyraźnie darzyć mnie względami, zapewne na złość Zosi, z którą byłem wtedy blisko związany i z którą pojawialiśmy się razem na różnych młodzieżowych spotkaniach.

Zosia, która nie mogła konkurować z Tamarą urodą / nie była ładną dziewczyną/, górowała nad nią inteligencją i dowcipem i zwykle wychodziła zwycięsko z tych bezlitosnych kobiecych pojedynków na słodkie słowa, rady i uwagi. Obie dziewczyny niewątpliwie czuły do siebie skrzętnie maskowaną niechęć, z czego niepamiętnie korzystałem. Jednak jak dotychczas z niewielkim skutkiem.

Ulica Zamkowa, na którą wkrótce wyszedłem, była normalnie oświetlona i mimo późnej pory, co chwila przejeżdżały nią samochody, a na chodnikach mijałem nocnych przechodniów.

Na ulicy Mickiewicza, obecnie nazwanej prospektem Lenina, wymi-
nałem wychodzącą z restauracji grupę rozbawionych gości - kilku so-
wieckich oficerów w towarzystwie śmiejących się głośno, mocno pod-
chmielonych kobiet. Język rosyjski mieszał się z litewskim i od-
czułem to niemal jak zniewagę - ci obcy weseli ludzie czuli się w
polskim Wilnie jak u siebie.

W tamtych czasach, gdy byliśmy skazani na bezsilne wyczekiwanie na
bieg wypadków, który wydawał się tak nieprzychylny dla naszych as-
piracji i nadziei, częstokroć jakiś drobiazg wprowadzał mnie nagle w

stan rozdrażnienia i budził gwałtowną niechęć do wszystkiego, co mnie tu staczało. Naturalnie pewną pociechę stanowił fakt, że po złożeniu jeszcze w grudniu 1939 r. przysięgi mogłem się przynajmniej teoretycznie uważać za uczestnika walki przeciw bolszewikom, ale ta walka ograniczała się w rzeczywistości do snucia nierealnych planów w gronie kilku rówieśników, studiowaniu regulaminu służby piechoty i niekiedy przenoszeniu pod wskazany adres jakiejś paczuszki czy gazetki. Wszystko to nie zaspakajało moich ambicji zabkującego konspiratora i dlatego jesienią 1940 roku zdecydowałem się spróbować jeszcze raz przedostać się do Anglii do Wojska Polskiego. W tym czasie rozeszła się po mieście wiadomość, że istnieje możliwość legalnego wyjazdu z ZSRR dla tych osób, które posiadały wizy wystawione przez poselstwo japońskie w Kownie.

Sprawa była nietypowa, a zrodziła się w czerwcu 1940 r., kiedy to po przyłączeniu Litwy do ZSRR wszystkie ambasady i poselstwa opuściły Kowno. Wtedy to poseł Japonii wydał jakoby szereg wiz wjazdowych do Japonii osobom posiadającym ważne paszporty lub "certyfikaty" zastępujące paszport wydane w latach 1939-1940 przez ambasadę Wielkiej Brytanii obywatelom polskim pragnącym wyjechać na zachód. Według krążących pogłosek wizy takie były przez Japończyków wystawiane do ostatniego momentu przed wyjazdem ze stolicy Litwy - nawet na dworcu, co wykluczało jakkolwiek ich ewidencję w urzędach litewskich. A jesienią 1940 roku gruchnęła po Wilnie wiadomość, że szereg osób posiadających te wizy wystąpiło do władz sowieckich z wnioskiem o wyjazd i zezwolenie takie otrzymało. Po wykupieniu za dewizy biletów kolejowych do Władywostoku i biletów na statek do Tokio osoby te opuściły ZSRR, co jakoby potwierdzały listy otrzymane przez ich znajomych.

Posiadałem certyfikat wystawiony przez wydział polski ambasady

brytyjskiej ^f w Kownie, ozdobiony szeregiem wiz tranzytowych krajów europejskich, ale oczywiście bez wizy japońskiej, o którą teraz należało się postarać. Wizy prawdziwej nie mogłem oczywiście otrzymać, bo nie było już w Kownie poselstwa japońskiego, ale można było się postarać o wizę fałszywą, którą wileńscy fałszerze dokumentów przekurewali podobnie w sposób doskonały. Wykorzystując moje kontakty handlowo-spekulacyjne za dwie złote dziesięć rubli carskie ozdobiłem mój autentyczny certyfikat piękną fioletową tranzytową wizą japońską w języku angielskim, obok której widniała skomplikowana czerwona prostokątna pieczęć o zakraglonych rogach ^z ideogramami naniesionymi na papier jakąś specyficzną techniką - znaki były lekko wypukłe, jakby wykonane z laku. Ponadto była tam także wiza pobytowa w Curacao w Indiach Holenderskich. Oczywiście nie było żadnego sposobu przekonania się, czy wizy tak wykonane są naprawdę wiarygodne dla NKWD i długo bieżem się z myślami, czy próbować szczęścia i złożyć podanie o wyjazd.

Opłaty za przejazd należało uiścić w walutach wymiennalnych, których posiadanie było prawnie zabronione i kwalifikowane jako przestępstwo. Nie przeszkadzało to jednak opłacać w biurze Inturistu przejazdu dolarami, które były tam przyjmowane bez sprzeciwu i regulowanie ceny biletów w tej walucie nie pociągało konsekwencji karnych.

Ta podstawowa sprzeczność praktyki z przepisami mogła budzić zdumienie wszędzie, ale nie w Wilnie, którego mieszkańcy zaczęli się przyzwyczajać do absurdów sowieckiej rzeczywistości. Pobłażliwość milicji patrzącej przez palce na takie praktyki, tłumaczone chęcią wyciągnięcia twardych walut od tych, którzy byli nieskorzy do ich wymiany w banku na ruble, za które i tak niewiele można było kupić.

Oczywiście należało się także liczyć z tym, że cała afera zes-

taż zmontowana przez NKWD dla wyłapania ludzi, którym nie odpowiadało życie w sowieckim raju, a także, że fachowcy tych organów rozszyfrują, że wizy są sfałszowane.

Dlatego długo nie mogłem się zdecydować na krok ostateczny, ale kiedy dowiedziałem się, że dwóch moich kolegów stara się o wyjazd powiedziałem sobie "raz kozie śmierć" i złożyłem papiery w odpowiednim urzędzie. Pocieszałem się dość naiwnie, że o ile tamci dwaj dostaną aresztowani, to zdążę zniknąć i spróbuję przejść przez zieloną granicę do GG.

Od złożenia podania wraz z certyfikatem minęło prawie pół roku, a na moje kilkakrotne pytania o decyzję otrzymywałem jednakową odpowiedź:

- Proszę czekać. Zostaniecie powiadomieni we właściwym czasie.-

Czekanie przeciągało się i powoli przyzwyczajałem się do myśli, że z wyjazdu nic nie wyjdzie i że długo przyjdzie mi tkwić w Wilnie, zwłaszcza, że podłaski o wyjeżdżających do Japonii przycichły.

W domu mimo późnej pory matka jeszcze nie spała - czekała na mój powrót kładąc pasjans. Wiedziałem, że nie lubi gdy wracam późno, choć w owych czasach na ulicach Wilna było spokojnie i to raczej w domu mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego, bowiem co raz docierały wiadomości o ~~maszynie~~ nocnych aresztowaniach. Nie miały one jednak masowego charakteru i ludzi zdążyli się z nimi oswoić; traktowano je jako zjawisko nieomal normalne w sowieckiej rzeczywistości.

Idąc spać matka powiedziała mi, że wieczorem był u nas dozorca, aby zwrócić uwagę, że ktoś oderwał deski ze ścianki naszego składziku stojącego na podwórzu, w którym przechowywaliśmy drzewo na opał. Przy trudnościach z opakiem kradzieże drewna zdarzały się częste, więc zdecydowałem, że zaraz rano będę musiał przybić oderwane deski, a tymczasem zabrałem się do zagrzania herbaty.

Nagły dzwonek do drzwi wywabił mnie z kuchni. Dochodziła pierwsza w nocy. Na moje pytanie: "Kto tam?" - posłyszałem głos naszego dozercy:

-Proszę Pana, kradną drzewo z waszego składzika.-

Otworzyłem drzwi. Na schodach stał dozorca z niepewnym i wystraszo-
nym wyrazem twarzy, a za nim w mroku dwu ludzi - milicjant i czło-
wiek w szarym palcie i futrzanej czapce, który odsunął na bék do-
zorcę i wszedł do przedpokoju.. Za nim wkroczył wielki milicjant
w granatowym płaszczu, który bez ceremonii zatrzasnął za sobą drzwi
przed nosem dozercy.

Zaskoczony tą nocną wizytą w pierwszej chwili łączyłem ją z kra-
dzieją drzewa, lecz na moje pytanie, co się stało, cywil dziabnął
mnie wskazującym palcem w pierś ze słowami:

- Wy Augustinas Debrowolski? -

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie mojej tożsamości w litew-
sko-rosyjskim żargonie. Gdy potwierdziłem po polsku, że tak się na-
zywam, polecił mi przejść do pokoju, pytając, kto oprócz mnie jest w
mieszkaniu. Milicjant poszedł do kuchni, a cywil zajrzał do pokoju,
w którym nocowała moja matka z Krystyną, a widząc zaskoczone kobie-
ty, powiedział uspakajające:

- Grażdanki, wy nie biespakojtieś - poczym dodał po polsku - My
zaraz pójdziemy, tylko sprawdzimy dokumenty i kto tu mieszka. -
W jadalni, w której znajdowało się na tapczanie moje poskanie, zdjął
czapkę, położył ją na stole razem z przyniesioną teczką, wyszedł
do przedpokoju, gdzie zamienił kilka zdań po litewsku z milicjantem,
poczym obaj wrócili do pokoju, gdzie stałem bez większego niepokoju
obserwując poczynania przybyszów i zadając sobie pytanie, co może
oznaczać to nocne najście. Jakaś dziwna kontrola, a może zaintereso-
wanie "władzy" wywołane jakimś donosem?.

Kiedy obie panie w szlafrokach zjawiły się w pokoju, sprawdzono nasze dokumenty, lecz wbrew oczekiwaniom przybysze nie zdradzali ochoty na opuszczenie naszego mieszkania. Cywil zdjął palto i położył na krześle, usiadł przy stole, wyciągnął z teczki jakieś papiery. Na nasze pytania, o co właściwie chodzi?- odpowiedział, że musi zantować, kto tu mieszka, gdzie pracujemy, co stanowi źródło naszych dochodów itp. oraz sprawdzić, czy nie ma tu towarów świadczących o spekulacji. W czasie indagacji zastanawiałem się, o co tu chodzi i w myśli przebiegałem wszystkie moje ostatnie tranzakcje handlowe, ale nie mogłem sobie przypomnieć niczego, co by usprawiedliwiło zainteresowanie milicji moją osobą. Mogło to się też wiązać z jakąś wpadką w konspiracji, ale w takim przypadku zjawiliby się u nas funkcjonariusze NKWD, a nie litewska milicja. A może dotyczy to mego zamierzonego wyjazdu z ZSRR - przeniknęło mi przez myśl. Nie było to wykluczone, ale sprawa ta interesowałaby raczej Rosjan i to oni powinni byliby zjawić się u nas. Widziałem narastające zdenerwowanie matki, która mogła podejrzewać, że wplątałem się w jakąś aferę, i choć zachowywała się z pozorami spokojnie, a nawet z pewną dozą humoru rozmawiała z cywilem, wyczuwałem jej zaniepokojenie.

W czasie gdy ten wolno notował na karcie papieru nasze odpowiedzi, milicjant siedzący na krześle obok drzwi z czapką na kolanach wyraźnie drzemał zmęczony i zmudzony. Zauważyłem jednak, że odpiętą kaburę z pistoletem przesunął na brzuch, zapewne na wszelki wypadek, a może zgodnie z instrukcją obowiązującą przy takich nocnych wizytach.

- Nu, a teraz popatrzmy, ci u was nie nachodzi się coś zaprzeczonego - powiedział cywil odkładając pióro i wstając z krzesła - Stwórzcie szafa i komoda!-

Zaczęła się rewizja, a właściwie dość pobieżne przeglądanie ubrań, bielizny, książek, zaglądnienie do szuflad i walizek, myszkowanie po zakamarkach mieszkania.

Początkowo zaniepokoiłem się, że mogą znaleźć dolary zgromadzone na opłacenie przejazdu do Japonii schowane w listwie podtrzymującej półkę w szafie, albo małą kartkę, na której maczkiem napisalem tekst przysięgi składanej przy wstępowaniu do organizacji. Była ona ukryta w lustrze stojącym na toalecie matki, a miała mi służyć w razie zwerbowania nowych konspiratorów.

Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że nie ma się czego obawiać, bo ta "rewizja" była po prostu odfajkowaniem czyjegós polecenia wykonywanym bez najmniejszego przekonania o jego celowości. Wydawało się, że obu Litwinom bardziej zależy na szybkim jej skończeniu niż na znalezieniu czegokolwiek.

Po kilkunastu minutach bezowocnych poszukiwań cywil napisał kilka zdań i polecił mi podpisać protokół sporządzony w języku litewskim. Nie znając tego języka odmówiłem tłumacząc, że nie mogę podpisać czegoś, czego nie rozumiem. Nie nalegano na mnie i zamiast mego podpisu na dokumencie pojawił się zamaszty podpis prowadzącego rewizję. "Napoleonas" i jakieś tam litewskie nazwisko.

- O! Piękne pan ma imię - zauważyła z uśmiechem moja matka, która obserwowała poczynania tajnika - Napoleon - Cesarskie imię.-

- Na tak - przyznał z wyraźną satysfakcją Litwin - to mamusia mnie jego wybrała.-

Ten incydent z imieniem miał humorystyczne zakończenie w dobre pół roku później.

Jesienią 1941 roku, wtedy gdy Wilno już było zajęte przez Niemców, do komisowego sklepu prowadzonego przez matkę weszła para rozmawiająca ze sobą po litewsku. Oglądali jakiś drobiazg, który ich zainteresował, a matka odniosła wrażenie, że mężczyzna nie jest jej obcy i gdzieś się z nim spotkała. Obserwując go umacniała się w przekonaniu, że go skądś zna i nagle błyśnęła jej myśl - "Napoleonas" - tajnik, który przeprowadzał u nas rewizję i pracował dla bolszewików.

- No, ja ci teraz pokażę - pomyślała matka i z pełną satysfakcją

* złośliwym uśmiechem powiedziała:

- Ja wiem, kto pan jest. -

Mężczyzna spojrział na matkę ze zdziwieniem.

- Pan jest Napoleonem .- z naciskiem powiedziała matka wskazując oskarżająco palcem na przybysza - ja pana odrazu poznałam.- Zaskoczony, spoglądał chwilę na tę nieznaną dziwną właścicielkę komisju, lecz po chwili pochylając się ku matce powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Droga markizo, jest pani pierwszą osobą, która mnie poznała od czasu, gdy uciekłem z wyspy świętej Heleny.-

Towarzyszając mężczyźnie pani szybko wzięła męża za rękę i po litewsku coś mu tłumaczyła ciągnąc do wyjścia. Wyraźnie nie chciała mieć nic wspólnego z tą wariatką z za lady. Wychodząc rzekomy Napoleon uchylił kapelusza i rzucił przez ramię:

- Adieu, madame la marquise.-

Zniknęli na ulicy zostawiając w sklepie osłupiałą matkę, która zdała sobie sprawę ze swej pomyłki. Rozesmiała się serdecznie z podziwem myśląc o świetnej ripocie rzekomego Napoleona.

No, ale to było o wiele później, a owej feralnej nocy z niecierpliwością oczekiwaliśmy, kiedy obaj Litwini pójdą sobie.

W końcu tajniak spakował papiery, włożył palto i trzymając czapkę w ręku zwrócił się do mnie:

- No ubieraj się pan i pójdziemy.-

Zdębiałem - Dokąd? POCO? Przecież wszystko u nas w porządku. Sami widzicie, że niczego-

- Niema co gadać - przerwał Litwin - Teraz pójdziesz pan z nami tam, gdzie już rozbięra się co i jak.-

Na protesty i pytania matki uspakajająco odpowiadał, że to tylko formalność i że za kilka godzin syn wróci. Później widząc, że matka

pakuje do teczki ciepłą bieliznę, jakąś kiełbasę i kawał słoniny przekonywał, że to wszystko niepotrzebne, że na obiad będą z powrotem w domu, ale już wtedy wiedzieliśmy, że gdy kogoś zabierają w noc z domu, trzeba być przygotowanym na dłuższą rozłąkę.

Pożegnanie z matką było krótkie - mocny uścisk, kilka szybkich pocałunków i nakreślony na moim czole krzyż /wszyscy byliśmy niewolnikami tradycji/. Ten drobny gest, mistyczny znak opieki Opatrzności towarzyszył w owych niespokojnych czasach tysiącom rozstań ludzi sobie bliskich, nawet tych, którzy na co dzień nie przywiązywali do spraw wiary większego znaczenia.

Gdy w asyście Litwinów schodziłem w mroku po schodach, obejrzałem się; zapamiętałem ciemną sylwetkę matki żegnającą mnie w otwartych drzwiach naszego oświetlonego mieszkania.

Wyszliśmy na ulicę. Milicjant poprawiając kaburę z pistoletem rzucił ostrzeżenie:

- Patrzaj, tylko bez żadnych głupot. Jak tylko co - będę strzelać.

Ani mi w głowie była ucieczka. Ciągle jeszcze liczyłem, że chodzi o jakąś błahą sprawę, dla której nie oplaca się ryzykować. Ceraż uperczywiej jednak powracała myśl, że moje aresztowanie może być związane z podaniem o wyjazd z ZSRR.

Próby wyciągnięcia czegoś od towarzyszących mi Litwinów spełzły na niczem. Poprostu nie odpowiadali na moje pytania, tak, że w końcu zamilkłem.

Szliśmy pustą ulicą Wileńską, a potem w dół, aż gdzieś w okolicach kościoła Dominikanów dotarliśmy do komisariatu. Tam sprawdzone moje personalia, zabrano teczkę z rzeczami, krawat, pasek i sznurowadła i zamknięto w dużej celi o beczkowatym sklepieniu, drewnianej akrypiącej podłodze, z ławami przymocowanymi do brudnych ścian pokrytych setkami napisów. Zwisająca na gołym drucie słaba żarówka mrzyła żółtawym światłem. W kącie na ławie leżał jakiś mężczyzna z głową w krytą marynarką. Z podkasanych spodni wystawały chude nogi bez skarpetek

tkwiące w zabłoconych buciorach.

-No i w końcu zamknęli mnie - pomyślałem. Ale co będzie dalej? Jak dowiedzieć się, o co tu chodzi? -

Jeszcze ciągle miałem nadzieję, że mnie wkrótce wypuszczą i w myślach szukałem na to potwierdzenia.

Chodziłem nerwowo po celi, zerkając na śpiącego na ławie. ~~Kimś~~ Miarewo poświstywał przez sen - ten czuł się tu jak u siebie. Śmierdziało ~~tygwinami~~, a z ~~za~~ obitych blachą drzwi celi dochodziły przytłumione odgłosy jakiejś kłótni. Czasem kobiecy głos przechodził w lament, słychać było coś jak przekleństwa, a potem sprzeczka przycichła, aby za chwilę wybuchnąć nową falą krzyków i złożeń.

Nie miałem zegarka i nie wiedziałem, jak już długo tu siedzę. Czas dłużył mi się, ale nie czułem senności, choć usiadłszy na ławie zamknęłem oczy usiłując zasnąć. W kółko napływały wspomnienia ostatnich godzin. R. Wielokrotnie rozważałem wszystkie okoliczności mego aresztowania, analizowałem wypowiedziane słowa, starałem się z tego, jakim zabrzmiały wyciągać jakieś wnioski - nic to nie dawało. Po prostu należało czekać na dalszy bieg wypadków i w przyszłości dostosować swe postępowanie od zaistniałych okoliczności.

Nad ranem do celi wprowadzono starszego siwego pana o wyglądzie inteligenta. Niepewnie rezejrzał się i powiedział: "Dobry wieczór" - Jakby sam zaskoczony niestosownością takiego powitania spojrzał na mnie z zażenowaniem ~~uśmiechem~~.

- Przyszli po mnie w nocy, a ja naprawdę nie wiem, o co im chodzi. Żona tak się zdenerwowała; zostawiłem ją samą, a ona ma kłopoty z sercem. Tak się o nią niepokoję .. to jakieś nieporozumienie.-

Był zdenerwowany i bezradny w swym lęku o żonę i siebie, zgubiony w tym obcym dla siebie otoczeniu.

Próbowałem go uspokoić mówiąc, że jeżeli nic nie zrobił, to na pewno wkrótce wszystko się wyjaśni i zaraz go wypuszczą. W miarę jak starałem

się go przekonać o tym /żal mi go było/, nabierałem pewności siebie - to tak jakby moje argumenty kierowane do niego odnosiły się także do mnie. Byłem mniej zdenerwowany od niego i dzięki temu silniejszy - to dodawało mi pewności siebie i uspakajało.

Nasza rozmowa, choć prowadzona półgłosem, obudziła mężczyznę śpiącego na ławce. Opuścił nogi i chwilę siedział bez ruchu z marynarką narzuconą na ramiona, tępo patrząc przed siebie. Potem złapał go kaszel; oparty łokciami na szeroko rozstawionych kolanach charkał i splotał na ziemię. Strużka śliny zwisała mu z pokrytej szczecina brody, gdy zwrócił się do nas:

- No co? Pierwszy raz popadli się.. Ech, frajery - dodał pogardliwie. Powłócząc spadającymi mu z nóg butami, drapiąc się pod pachą zbliżył się do nas:

- Może macie zapalić? - zapytał bez przekonania - Ja mam zapalke, te zakurzymy.-

Zaprzeczyliśmy obaj - ja nie paliłem, a zgnębnemu panu zabrali papierosy przed umieszczeniem go w celi.

Nieznajomy pokręcił głową z dezaprobatą i milcząc powrócił na swe dawne miejsce, gdzie położył się podciągając kolana niemal pod brodę. Starzał się pewnie zasnąć, lecz męczył go kaszel; wiercił się i drapał nie zwracając na nas uwagi.

Żarówka zgasła. Żółtawe światło wypełniające celę zastąpił szary półmrok. Przez górną część zasłoniętego z zewnątrz okna przenikał do wnętrza szary odblask poranka. Wydawało się, że w celi pochłodziło. Z poza drzwi nie dochodził żaden dźwięk - a my milczeliśmy przetrwając każdy z osobna własne myśli. Powoli zapadałem w drzemkę.

Ocknąłem się, gdy zazgrzytał zamek i do celi wpuszczone nowych aresztowanych. Dwaj z nich - starszy ok. 50-letni tęgi jegomość oraz ok.30-letni mężczyzna byli niewątpliwie Żydami. Trzeci, najmłodszy, ubrany w fufajkę i ciepłe spodnie wpuszczone w długie buty, robił wrażenie robot-

nika. Gdy drzwi zatrzasnęły się obaj Żydzi nie zwracając uwagi na obecnych przeszli pod okno i tam w kącie obróceniu do nas tyłem szepta-
li rzucając ukradkowe spojrzenia na nas i na drzwi celi.

Mężczyzna w fufajce z białymi smugami mąki lub wapna na rękawach i ramionach zbliżył się do mnie.

-Eh, kałakutasy w d...j...! - powiedział rozdrażniony - przykleili się do człowieka prosto jak gówno do obcasa. Jedź na komisariat mówie, jedź na komisariat i za cholera im nie przetłumaczysz, co to nie moja monka.. Żyd, ja mówia, Żyd mnie najeź ta monka zawieźć, a skąd ja mogę wiedzieć, co za monka... Cholera wie, co teraz z wozem i koniem będzie i jak długo przyjdzie się tu siedzieć?.-

Łabiedził w kółko powtarzając, że wynajęty przez Żydów miał zawieźć jakąś mąkę na ulicę Sadową i w czasie transportu milicjanci zatrzymali wóz i zainteresowali się pochodzeniem mąki, a potem gdy towarzyszący wozowi Żydzi nie umieli jasno wytłumaczyć skąd jest ten towar, zatrzymali całą trójkę i razem z mąką przywlekli do komisariatu.

- I popatrzaj, jakie oni przeciwne - żalił się wozak - Żyd im dzieńgi sunie, a oni rubli nie bioro, tylko spekulanty, Spekulanty, krzycho i na posterunek kažo jechać. Już chyba lepiej popaść na ruskich, jak na tych szulisów przeklętych- zakończył melancholijnie.

Z korytarza dochodziły odgłosy kroków, rozmów i trzaskania drzwiami- zaczęło się chyba codzienne urzędowanie komisariatu.

Człowieczek leżący dotychczas na ławie wstał lehwiwie i pokaszując powlókł się do drzwi, w które zaczął walić pięścią.

- Otkrojtie, choctu w ubornuju! W ubornuju!- krzyczał - Szczat! cha-
czu. Otkrojtie!-

Dość długo pokrzykiwał i walił w drzwi drepcąc niecierpliwie. W końcu drzwi otworo i litewski milicjant kolejno wyprowadzał nas po dwóch do ustępu. Na moje pytanie, jak długo będziemy tu siedzieć, zanim ktoś zajmie się nami, odburknął:

-Spakojna. Prijdiot twajo wremia.-

Po kilku godzinach dostaliśmy po kubku gorącej lury i niewielkim kawałku chleba. Nikt z aresztowanych nie miał ochoty na to "śniadanie" i cały chleb zjadł nasz kaszający towarzysz niedoli, wyraźnie zadowolony z naszego braku apetytu.

W oczekiwaniu, co przyniosą najbliższe godziny, smuliśmy się po celi wymieniając między sobą po kilka słów, wzajemnie nieufni i pełni niepokoju.

Starszy Żyd wziął na bok wozaka i namawiał go, o ile go zwolnią wcześniej, aby zawiadomił o całym zdarzeniu jego żonę.

- Ja myślę, że ciebie puszcza dzisiaj, bo co za interes dla nich trzymać ciebie razem z koniem, jak jego nie ma czym tu karmić - tylko kłopot. Nas mogą potrzymać jeszcze jeden dzień, no, może dwa, ale też wyjdziemy. Ale ty musisz pójść do mojej żony i jej powiedzieć ...- przerwał widząc, że słucham.

Ujął wozaka za ramię i odciągnął w kąt celi, tam tłumaczył mu coś szeptem i przekonywał. Chłopina początkowo kręcił głową, wyraźnie nie godząc się na propozycję Żyda, ale po pewnym czasie ulegając jego perswazji, a może obietnicy wynagrodzenia, chyba przyrzekł, że pójdzie do jego żony, bo Żyd wyraźnie się rozchmurzył, i przyjaźnie poklepał go po ramieniu, wziął jego rękę i przybił dłonią, jak to się robi przy dobieciu targu.

Nasunęło to mi pomysł wykorzystania wozaka do powiadomienia matki, co się ze mną dzieje. Bez większego trudu uzyskałem jego zapewnienie, że pójdzie pod wskazany adres i opowie matce, gdzie jestem. Obiecałem mu, że moja matka wyagrodzi mu jego fatygę.

- Nie bierz do głowy - powiedział- i nie mów o pieniądzach! Teraz jak my razem siedzimy, to znaczy się my kolegi, a ja od kolegi pieniędzy nie wezmę,- dodał zdecydowanym tonem. Uśmiechnęłem się myśląc o rodzącej się solidarności świeżoupieczonych kryminalistów.

Było już południe, a może nieco później, gdy kolejno wywołano nas z celi, zwrócono każdemu jego rzeczy, co potwierdziliśmy podpisem w jakimś rejestrze i umieszczono w innym pomieszczeniu, w którym zastałem kilku nieznanych mi mężczyzn. Nie było wśród nas tylko wozaka - czyżby wypuszczone go zgodnie z przewidywaniami żyda?

Po krótkim oczekiwaniu załadowano nas wszystkich do więziennej karetki oczekującej w podwórzu i powieszono w nieznane. Upchani jak śledzie w ciasnej przestrzeni, kołysząc się w czasie jazdy i obijając o siebie usiłowaliśmy odgadnąć, dokąd nas wieżą.

Z krótkich uwag rzucanych przez aresztowanych wynikało, że wszyscy boją się zawiezienia na Łukiszki, do więzienia NKWD, ale nasz kaszący towarzysz, który musiał mieć niezgorsze doświadczenie w tych sprawach, odrazu zgasił te obawy:

- Na Stefańską nas wieze. Wy nie takie już szyszki, żeby wymi NKWD zajmowało się.-

Przewidywania jego wkrótce potwierdziły się, gdy przez osiatkowane okienko, zobaczyłem, że po wyjechaniu na ulicę Zawalną skręciliśmy na lewo, a po kilkudziesięciu minutach samochód zatrzymał się trąbiąc przed bramą. Wjechaliśmy na więzienne podwórze, skąd wprowadzono nas przez wąski korytarz do pomieszczenia bez okien oświetlonego lampami zwisającymi z sufitu. Za nami zatrzasnęły się drzwi więzienia.

Po krótkim oczekiwaniu sprawdzono kolejno nasze personalia, zrobiono dokładną rewizję, do której trzeba się było rozebrać, zabrano wszystko to, co było zabronione w więzieniu - paski, sznurowadła, szelki, ostre przedmioty, ołówki, zegarki, pieniądze, dokumenty i fotografie, pozostawiając jedynie papierosy i żywność oraz bieliznę.

Potem nastąpiło strzyżenie. Siedziałem na stołku pośrodku niewielkiego pomieszczenia wśród kłaków włosów zaścieżających cementową posadzkę, a maleńki człowieczek z papadniętymi policzkami i wystającą grdyką na chudej szyi jeździł mi maszynką po głowie, nie zwracając uwagi na moje syk-

nięcia i protesty, gdy tępa maszynka wrywała mi pęki włosów. Wraz z pierwszym przejechaniem zimnej maszynki od czoła do szyi, przez środek mojej potylicy uświadomiłem sobie w pełni, że jestem więźniem; ani karetka więzienna, ani dźwięk zamykającej się za mną żelaznej bramy nie wywarły na mnie takiego wrażenia, jak ta chłodna smuga przebiegająca przez środek mojej głowy. To była ta graniczna chwila, gdy wszystko zmieniło się w moim życiu.

Wydało mi się, że z kosmykami moich włosów spadającymi na podłogę opada ze mnie to wszystko, co mnie łączyło ze światem wolnych ludzi, a rozpoczyna się czas nowych doświadczeń w nieznanym, obcym, a może wręcz wrogim otoczeniu. Co mi tu grozi, jak długie to może trwać i czym się to skończy - te wszystkie pytania napawały mnie niepokojem, a równocześnie budziły ciekawość.

Ostrzyżony, z tłumoczką moich rzeczy pod pachą szedłem w grupie kilku nowoprzybyłych szerokim, pustym korytarzem. Na rozkaz jednego z eskortujących nas strażników wywołani po nazwisku więźniowie występowali z grupy, a dyżurny otwierał wskazane drzwi i wpuszczał ich do celi. Mnie wywołano w tym starszym ⁷ żydem i siwym panem, których przywieziono razem ze mną z komisariatu i wpuszczone do celi po prawej. Wszedłem pierwszy, a za mną dwaj pozostali, za którymi zatrzaśnięte drzwi. Szczęk klucza przekręconego w zamku odciął nas od świata zewnętrznego.

Duża mroczna kwadratowa cela była pełna ludzi w ciągłym ruchu. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się bezładnym przesuwaniem się pojedynczych więźniów z miejsca na miejsce, okazało się po chwili obserwacji zorganizowanym ruchem, którym rządziły ustalone zasady. Każdy z chodzących wykonywał 5-6 szybkich kroków, obracał się i wracał tą samą drogą, a drogi ich krzyżowały się i przecinały w różnych kierunkach. Ten pospieszny marsz każdego więźnia był podporządkowany jednemu ogólnemu rytmowi, który pozwalał na ruch bez zderzania się z innymi.

Pod ścianami stali lub siedzieli ^w za ziemi mężczyźni, a w głębi celi spostrzegłem poprzez tłum chodzących stół otoczony grupą więźniów.

Panował przytłumiony gwar dziesiątków rozmów na tle szurania butów o posadzkę. Powietrze było ciężkie, śmierdziało moczem i potem.

Nasze przybycie nie zakłóciło naturalnego rytmu życia celi. Wprowadzono do naszej grupki stojącej niezdecydowanie przy drzwiach podaszko kilku więźniów, ale większość z pozoru nie zwracała na nas uwagi. Padło kilka pytań, co słychać nowego na wolności, kiedy nas aresztowali i za co, ale nasze odpowiedzi nie wywoływały większego zainteresowania. Moje stwierdzenie, że nie wiem, za co mnie zamknęli, spotkało się z ironiczno-pogardliwymi uwagami w rodzaju: "Jak jest człowiek to i paragraf znajdzie się". To powiedzenie słyszałem potem wielokrotnie - należało ono do fundamentalnych prawd potwierdzonych przez praktykę więzienną.

Nikłe zainteresowanie nowoprzybyłymi znikło, gdy zorientowano się, że do więzienia trafiliśmy po raz pierwszy, że jesteśmy "frajerami" i nie należymy do ferajny. Jedynie wokół przybyłego ze mną żyda skupiło się kilka osób - usłyszałem, że rozmowa pomiędzy nimi toczyła się w żargonie.

Stałem pod ścianą niezdecydowany, co dalej począć. Obok mnie przystanął niski, tęgawy mężczyzna z obwisłymi policzkami i perkatym noskiem. Wypytywał mnie, gdzie mieszkam, czy przypadkiem nie na ulicy Zawalnej. Dowiedziałem się, że jest szewcem, siedzi już kilka tygodni i też nie wie dlaczego, ale myśli, że sąsiad złożył na niego donos, bo coś tam mają na pieńku, a - "ten drań, ci pan powierzysz, chce zająć moją kamurkę, co ja mam na podwórzu" - i tak dalej i tak dalej gadał nachylony ku mnie, choć nie bardzo go słuchałem obserwując otoczenie. W końcu zapytał, co mam pod pachą i gdy dowiedział się, że jakąś bieliznę i coś do jedzenia uprzedził mnie konspiracyjnym szeptem, że mi to wszystko ukradną w nocy, albo poprostu zabiorą i guzik z tego będę miał. To mi nasunęło pewną myśl. Zapytałem, czy ktoś tu rządzi w celi, a on wskazał mi siedzącego przy stole łysego mężczyznę.

- To on, Bilar - starszy celi - z nim trzeba ostrożnie. Jego wszyscy tu słuchają. Jak jemu co nie spodoba się, to on powie słowo albo tylko kiwnie i zaraz bije po mordzie.

- Kto? - zapytałem

- Wiadomo, urki. One wszystkie sztame trzymają.-

Czytałem gdzieś, czy ~~rytuał~~ słyszałem o twardych prawach przestrzeganych w świecie kryminalistów, a nie miałem już wątpliwości, że ogromna większość siedzących w tej celi to "urki" lub "blatni", jak o sobie mówili. Z drugiej strony nie bardzo mi zależało na ływności i bieliznie, którą zabrałem z domu /jeszcze nie odczułem co to głód i wszyś i którą i tak miałem według szewca wkrótce stracić. Postanowiłem więc wykorzystać je, aby wkupić się w otoczenie, w którym nie wiadomo jak długo przyjdzie mi przebywać.

Klucząc pomiędzy więźniami podszedłem do stołu, przy którym rozgrywała się partia warcabów, obserwowana przez grono kibiców. Jednym z graczy był właśnie wskazany mi przez szewca Bilar, drugim szczupły młody więzień, do którego mówiono Lalka.

Siedzieli po przeciwnych stronach stołu, na którym była narysowana szachownica. Pionki były wykonane z ugniecionego i wysuszonego chleba. Obok szachownicy leżały 2 papierosy, zapewne stawka, o którą grano.

Za ramienia więźnia stojącego przede mną obserwowałem Bilara. Oparty łokciem na stole jedną ręką podpierał szczękę, drugą miał wyciągnięto płasko obok szachownicy. Duża, całkowicie łysa głowa z prawie białym sznureczkiem starej blizny biegnącej od lewej skroni nad uchem ku potylicy. Małe uszy płasko przylegające do czaszki. Duży ciężki nos, szerokie szczęki pokryte siwiejącym zarostem i, lekko wysunięta ku przodowi mięsista dolna warga i kwadratowa broda z dołeczką po środku. Nie mogłem dojrzeć źrenic skrytych pod nawisłymi powiekami i dużymi workami pod oczami umieszczonymi blisko mięsistego nosa. Cera szara, jak u większości ludzi, którzy wiele lat spędzili za kratami.

Bilar, gdy przyszła jego kolej, milcząc, wolno jednym palcem prze-

suwał pionki na szachownicy, podczas gdy jego partner wyraźnie podniecony kręcił się na ławie, zacierał i zaciskał dłonie, bębnił palcami po stole i nie mogąc zdecydować się na następny ruch pytająco spoglądał wokół i wymieniał uwagi z kibicami.

Partia dobiegała końca, bo na szachownicy zostało zaledwie kilka ciemnych, popękanych pionków, a otaczający stół więźniowie nie mieli wątpliwości, kto wygrywa. Jeszcze ostatni ruch Bilara i Lalka zaklął z wściekłością. Odsuwając leżące przed nim pionki wstał od stołu. Na jego miejsce usiadł następny gracz i zaczął ustawiać pionki na szachownicy.

Zwycięzca wziął jeden z leżących na stole papierosów i milcząc rozejrzał się wokół. Ktoś podsunął mu płonącą zapalniczkę, a gdy Bilar zapalił, zawołał z papierosem tkwiącym między wargami:

- Jojna!-

Zaraz kilka głosów powtórzyło: -Jojne! a ktoś dodał - Krowe dojne-. Obok mnie przecisnął się żydowski wyrostek.

- Co jest? - zapytał

Bilar ruchem głowy wskazał na leżący na stole papieros: - Zanieś Krzywemu - powiedział. Jojne z papierosem w dwóch palcach zniknął między więźniami.

Teraz-pomyślałem . Przecisnąłem się do stołu i położyłem na nim swoje zawiniątko.

- Koledzy - powiedziałem, bo nie wiedziałem, jak zacząć - ja dziś przyszedłem i mam tu trochę jedzenia, które podzielę, jak chcecie. Jest słonina i kielbasa ... urwałem w gwarze głosów otaczających mnie więźniów, patrząc na Bilara.

Starszy celi wolno obrócił się ku mnie. Z papierosem w kąciку warg i lekko przekrzywioną głową patrzył na mnie mrużąc jedno oko.

- Koledzy? - wolno wycedził -. Ja z tobą na blat nie chodziłem, wódki nie piłem, i bab nie j....., to ty mnie nie kolega-. Cwany jesteś - widać domyślił się motywów mojego postępowania - ale malcy po-

częstunku nie odmówią. No rebiata, pokrojcie, co ten frajer przyniósł. Gatki swoje zabieraj - zerścił się do mnie, gdy rozwijałem paczkę. Znalazła się łyżka z wyostrzonym trzonkiem zastępująca nóż i po chwili "malcy" pokroili kiełbasę i słoninę, a Bilar rozdzielał kawałki według nieznanego mi klucza. Odszedłem od stołu i kucnąłem pod ścianą obserwując otoczenie. Cella była duża, kwadratowa o wymiarach około 7 na 7 m oświetlona dwiema lampami zwisającymi z sufitu. Do dwóch ścian na prawo i na lewo od wejścia były przymocowane żelazne prycze, teraz uniesione ku górze, za którymi można było dostrzec sienniki przyciśnięte do muru.

Przez dwa zakratowane okna, prawie całkowicie zasłonięte blaszanymi kozkami umocowanymi na zewnątrz, przeświecał wąski skrawek ciemniejącego nieba.

W rogu celi stała drewniana szafa bez drzwi wypełniona miskami i jakimś zawiniątkami leżącymi na półkach. Na szafie siedziało dwóch więźniów opartych o ścianę drzemiąc. Obok stołu umieszczonego w głębi celi na dwóch drewnianych ławach tłoczyli się więźniowie i stamtąd dochodził najgłośniejszy gwar, a czasem śmiechy i przekleństwa. Zarex przy wejściu na prawo od drzwi tkwił duży blaszany kubeł nakryty pokrywą - "parasza" - z którego wydobywał się przenikliwy smród.

Moje obserwacje przerwały odgłosy dochodzące z korytarza. Na ten dźwięk wszyscy skupili się przy szafie, łapali miski i ustawiali się w długiej kolejce, przepychając się, aby znaleźć się możliwie bliskie drzwi. Pojęłem, że nadszedł czas kolacji, ale nawet nie usiłowałem dostać się do kolejki, bo i tak nie miałem miski, tak jak i reszta nowoprzybyłych. Ktoś nam powiedział, że jutro wydadzą nam naczynia, a dziś musimy postarać się o miskę od kogoś, kto wcześniej upora się z "kolacją". Do miski każdego więźnia kalifaktor wlewał chochlą ciemną lurę udającą kawę, a nazwaną przez więźniów poprostu "szczynami". Ciecz ta była jednak w miarę gorąca i wszyscy siorbali ją z misek, a niektórzy więźniowie wyciągali z kieszonki kawałek chleba i wolno pogryzali go, delektując się wyraźnie tym skromnym posiłkiem. Mnie udało się w końcu dostać jakąś mis-

kę, zanim ostatni w kolejce nie dostał swej porcji, więc mogłem chociaż ugasić pragnienie tą gorzką i dość obrzydliwą w smaku ciecżą, a resztę jej oddać mojemu towarzyszowi nie doli - siwemu jegomościowi, z którym siedziałem w komisariacie.

Potem oparci o ścianę gawrzyliśmy półgłosem obserwując więźniów zajętych swymi jeszcze nam nieznanymi sprawami.

Dowiedziałem się, że pan Kazimierz pracuje w jakiejś bibliotece czy też księgarni - w każdym razie ma do czynienia z książkami.

Gubił się w domysłach, dlaczego go aresztowano i niepokoił o żonę zostawioną samą. Ciągłe mnie pytał, co z nim mogą zrobić, jak to długie może potrwać, co ma mówić na śledztwie, czy pozwolą widzieć się z żoną itd, itd, tak, że w końcu mimo współczucia miałem go powyżej uszu. Nie wiedziałem, jak się go pozbyć, a nie chcąc go ranić, słuchałem jego gładzenia z rosnącym zniecierpliwieniem.

Nieomal ucieszyłem się, gdy podszedł do mnie wysoki więzień w ciemnym swetrze i zapytał:

- No co, nie poznajesz mnie? -

Uważnie przyjrzałem mu się. Przystojny, o męskiej, pociągłej twarzy i ciemnych odrastających włosach, cerę miał bladą, znak, że już siedzi długo za kratkami.

- Co nie pamiętasz jak razem wojowaliśmy? - powiedział lekko ochrypłym barytonem - Borowski moje nazwisko. Ty wtedy zapisywałeś ochotników na Antokolu. Nie pamiętasz? -

Przypomniałem sobie. Wrzesień 1939 roku w koszarach na Antokolu. Siedziałem z kolegą przy drewnianym stole i zapisywałem zgłaszających się ochotników do oddziału tworzonego przez rtm. Dąbrowskiego. Spisywałem jakieś tam bezdurne dane personalne, wśród których było pytanie: "Czy karany?". Wszyscy odpowiadali na nie "Nie". I tylko jeden mężczyzna Borowski / nazwisko zapamiętałem, bo znałem Borowskiego z Obodowców /
Wiaryna
odpowiedział "Tak, siedziałem".

- Za co? -

-Za nerwowość.-

- Co to znaczy? - zapytałem zdziwiony.

- Kapral mnie zdenerwował. Dziabnąłem go bagnetem. Dali mnie 5 lat, ale wypuścili wiosną.-

Ta scenka utkwiła mi w pamięci, bo zadziwił mnie człowiek, który odsiedział kilka lat w więzieniu i był gotów walczyć za ten kraj jako ochotnik. A teraz spotykam go znowu w więzieniu.

- Tak, teraz przypomniałem. Znowu siedzisz?-

- Nie pierwszy raz i nie ostatni - roześmiał się Borowski - ale jak ty tu popadłeś?.-

Zaczęliśmy przyjaźnie rozmawiać. Potem Borowski powiedział:

- Jakby co, to póki razem siedzimy, możesz na mnie liczyć. Tylko trzymaj fason, a nie propadiesz! - dodał po rosyjsku.

Przed nocą, po wylaniu kibla przez dwóch wyznaczonych więźniów odbyła się "prawierka". Na okrzyk strażnika - "Nasza prawierku stanowis'!" - wszyscy więźniowie uformowali kolumnę, a po chwili do celi wkroczył "starszyj pa korpusu" w asyście dwóch żołdatów.

W milczeniu z nieruchomą twarzą badawczo spoglądając na więźniów przeszedł wzdłuż kolumny tam i spowrotem, podczas gdy jeden z asystujących mu strażników przeliczył wszystkich obecnych i sprawdził ich ilość na trzymanej kartce. Starszyj pa korpusu wysłuchał meldunku Bilara, że nowoprzybyli nie mają misiek, lekko skinął głową i bez słowa opuścił naszą celę. Drzwi zatrzasnęły się. Zapanował gwar i rejwach, wszyscy zabrali się do przygotowywania legowisk. Odczepiono prycze ze ścian układając na ziemi sienniki, moszczono się wszędzie, gdzie udało się znaleźć wolny skrawek przestrzeni, na stole, na zestawionych ławach, nawet na szafie, gdzie "Jojne-krowe dejne" znalazł kawałek miejsca. Wybuchły kłótnie i przepychanki, bo jeden siennik przypadał na co najmniej dwóch więźniów, przyczym część legowisk znajdowała się pod pryzami, tak, że jedynie górna część ciała leżących wystawała poza ich krawędź. Oczywiście Bilar i kilku jego kompanów, między nimi i Borowski, miało dla siebie po całym sienniku i leżeli na pryzach pod oknem na

uprzywilejowanych miejscach. My trzej nowoprzybyli, zgodnie z obowiązującym więziennym prawem, wylądowaliśmy przy drzwiach tuż przy cuchnącej "parasce".

Powoli gorączkowa krzątanina przycichała i każdy jak mógł najlepiej mościł się tam gdzie czekała go noc. Jedni kładli pod głowę część ściągniętej z siebie odzieży lub obuwie owinięte w jakieś kurtki czy swetry, a inni siedząc na siemnikach rozpoczęli polowanie na wszy, skrupulatnie przeglądając ściągnięte koszule i rozgniatając paznokciami złapane insekty i gnidy przyklepione łańcuzkami wzdłuż szwów odzieży. Niektórzy z lubością drapali się pod pachami, po piersiach porośniętych kłakami i wokół pasa, tam gdzie wszy najchętniej gryzły kierując się jakimś wymuszonym wyrachowaniem. W świetle spływającym z góry /na noc nie gaszone lamp w celi/ ten szary tłum mężczyzn leżących pokotem lub siedzących w najdziwniejszych pozach przypominał jakieś wysypisko śmieci zwalonych w kącie podwórza, nad którym unosi się gęsta chmura smrodu.

A jednak, jak się wkrótce okazało, to była najmiłsza pora więziennego bytowania. Wzywania na nocne przesłuchania nie były zbyt częste, a przypadki bicia w czasie śledztwa należały w tym czasie w więzieniu na Stefańskiej do rzadkości, więc zbliżająca się noc nie niosła za sobą niepokoju, jak na Łukiszkach.

Nadszedł czas "bajerów". Jeden z "urków" wygłosił sakramentalną formułę, rodzaj inwokacji rozpoczynającej zajęcia "kulturalno-oświatowe", której przyszło mi wysłuchiwać co wieczór, w czasie całego mojego pobytu w więzieniu.

" Żył, był Kartaguz,
Nadzieł na ch.. arbuz,
Na kaniec
Aguriec
Eto i skazki kaniec.
Kto etu skazku prabijot
Tot kabyhu pajebiot!"

Kolejno poszczególni więźniowie albo z własnej inicjatywy, albo też wyznaczeni przez "starszego celi" zasuwali bajer, którego słuchano z uwagą; jedynie czasem wybuch śmiechu; mniej lub bardziej cenzuralna uwaga lub pełna aprobaty dla kunsztu narratora wiązanka przekleństw przerywały tok opowiadania. Tego pierwszego wieczora, leżąc na skraju siennika, wciśnięty pomiędzy dwóch więźniów słuchałem owych bajerów, co chwila gubiąc wątek opowiadania, bo myśl powracała do domu, do matki a do niepokój o przyszłość, świecące żarówki nad głową, duszący zaduch celi nie pozwalały mi długo zasnąć mimo zmęczenia.

Lecz w końcu nadmiar wrażeń przeżytego dnia, bezsenność ubiegłej nocy, umykające uwadze słowa, monotonne pochrapywanie i sapanie dochodzące ze wszystkich stron zrobiły swoje - zasnąłem.

-o-o-o-

Mineło kilka dni, potem tydzień, a w moim położeniu nic się nie zmieniło. Nie było żadnego śledztwa, nie wzywano mnie na przesłuchania, po prostu jakbym nie istniał. W pierwszych dniach, gdy z naszej celi wywoływano więźniów "na dopros", w zdenerwowaniu oczekiwałem swego nazwiska, a gdy ono nie padało, a czas upływał, zaczęłem niepokoić się, czy o mnie nie zapomiano, czy moje papiery gdzieś nie zaginęły i czy nie będę tu tkwić nie wiadomo jak długo.

W czasie jednej z "prawierek" zwróciłem się nawet do sowieckiego oficera z pytaniem, dlaczego jestem aresztowany i co się dzieje z moją sprawą, ale ledwie na mnie spojrział i rzucił przez ramię: "Prijdiet wremia pozawiom".

Potem śmiali się ze mnie, że tak mi śpieszno na białe niedźwiedzie, a gdzie będzie mi lepiej niż tu, w takiej doborowej ferajnie.

- Siedź cicho, na oczy nie suńsja- poradził ktoś z doświadczonych - oni już dla ciebie podchodzący paragraf podbiore - proste nie pozbierasz sie!-

Cóż było robić - poprostu czekać i układać w myśli różne odpowiedzi na pytania, które mogą paść w śledztwie.

Coraz bardziej byłem przekonany, że wylądowałem tu w związku z moim podaniem o wyjazd do Japonii, bo nie mogło to się łączyć z moimi sprawami konspiracyjnymi - w takim przypadku na pewno znalazłbym się na Ofiarnej, a nie na Stefańskiej z kryminalistami. To mnie nieco uspokajało, choć nie miałem pojęcia, co mi może grozić za fałszywą wizę i sam zamiar opuszczenia "raju".

Tymczasem należało jakoś urządzić się w nowych warunkach i uczyć tego świata tak odmiennego od dotychczasowej mojej egzystencji.

Muszę przyznać, że szczęście mi sprzyjało. Przede wszystkim dobrym posunięciem okazało się oddanie dobrowolnie mojej walówki Bilarowi do podziału i spotkanie Borowskiego, który, jak się przekonałem, miał wysoką pozycję wśród błatnych, a do mnie odnosił się przyjaźnie i nieomal opiekuńczo, o czym przekonałem się w drugim tygodniu mego pobytu w celi. Któregoś ranka obudziłem się z nieznośnym bólem głowy, który w ciągu dnia nasilił się do tego stopnia, że nie byłem w stanie nie tylko nic jeść, ale nawet poruszać się po celi. Tkwiłem pod ścianą z zamkniętymi oczami, a pod czaszką przepływały szarpiące mózg fale bólu. Potem przyszły torsje, cała cęła wirowała mi przed oczyma, a do paraszy nie byłem w stanie dowiec się o własnych siłach. W czasie "prawierki" dwóch więźniów podtrzymywało mnie, abym nie upadł - byłem na wpół przytomny. Zapamiętałem jedynie, że zamiast na ziemi noc spędziłem na stole, a potem dowiedziałem się, że zawdzięczałem to interwencji Borowskiego. Mimo, że współwięźniowie domagali się od strażników, aby zabrano mnie do lekarza, pies z kulawą nogą nie zainteresował się moim stanem. I chyba dobrze się stało, bo po dwóch dniach ból głowy ustąpił całkowicie, a jedynym pozytywnym rezultatem tej dziwnej dolegliwości był mój awans w miejscu do spania. Oczywiście musiałem zrezygnować z uprzywilejowanego miejsca na stole, ale pod kibel już nie wróciłem, zwłaszcza, że przyszli nowi aresztanci; od tego czasu nocowałem na ziemi mniej więcej w połowie celi.

Ale zajęcie stosunkowo niezłego miejsca w obowiązującej w celi hierarchii zawdzięczałem, trudno uwierzyć, lecz ⁶ damemu Aleksandrowi Fre-

drze.

Któregoś wieczoru, gdy na mnie przypadła kolej na zasuwanie "bajera" wyrecytowałem "Bajkę o królowie P...nie", co zostało przyjęte przez słuchaczy nieomal z entuzjazmem, a gdy jeszcze wygłosiłem "Kazanie pierwsze.." i "Kazanie wtóre ." mistrza Aleksandra moja pozycja została ostatecznie ustalona.

Był to zaiste jedyny przypadek w mym życiu, gdy znajomość literatury ojczystej, z której nie wiem, czyby był dumny ks. Marcinkowski, mój polonista z gimnazjum, przyniosła mi wymierne korzyści.

"Uczcie się, uczcie moje dzieci - wszystko w życiu może się przydać".

Muszę jednak przyznać, że nie tylko obsceniczne wiersze i fraszki stanowiły mój wieczorny repertuar, ale zbierałem także pochwały i wyrazy uznania za opowiadanie różnych nowel, filmów i powieści, które zdarzyło mnie się kiedykolwiek przeczytać. Nie wszystkie jednak utwory znajdowały jednakowe uznanie w gronie moich słuchaczy. Z zainteresowaniem słuchano nowelek Londona, różnych filmów przygodowych i "Petopu", który usiłowałem opowiedzieć w ciągu kilku kolejnych wieczorów. Bardziej jednak podobały się "dzieła" Zewacce pełne porwań, morderstw i bzdurnych intryg miłosnych, gdy niewiane dziewice opierały się niecnym zakusom podstępnych tyranów. dybiących na ich cnotę. Prawdziwe jednak wyżyny osiągnąłem opowiadając francuską powieść "Maitre de forge", w której do szaleństwa zakochany twardy lecz szlachetny przemysłowiec zmusza do małżeństwa damę, która go nie kocha, a swą pogardę i nienawiść okazuje mężowi w sposób bolesny acz niedostrzegalny dla otoczenia, w którym pędzą wytworny żywot z pozoru wzorowego stadła. Jednak odtrącony mąż zawsze nienaganny i ledowato poprawny zdobywa w końcu uczucie swej żony, które wybucha płomieniem w momencie grożącego mężowi niebezpieczeństwa. Ta powieść stała się moim prawdziwym sukcesem i musiałem ją opowiadać kilkakrotnie.

Słuchając "bajerów" kryminalistów spędzających za kratami pokaźną część życia, doszedłem do wniosku, że stanowią one wspaniałą ma-

teriał pozwalający wniknąć w ich psychikę. Ujawniały się w nich tęsknoty i pragnienia tych ludzi, niewyżyte ambicje, pogarda, a nawet nienawiść do frajerów, którzy nie umieją wykorzystać możliwości zsyłanych im przez los i zazdrość, że oni mogą cieszyć się wolnością oraz szastać forszą na prawo i lewo. Wyraźna stawała się dla mnie odmienna skala wartości i chejracka solidarność urków, uznanie dla za-dziorności, ^{odwagi,} ~~śmiałości~~ i sprytu.

Wszystko to ujawniało się w ich opowiadaniach, wspomnieniach z udanych "skoków", pechowych wpadek, zabaw i pijatyk z babami i nożowniczych porachunków, w których tyleż samo było przechwałek i cynizmu, co naiwnego ckliwego sentymentalizmu.

Opowiadania te czasem oburzały, często śmieszyły, a niekiedy budziły odruch współczucia - zawsze jednak ciekawiły mnie i pozwalały lepiej poznać ten nieznaną świat.

Ale nie były to jedyne nasze rozrywki.

Wśród mieszkańców naszej celi zdecydowanie przeważali kryminaliści i niewielu z nas znalazło się w więzieniu po raz pierwszy: Oni więc nadawali ogólny ton, narzucali atmosferę panującą w celi, porządek dnia i sposób spędzania czasu. Oni też inicjowali i organizowali swoje rozrywki, bez których pobyt w więzieniu byłby naprawdę trudny. Była to instyktowna samoobrona przed zagłębianiem się w penurych myślach, otępieniem i utratą sił życiowych.

Klasyczną zabawą był oczywiście "salonowiec", gdzie walono delikwenta bezlitośnie, bez żadnej taryfy ulgowej, niekiedy nie ręką, lecz ciasno skręconym ręcznikiem.

Ofiarami pozostałych zabaw byli zawsze ludzie, którzy po raz pierwszy znaleźli się za kratami, nie znali panujących tu zwyczajów i musieli płacić frycowe.

Wyglądało to zazwyczaj tak: najczęściej po południu, ^u gdy czas dłużył się niemiłosiernie, ktoś z celi proponował - urządzamy "pacharony babuszki". Na środku celi kładziono siennik, w rogach którego klękało czterech więźniów z ciasno skręconymi ręcznikami trzymanymi pionowo

niczym świece w rękach żałobników. Na sienniku układał się na wznak jakiś drab z rękami nabożnie złożonymi na piersi i zamkniętymi oczami - to była owa umarła babuszka. Wokół siennika sunął w takt żałobnej pieśni, zawsze śpiewanej ściszonymi głosami po rosyjsku pochód więźniów z ponurymi minami, a każdy z nich przystawał u stóp "nieboszczki", oddawał jej głęboki pokłon, padał na kolena i wyciągnięty wzdłuż jej ciała składał na jej czole pożegnalny pocałunek, potem ustępował miejsca następnemu. Powtarzało się to do chwili, gdy kolej na pocałowanie "babuszki" przychodziła na "frajera". Nieboszczka ożywała niespodzianie, łapała delikwenta za szyję, oplatała nogami, a czterej żałobnicy walili go swymi "świecami" po tyłku i plecach aż dudniło. Śmiech i radosne okrzyki były proporcjonalne do jęków ofiary.

Inaczej przebiegał wybór starszego celi. Wyglądało to na winnie, gdy Bilar oświadczał, że nie ma ochoty piastować dłużej tej zaszczytnej funkcji, jest zmęczony i proponuje, aby wybrać kogoś nowego. Po sprzeczkach i przetargach, w których błatni uczestniczyli z prawdziwie aktorskim zacięciem, typowano trzech kandydatów, z których szczęśliwy los miał wskazać nowego starszego celi. Zawsze na czyjś wniosek wśród tej trójki znajdował się ktoś z nowo-przybyłych, którego udawało się przekonać, że dorósł do tej roli i mimo braku doświadczenia, przy pomocy starszych repów, da sobie radę.

Na oczach wszystkich ureczyście zwijano trzy małe ruloniki bibułek papierosowej, z których tylko jeden miał w środku mały otworek - to był właśnie ten szczęśliwy los, którego wyciągnięcie kreowało nowego starszego celi. A ciągnięcie losów odbywało się tak:

Na stole siadał jeden z więźniów z zakasanyimi rękawami koszuli i nogami opartymi o ławkę. Między ściśnięte nagie przedramiona wsadzano mu w niewielkich od siebie odstępach zwitki bibuły tak, że jedynie ich końce wystawały nieco $\frac{1}{2}$ pomiędzy rąk. Owa więzienna Fortuna opierała łokcie na kolanach, a kandydat z dokładnie zawiązanymi oczami musiał zębami wyciągnąć $\frac{1}{2}$ pomiędzy jej rąk swój los i nie

rozwijając go ustąpić miejsca następnemu. Taka procedura miała gwarantować pełną uczciwość wyberu - jak do "wierchownowo sowieta", oświadczył Bilar z poważną miną.

"Nowy" zawsze ciągnął los jako drugi. Z zawiązanymi oczyma prowadzony pod ręce zbliżał się do stołu. Nie wiedział jedynie o tym, że gdy mu zawiązywano oczy na miejscu faceta tkwiącego na stole ustawiał się na ławce facet ze spuszczoneymi spodniami i wypinał goły tyłek. W pełnej napięcia ciszy z wyciągniętą szyją, nieporadnie ustami szukając zwitka bibułki, "nowy" wciskał twarz między pośladki - losu nie było! Dopiero wybuch szaleńczego śmiechu całej celi przerwał te bezskuteczne usiłowania, a "nowy" stawał się pośmiewiskiem na kilka następnych dni.

W czasie mojego pobytu w więzieniu kilkakrotnie byłem świadkiem, a w pewnej mierze i uczestnikiem scenki, którą w żargonie więziennym nazywano "wychodzeniem na wolność". Odgrywano ją późnym wieczorem lub nocą, a głównym jej aktorem stawał się nowoprzybyły zielony więzień i to taki, który pojawił się w celi z zapasem wałówki, którą nie chciał się dzielić z resztą i zazdrośnie jej strzegł nawet układając się do snu.

Gdy po tradycyjnym "zasuwaniu bajera" większość celi już pochrapywała, a nowoprzybyły /powiedzmy jakiś tam Wasilewski/ zmęczony przejściami ubiegłego dnia zapadał w drzemkę, jeden z więźniów wlaźł głęboko pod prycę i układał się niedaleko drzwi z butem z cholewą. Słowa wykrzykiwane do cholewy brzmiały w celi jak głos dochodzący z korytarza, a uderzenia pięścią w dół prycy imitowały walenie w drzwi. Po kilku takich uderzeniach rozlegał się przytłumiony głos:

- Wasilewskij jest'? Pust' gatowitała s wieszczami.-

Jeśli na to wezwanie ów Wasilewski nie zrywał się na równe nogi, najbliższy więzień tarmosił śpiącego i pytał:

-Ty jesteś Wasilewski? Wstawaj, zaraz po ciebie przyjdą.-

Gdy przerażony frajer gorączkowo ubierał się, znowu ~~z~~ poza drzwi rozlegał się głos:

- Wasilewskij! Na swabodu idiosz. S wieszczami. Kagda budiesz gatow, pastuczaj w dwier!-

Zewsząd odzywały się teraz głosy więźniów:

- Ten to ma szczęście -!

- Ledwie go wsadzili, a już idzie na wolność. Takiemu to dobrze!-

- Nawet nie zdążył zdebrać tej słoniny, a już go wypuszczają.-

Nawpół przytomny, rozradowany Wasilewski spiesząc się ~~szamotał się ze~~ szamotał się ze spodniami, drżącymi rękoma wciągał buty, zapinał guziki...

- Cholera, człowiek będzie tu gnął, a on jutro będzie wtrajał jajesz-nię z kiełbasą i ciągnął gorzałę.-

- A jak ty będziesz łapać wszy, to on pod pierzyną będzie babę posuwał. Wn, taka to sprawiedliwość!-

Walenie w drzwi powtórzyło się:

- Jeszcze Wasilewskij nie gatow? Pobystreje! Szewielis!- na swabodu idiosz, sukinkot!-

- Wasilewski, bądź człowiekiem. Dawaj tą twoją słoninę, przecież jej na wolność nie zabierzesz? Ne, pewnie udławiłby się sk..syn.r.

Wasilewski zdenerwowany, rozczochrany, czerwony z podniecenia, rozdawał wałową, odgryzał się na docinki - już mu było wszystko jedno- zaraz go wypuszczają.

-Wal bracie w drzwi, bo strażnik zaśnie i zapomni wie zabrać.-

Wasilewski, od którego jeszcze na odchodnym wycyganiano papierosy, już niezdarnie balansował pomiędzy leżącymi na ziemi sunąc ku drzwiom.

- Wal mocno, bo ten drań może gdzieś polaził i nie słyszy.-

Wasilewski początkowo pukał w drzwi nieśmiało, ale gdy nikt na niego nie reagował, zachęcony głosami z celi zaczynał walić pięścią i pokrzykiwać:

- Tawariszcz, ja użę gatow!-

Po chwili na korytarzu zaczęły się kroki.

- Czewo tam? Kekoż ch.. szumit?-

-Ja gatow, atkrojte, towariszcz.-

- Wasilewskij na swabodu choczet- wrzaenął któryś z więźniów- jemu zdóe's skuczno!- Wodki nie dajut!-

Już cała cela rechotała, a Wasilewski rozglądał się bezradnie wokół.

- Eh ty, durak! Spat' żażyś - strażnicy ^wzięli te kawały - A wam sukiny syny slizkiem wiesieło, w karcer chatite. Spat'!-

Biedak zrozumiał, że stał się przedmiotem kpiny, zawiedziony w swej nadziei na wolność, wracał poszturchiwany przez rozbawionych więźniów na swe legawisko i wciskał ^{się} pomiędzy towarzyszy. Ofiara zwykle nie próbowała też odzyskać swych zapasów, bo jasne było, że przepadły one bezpowrotnie.

Tak. Te żarty były brutalne a nawet okrutne, lecz niczego innego nie można się było spodziewać po ludziach, których życie nie pieściło, a instynkt zmuszał do wypełnienia czyskolwiek jałowych więziennych dni.

Wszy opanowały mnie już po paru dniach pobytu w celi. Wszystko mnie swędziło. Najchętniej gryzły w miejsca, do których ściśle przylegała odzież: skarpety, pasek od spodni, kołnierz koszuli. Wściekle drapałem się między piersiami i kilka razy w ciągu dnia, a z reguły przed snem, urządzałem na nie polowania. Z początku brzydziłem się rozcierać je pomiędzy ^o paznokciami. Każdą złapaną wesz kładłem na podeszew zdjętego buta i rozcier ^a kalem drugim butem - pękały z suchym trzaskiem. Szybko jednak doszedłem do wniosku, że metoda ta jest mało wydajna, a pozatem stałem się pośmiewiskiem więźniów; w końcu wdrygając się ze wstrętu rozgniat ^a kalem je paznokciami - te cholerne wszy i ich gnidy!

Wszy były dwóch rodzajów: chamskie i szlacheckie. Te pierwsze drobne, blade, prawie przezroczyste, a te szlacheckie-rasowe, o wiele większe z ostro zakończonymi odwłokami i ciemną plamką na grzbiecie. Ale i jedne i drugie gryzły tak samo i zbierały taką samą ilość przekleństw. Wszyscy nienawidzili ich gorąco i tępilli zaciekle z wyjątkiem dnia, gdy zapowiedziana była kontrola lekarska. Wtedy od razu ^w cała cela solidarnie zbierała żywe wszy do dwóch pudełek od zapalek.

Gdy w celi pojawił się wraz ze strażnikiem doktor w białym kitlu i ze zmudzoną miną popędzając: "Pobystej, pobystrej" wysłuchiwał skarg więźniów na różne prawdziwe i wymyślone dolegliwości, od tyłu ukradkiem

wysypywano nań oba pudełka tych miłych stworzonek i ze złośliwą radością obserwowaliśmy, jak zażaz zaczęły obłazić go ze wszystkich stron i znikać za jego kołnierzem. Może to temu zawdzięczaliśmy, albo może należy to przypisać poprostu zbiegowi okoliczności, że w kilka dni później zabrano nas do łaźni, gdzie nareszcie można było się umyć pod prysznicem, w czasie gdy cała nasza odzież parzyła się w "waszobojce". Jak miło po kąpieli włożyć czystą bieliznę, choć na nią wciągało się wilgotne łachy parujące kisłym smrodem. W ciągu kilku dni odetchnęliśmy od naszych wiernych przyjaciółek, lecz po tygodniu drapaliśmy się jak dawniej - odradzały się jak Feniks z popiołów. Ugryzienia wszy swędziły, a pluskiew piekły dojmujące, ale one gryzły jedynie w nocy i złapać je było łatwiej. Przy pewnej wprawie, nie otwierając oczu można było chwycić łażą pod koszulą pluskwę i półsennie rozcisnąć ją między palcami. Tylko potem rano palce śmierdziały przejmująco.

Głód przychodził stopniowo. Zrazu przez kilka dni nie bardzo chciało mi się jeść i część obiadowej zupy nawet odstępowałem. Potem, jak wszyscy, czekałem z niecierpliwością, kiedy z korytarza dobiegną odgłosy wydawanego posiłku i pokrzykiwania kalifaktora. Coraz trudniej mi było powstrzymać się od zjedzenia zaraz całego chleba, którego kromkę dostawaliśmy rano wraz z "kawą". Czasem udawało mi się zachować jego kawałek do wieczora, ale to wymagało nie małej siły woli.. Zresztą karmiono nas nie tak już nędznie - o wiele lepiej niż w więzieniach czy obozach w głębi Rosji. Zupa, której miszkę dawano nam w południe, to najczęściej była kartoflanka z listkami kapusty lub dla odmiany kapuśniak z rozgotowanymi ziemniakami, po którym pływały oka oleju. Kilka razy trafiła nam się kasza /to było dopiero święto/, a nawet czasem można było wyłowić kawałeczek żyłastego mięsa lub dźwić się ościami rozgotowanej ryby.

Uczucie głodu towarzyszyło mi stale, a myśli o jedzeniu zaczęły natrętnie powracać wielokrotnie w ciągu dnia. Dobrze jeszcze, że nie paliłem i nie odczuwałem braku tytoniu. Po paru tygodniach mego tu pobytu przyszły ciężkie czasy dla palaczy. "Wypiski" długo już nie było, a nowi więźniowie pojawiali się w celi bez tytoniu. Ostatnie papierosy palo-

no zbiorowe wydychając sobie dym z ust do ust, a w celi zapanowała napięta, nerwowa atmosfera. Co chwilę wybuchały kłótnie i awantury, parę razy doszło do bójek, a więźniowie smuli się po celi chmurni i pomurzy.

Któregoś przedpołudnia strażnik otworzył drzwi i wywołał moje nazwisko - wyszedłem z celi z bijącym sercem.

- Ruki nazed - padł rozkaz i strażnik poprowadził mnie korytarzem do nieznannej części więzienia. Wkrótce znalazłem się w niewielkim pokoju oddzielonym drewnianym przepierzeniem od sąsiedniego pomieszczenia. Stał w nim drewniany poplamiony atramentem stół ze szklanym ciężkim kalendarzem, krzesło i stołek. Z sufitu zwieszała się lampa oświetlająca środek pokoju. Zostałem sam.

Zaczyna się śledztwo - myślałem zdenerwowany, zdając sobie sprawę, jak wiele może zależeć od moich odpowiedzi. Już wiele razy w wyobraźni przeżywałem ten moment i miałem przygotowane odpowiedzi na pytania, których mogłem się spodziewać, ale teraz wszystko będzie się dziać naprawdę.

Dopiero po około półgodzinie otworzyły się drzwi i szybkim krokiem wszedł sowiecki oficer. Przeszedł na drugą stronę stołu, położył na nim kartonową teczkę na dokumenty, odsunął krzesło, usiadł i powiedział do mnie: - Sadiś ?! -.

Usiadłem naprzeciwko na stołku i zacisnąłem dłonie. Oficer otworzył teczkę i zaczął milcząc czytać dokumenty. Raz tylko przelotnie spojrzał na mnie, gdy wyjmował i zapalał papierosa. Uważnie go obserwowałem i pierwsze, co mnie w nim uderzyło, to smukłość sylwetki i wyjątkowa męska uroda. Był chyba Gruzinem, na co wskazywały kruczoczarne lekko falujące się włosy, suchy nos o wąskich nozdrzach i ciemne cienie na policzkach po świeżo ogolonym zarostcie. Pachniał intensywnie jakąś ruską wodą kolońską. Na kołnierzu mocno w pasie ściągniętej mundurowej rubaszki widniały po 2 kwadraty - lejtnant.

Mógł mieć chyba nie więcej niż 26-28 lat, był więc niewiele starszy odemnie.

Przeglądał papiery dość długo, a gdy skończył odchylił się na krześle i rzucił:

- Familia, imię i otchrestwo.-

Po typowych pytaniach dotyczących mojej osoby, polecił mi opowiedzieć życiorys, którego wysłuchał zadając niewiele pytań, mimo że mówiker ni to po rosyjsku ni to po polsku.

Gdy skończyłem, wstał, wyjął z szuflady pióro, zostawił na stole kilka kartek papieru i kazał mi wszystko to, co powiedziałem, napisać, godząc się na moją propozycję, abym pisał po polsku, skoro nie znam dostatecznie rosyjskiego.

Zasiadłem do "awtobiografii", a śledczy zabrał teczkę i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Życiorys napisałem zgodnie z prawdą; pominąłem jedynie mój wyjazd do Jugosławii i udział w wyprawie Dąbrowskiego, a o próbach wyjazdu z Litwy jedynie wspomniałem. Nie mogłem tego epizodu pominąć, skoro mieli moje podanie i "certyfikat" z wszystkimi prawdziwymi i fałszywymi wizami. Po powrocie lejtnant wolno i z pewnym trudem przeczytał moje wypracowanie zadając nieco pytań, z których wywnioskowałem, że nie zbyt dobrze rozumiał, co napisałem po polsku. Następnie sam przystąpił do pisania protokołu z przesłuchania notując pytania i moje odpowiedzi. Nie wgłębiał się zbyt w mój życiorys, a pierwszym dzwonkiem alarmowym było dla mnie pytanie, czemu chciałem opuścić Litwę. Zgodnie z uprzednio obmyślaną legendą opowiedziałem o pielęgnowaniu od najwcześniejszych lat pragnienia wyruszenia w szeroki świat, czego dotychczas nie mogłem urzeczywistnić. Dopiero wybuch wojny i zburzenie mej dotychczasowej egzystencji otworzył przede mną nowe perspektywy, które postanowiłem wykorzystać. Gdy nie udało się w 1939 roku wyjechać do Francji, postanowiłem pojechać na Daleki Wschód i tam próbować szczęścia, może w Indiach Holenderskich. O tej egzotycznej krainie dużo słyszałem od swego profesora Pilata, który spędził tam wiele lat pracując w przemyśle naftowym. Starłem się tymi wynurzeniami wywołać wrażenie, że jestem naiwnym i mało poważnym młodym człowiekiem, który wierzy w możliwość zrealizowania zgoła utopijnych planów. Ale naprawdę zacząłem kręcić w odpowiedzi na pytanie, kiedy uzyskałem wizę japońską?

Opowiedziałem bajeczkę, że załatwiłem ja przez niejakiego Stanisława, którego nazwiska nie pamiętam, a którego poznałem w Kownie jesienią 1939 r. w kolejce po certyfikat przed oddziałem polskim ambasady brytyjskiej. W ciągu szeregu dni spotykaliśmy się z Stanisławem pod ambasadą, a nawet spędziliśmy kilka nocy na wspólnej sali w domu akademickim zamienionym na schronisko dla uciekinierów w Polski. Po uzyskaniu certyfikatu straciłem go z oczu, a spotkałem go przypadkowo latem 1940 roku w Wilnie i zaprosiłem do domu. Wtedy to Stanisław opowiedział mi, że tak jak i mnie nie udało mu się wyjechać do Francji w 1939 r., lecz obecnie jedzie do Kowna po wizę japońską i będzie próbował wyjechać z Litwy przez ZSRR. Namówił mnie na tę wyprawę i podjął się wyrobić dla mnie wizę w przedstawicielstwie Japonii w Kownie, a że miał przy sobie zbędne formularze, więc je wypełniłem i razem z certyfikatem i jakąś sumą pieniędzy na przejazd i pobyt w Kownie wręczyłem Stanisławowi. Po pewnym czasie zjawił się u mnie w Wilnie i oddał certyfikat z niezbędnymi wizami, za co otrzymał jeszcze jakąś sumę pieniędzy. Od tego czasu nie widziałem Stanisława i sądzę, że wyjechał on na wschód i pewnie już jest w Japonii.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że ta cała historia wyglądała niezbyt prawdopodobnie, lecz pasowała do obrazu naiwnego młodzieńca żądającego przygód, za jakiego pragnęłam uchodzić w oczach przesłuchującego mnie lejtnanta. W przypadku stwierdzenia przez prowadzącego śledztwo, że wizy są fałszywe, stwarzała możliwość udawania, że sam padłem ofiarą oszustwa.

Wtedy w naiwności ducha sądziłem jeszcze, że moje zeznania mogą mieć jakiś wpływ na przebieg śledztwa i wysokość ewentualnego wyroku, zwłaszcza, że wszystko to, co mówiłem, mój "śledowateli" notował nie wyrażając żadnych zastrzeżeń czy wątpliwości.

Po paru godzinach naszej rozmowy protokół był gotowy i po przeczytaniu na głos, podpisałem go bez sprzeciwu.

Na tym przesłuchanie zakończyło się i odprowadzono mnie do celi.

Przez kilka dni nie mówiłem z nikim o tym pierwszym w moim życiu przesłuchaniu, ale gdy nie wzwano mnie na następne, niepokój skłonił mnie do pomówienia na ten temat z Krzywym. Był to człowiek, do którego nabrałem pewnego zaufania na podstawie poprzednich z nim rozmów, a którego doświadczenie więziennicze i ewentualne rady mogły okazać się pomocne przy następnych spotkaniach z przesłuchującym mnie lejtnantem.

Krzywy był osobliwym więźniem i cieszył się niewątpliwym szacunkiem wśród kryminalistów. Był niewielkiego wzrostu, lekko przygarbiony, suchy i żyłasty, o zapadniętych policzkach i wyblakłych, prawie bezbarwnych, szarych oczach pod krzaczastymi brwiami. Prawy policzek przecinała głęboka blizna, która swymi zrostami deformowała mu twarz i wykrzywiała usta zapadnięte nad bezzębnymi dziąszkami. Mógł mieć 65-70 lat, a według pogłosek krążących wśród więźniów spędził połowę swego życia w różnych więzieniach. Był kasiarzem, a więc arystokratą wśród błatnych i jakoby wchodził w skład "dinojry" - sądu kapturowego rozstrzygającego spory podziemnego świata. Ale tego naprawdę nikt nie wiedział - prosto tak szeptano.

Krzywy nie przyjaźnił się z nikim, nie brał udziału w zabawach celi, odzywał się rzadko i nie śmiał się nigdy. Przeważnie chodził tam i z powrotem z rękami założonymi na plecach lub tkwił nieruchomo przykucnięty pod ścianą. Widziałem, jak jadł wolno, z trudem mamiąc rozmoczone skórki czarnego więziennego razowca i dlatego kiedyś, gdy dostał "pajkę" chleba uciętą ze skraju bochenka, wymieniłem się z nim na swoją porcję, która miała o wiele mniej twardej skórki. Może ten drobny odruch życzliwości, a może jakieś inne względy, zdecydowały o tym, że kilkakrotnie gawędziliśmy z nim przyjaźnie. Właściwie to on mnie raczej pytał o różne sprawy; interesował się przebiegiem wojny, zdradzał pewną znajomość historii i literatury. Po pewnym czasie okazało się, że znał dobrze Rosję carską, był w Wiedniu, Pradze i gdzieś w Niemczech. I zapewne miał olbrzymie doświadczenie w kontaktach z policjantami i sądami.

Z grubsza opowiedziałem mu o moim przesłuchaniu, wyrażając niepewność

czy moje zeznania były wystarczająco wiarygodne dla "śledźcy". Wtedy Krzywy powiedział:

- To niema żadnego znaczenia. Jeżeli było tak, jak mówisz, to dla nich wszystko już jasne. Gdyby oni chcieli wyjaśnić sprawę, to śledczy naciskał by ciebie i pytał o szczegóły, a zwłaszcza o tego Stanisława i napewno miałby już kilka przesłuchań. A tak jemu chodziło tylko o podpisany przez siebie protokół - teraz oni dopasują tobie jakiś paragraf, dadzą wyrok no i pojedziesz na biało niedźwiedzie.. A ile dostaniesz, to już trudno powiedzieć, ale na moje wyczucie to może 6 albo 8 lat. -

Nie mogę powiedzieć, aby rozmowa ta podniosła mnie na duchu. Pocięszalem się, że poza zamiarem posłużenia się fałszywą wizją żadnego przestępstwa dotychczas nie popełniłem, więc wyrok przewidywany przez Krzywego nie może być aż tak wysoki. Niemniej szybkie wypuszczenie mnie na wolność wydawało mi się teraz nieprawdopodobne.

Najbliższa przyszłość rysowała się w ciemnych barwach, więc chmurzyłam się po celi.

Kiedyś widząc mnie w takim wiśielczym nastroju "Jojne-krowejojne" zaczął mnie pocieszać i przekonywać, że wszystko można wytrzymać, jak się wierzy we własne szczęście, bo wszystko może się zdarzyć.

-Grunt się nie przejmować i dobry humor mieć - zanucił refren jakiejś piosenki, a potem dorzucił: -Dawaj zaśpiewamy "Chop - sa- smykom". To była ulubiona piosenka Jojny. Znała ją cała celi, bo często ją śpiewał, więc początek jej utkwił mi w pamięci.

-Chop- sa-smykom eto budu ja. Da, da.

Grażdanie poskušajtie menia. Da, da.

Na wsiu żył ja wybrał kražu,

Iz tiurny ja nie wyłažu,

Bielyj dom skuczajet bes mienia.

No kak ^{by} dolgo ja ^{zdiel} ~~by~~ ^{zdiel} ~~by~~ siedzieł. Da, da.

Nie było ni razu szto nie pieł. Da, da.

Zalału ja ruki w bruki

I chažu, paju et skuki,

Szóŕ ty budiesz deŕat' kak zasieŕ.
 Wsio taki ty wiek siedet' nie budiesz. Da, da.
 Wyjdiesz na swobodu, wsio zabudiesz. Da, da.
 Bystra schwatisz karty w ruki
 W poŕ czasu propedut brinki
 Szóŕ ty budiesz deŕat' - Nie wieziot!
 No, petom ty staniesz wodku pit'. Da, da.
 Pieczal' swaju ty staniesz w niej tapit'. Da, da.
 Malewajesz poknuju stopku
 I wlewajesz wodku w gŕoŕku
 I bes piererywa piosz, da piosz!
 Rano utrom wyjdiesz iz piwnoj .Da, da.
 Na bieŕyŕ sŕiet i saŕyŕ gorod twoj. Da, da.
 Po tramwajach ty skakajesz,
 Rysakow piereganijasz
 I ludiam pŕachodu nie dajosz. Da, da.

Jojne byŕ najmŕodszyŕ więŕniem naszej celi. Ten ŕydowski wyrostek odznaczaŕ się niespoŕyтым humorem i zawsze byŕ w pogodnym nastroju, choĉ często pŕatano mu nie zawsze przyjemne figle.

Gdy spaŕ, a sen miaŕ mocny, wkŕadano mu międy palce stŕp papierki, ktŕre podpalano - budziŕ się z wrzaskiem, wierzgajęc nogami. Mazywaŕo się to "Rower". Szereg razy, gdy zasypiaŕ w dzieŕn skulony gdzieś w kącie celi, niewidoczny przez judasza, do dziury w spodniach, a spodnie miaŕ rozerwane na tyŕku tak, ŕe gdy chodziŕ po celi to mu z tyŕu dyndaŕ strzęp materiaŕu, wlewano mu wodę lub resztki "kawy". Jojne zrywaŕ się: podskakiwał, aby wytrząsaŕ wodę ze spodni, lecz na nikogo nie obraŕaŕ się i wszystko przyjmowaŕ na wesoŕo.

Do więzienia trafiŕ, zresztę juŕ nie pierwszy raz, jak sam mówiŕ, za lekarstwa. Kiedyś z kompanem podwędzili w pocięgu czy na dworcu apteczkę pierwszej potrzeby, co nasunęŕo mu pomysŕ odegrania roli inspektorŕw sanitarnych we wsi, bowiem w tym czasie niĕkt nie orientowaŕ się jeszcze w poczynaniach nowej sowieckiej władzy. Zaopatrzeniĕ w lekarstwa i materiaŕy opatrunkowe odwiedzaŕi zapeŕke wioski przedstawiajęc się jako lekarz z sanitariuszem, spisywali jakieś fikcyjne protokoŕy za naruszenie przepisŕw sanitarnych, grozili grzywnami i przy okazji "leczyli" dorywczych pacjentŕw. Brali łapŕwki od naiwnych chŕopŕw i honorarium w naturze, co pozwoliŕo im spędziĉ beztrzesko kilka tygodni. Ale lekarstwa skoŕczyŕy się i trzeba byŕo postaraĉ się o ich nowyzapas. I tu następiŕ wpadka - skok się nie udaŕ i milicjanci ŕcięgnęli Jojnego z pŕotu na ktŕrym utknęŕ

podczas ucieczki, a jego towarzysz związał. Nie wiem, wiele było prawdy w tej historii, ale błatni przyjmowali ją za dobrą monetę.

"Chop ~~na~~ smykiem" nie była jedyną piosenką śpiewaną w naszej celi-
śpiewano piosenki rosyjskie i polskie. Z tych pierwszych najchętniej:
"Tri tankista", "Katuszka" i "Żurawiejki" w oryginalnej carackiej wersji.
Swoistą twórczość artystyczną celi reprezentował utwór będący kompozyc-
cją "Katuszszki" i "Triech tankistow", którego pierwsza ~~wz~~rotka brzmiała
tak:

Razewietali jabłoni i gruszy,
Napływali siłki małakom,
Tri tankista w oczered' stajali
I j.. bli Katuszku stajakom.

Z polskich piosenek cieszyły się uznaniem "Rozkwitwały pęki białych róż"
były sentymentalne i wyrażały tęsknotę, tak zrozumiałą dla ludzi za kra-
tami i piosenka o nieszczęśliwym zakochanym złodzieju, śpiewana na melo-
dię "Pani Wiśniewskiej".

Znały go wszystkie nocne dziewczyny
I go kochały szalenie,
W kole apaszów był on jedyny,
Bo miał jak słodycz spojrzenie.
Aż raz skusiło go jakieś licho,
I przy pomocy drabiny
Poszedł by skraść coś i bardzo cicho
Wkradł się do komnat hrabiny.
Ona w pościeli naga leżała,
I wdzięki miała odkryte,
Gdy wszedł przez okno z strachu zadrżała
Patrząc w pięknego bładystę.
On co przed nikim nie odczuł trwogi,
Obce mu były uczucia,
Sił nie miał znaleźć powrotnej drogi
I padł na ziemię bez uczucia.
A ta hrabina bogata, wzniosła,
Miłości była spragniona
Pięknego draba z ziemi podniosła
I przytuliła do łona.
Odtąd już kiedy noc słońce spłeszcy,
On przy pomocy drabiny
Chodził co noc, zasnąć rozkoszy
W ramionach pięknej hrabiny.

Lecz kiedy ona zgasiła żądze
I nasyciła się cała,
Za jego miłość dała mu pieniądze
I drwiące drzwi mu wskazała.
On spojrział na nią wzrokiem idioty,
Krew lodem w żyłach się ścieża,
Dopadł, za bujne pochwycił sploty,
Za chwilę martwa mu nęża.

Jak nieprzytomny zeszedł z drabiny,
A serce w okrutnej mecie,
By za zabójstwo pięknej hrabiny
Policji oddać się w ręce.

Do czasu sprawy w swej celi, w zmroku
Samotnie siedział złamany,
Smutnie wysłuchiwał swego wyroku
Przez sędziów na śmierć skazany.
Noc na swej pryczy przespał wygodnie,
Iza mu nie błysła w źrenicy,
Za pierwszą miłość i pierwszą zbrodnię
Zawisnął na szubienicy.

Strażnicy pozwalali na te śpiewy, o ile nie były zbyt głośne, a dla więźniów stanowiły one jeszcze jeden sposób na nudę i monotonię więziennego dnia.

Któregoś kwietniowego poranka wywołano moje nazwisko: -"S włączkami" - oznaczając, że zabierają mnie z celi - dokąd nie wiadomo. Nawet nie zdążyłem pożegnać się ze współtowarzyszami niedoli, zgarnęłem swój nędzny dobytek i już strażnik prowadził mnie korytarzem, a potem schodami na piętro. Otworzył drzwi i wpuścił do nowej celi.

Wszedłem do niewielkiego jasnego pomieszczenia z plamą słońca leżącą na deskach podłogi. Pod ścianami stały drewniane piętrowe prycze z siennikami, a przy drzwiach "parasza". Na środku celi wokół stołka tkwiło trzech przykucniętych więźniów z twarzami oklejonymi drobnymi skrawkami papieru - patrzyli na mnie milcząco i nie zareagowali na moje "Dzień dobry!". Czwarty więzień odwrócony twarzą do ściany klęczał na jednej z górnych prycz i kiwając się monotonnie mamrotał coś niezrozumiale.

Nagła myśl przemknęła mi przez mózg - "Wadzili mnie do wariatów! Czyżby to był sposób na zgnębienie mnie przed dalszym śledztwem?" -

Wszystko wyjaśniło się po chwili. Rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna i niegroźna. Moi przyszli współwięźniowie z papierkami na twarzach grali poprostu w karty, a strzępki papieru wskazywały na przegrane punkty. Był to sposób notowania wyników gry bez potrzeby ich zapisywania. Zaś kiwający się osobnik na pryczy okazał się rabinem, który większość czasu spędzał na modlitwie.

W ciągu kilku następnych godzin do celi przybyło jeszcze trzech więźniów, tak, że wieczorem było nas tu ośmiu, to znaczy, o dziwo, tyle samo,

co sienników i miejsc na pryczach.

W tej dziwnej, zgoła luksusowej celi spędziłem przeszło miesiąc, w tym Święta Wielkanocne. Była to naprawdę wyjątkowa cela: miała okno, oczywiście z kratą, lecz niezasklonięte koszem, co pozwalało słońcu zaglądać do jej wnętrza. Wiele to znaczy, zrozumieć może jedynie ten, kto spędził przeszło miesiąc w półmroku, takim jaki panował w poprzedniej celi. Ponadto było tu czyste /wszyscy skrupulatnie dbaliśmy o to/ a zamiast betonowej posadzki mieliśmy podłogę z desek, którą smarowaliśmy co kilka dni. Każdy z nas miał swój siennik i miejsce na pryczy i było tu jak gdyby mniej wszy i pluskiew. Może to dlatego, że kilkakrotnie zabierano nas do łaźni, a nawet ostrzyżono maszynką nasze głowy i zarost pokrywający nasze policzki. Tu także mieliśmy wypiskę i ci, co mieli pieniądze wpłacone, mogli w sklepiku więziennym kupić cukier, smalec, cebulę, papierosy lub tytoń i bibułkę papierosową. Choć nie paliłem, kupiłem tytoń, który wymieniałem potem na cukier i bibułkę, która zastępowała mi papier higieniczny. Najwięcej cieszyłem się z cukru i zaraz zorganizowałem produkcję "cukierków". W niewidocznym przez judasza kącie celi na pokrywie paraszki rozpałałem małe ognisko, z drzazg odzupanych z desek, z których były zrobione prycze. Nad tym wątkim ognikiem topiłem w menażce kilka łyżek zwilżonego wodą cukru i ogrzewałem dopóty, aż przybrał brunatno-złocisty kolor karmelu. Tę ciągnącą się masę wylewałem do miski posmarowanej smalcem i po zastygnięciu łamałem na kawałki wspaniałe karmelki, ~~którymi zawdzięczam~~ którym zawdzięczam niejedną miłą chwilę przed zaśnięciem. Nieco przemyślności wymagało pozbycie się niedopalonych drewnienek, ale rozdrobnione ich resztki ładowały w paraszkę i do końca moja cukiernicza produkcja nie została wykryta. Niestety, cukier skończył się szybko i gdybyśmy go mieli więcej nie wiadomo, czy nie wyszło by na jaw niszczenie przez nas drewnianych prycz, co mogłoby pociągnąć za sobą co najmniej karcer, albo i coś gorszego. Zresztą kilku z nas swym cukrem dzieliło się z rabinem, który ściśle przestrzegając nakazów swej religii wogóle nie jadł zupy i żywił się wyłącznie chlebem cukrem i cebulą.

Wymagało to z jego strony olbrzymiego poświęcenia, wiary w nakazy Mojżesza i budzącej szacunek siły woli. Nie wiadomo było, za co go zamknięto, bo ~~nie~~ ^{uchylał się} (od jakichkolwiek rozmów, poza najniezbędniejszą wymianą paru zdań), a całe dni kiwał się odwrócony do ściany zatopiony w modlitwie. Raz tylko udało mi się nawiązać z nim dłuższą rozmowę na temat religii..

Gdy na Wielkanoc cicho śpiewaliśmy "Wesoły nam dziś dzień nastał", bardzo zdziwiony spytał, dlaczego używamy hebrajskiego "Hallelujah" w chrześcijańskiej modlitwie. Jego ignorancja dotycząca naszej religii była zdumiewająca; wydawał się nie wiedzieć i jej hebrajskich korzeniach i ze zdziwieniem odkrywał podobieństwo niektórych prawd wiary chrześcijańskiej i judaizmu.

Z jego wypowiedzi formułowanych nieporadnie w straszliwym żydowsko-polkim żargonie dowiedziałem się, że od wielu lat studiuje w wileńskim szkole rabinackiej i poza zagadnieniami talmudycznymi nic go nie interesuje. Robił wrażenie istoty z innego świata. Drobnny i wychudzony, z rzadką ryżowo-blond bródką, wielkimi, zmęczonymi i smutnymi oczami w twarzy o zapadniętych policzkach był podobny do Chrystusa, o ile można sobie wyobrazić Go z ogoloną czaszką, a nie z lokami spływającymi na ramiona.

Żalosa sytwetka Rebege utkwiała mi na zawsze w pamięci, gdy z opuszczonymi portkami kuczał na sedesie w "ubornej" i trzymając się rury wygiętą do tyłu ręką chwiał kysą głową osadzoną na cienkiej szyi, podobny był do groteskowego sępa na gnieździe.

Nie wiem, co się z nim stało, lecz nie miał żadnych szans przeżycia ani pod władzą sowiecką, ani Niemców.

Zastanawiałem się, czemu przypisać tę szczególną, można powiedzieć, domową atmosferę panującą w tej celi.

Niewątpliwie składały się na to mała liczba siedzących tu osób oraz fakt, że wśród nas nie było zawodowych kryminalistów-recydywistów. Mimo, że przez pewien czas siedzieli z nami dwaj cyganie, którzy zara-

balii kogoś siekierą i chłopek, który podpalił sąsiada, to nie było wśród nas nikogo, kto by wnosił tu ten specyficzny sposób bycia więziennej ferajny. Nawet młody Żyd, uchodźca z Warszawy, którego przyskrzynili na handlu walutą, cwaniak i kombinater, opowiadający nieprawdopodobne historie, dostosował się do panującej tu atmosfery. Reszta to ludzie, którzy normalnie nie znaleźliby się za kratkami - sędzia Soroka, uczeń, jakiś urzędnik, piekarz, Żyd przywieziony razem ze mną do więzienia i kilku innych, których nie zachowałem w pamięci.

Przychodzili i odchodzili, byli wzywani na przesłuchania, martwili się swym losem i dzielili przewidywaniami na przyszłość, marzeli i cieszyli się drobnymi radościami dnia więziennego, ale byli tacy, jak ludzie spotkani poza tymi murami.

Czym władze więzienne kierowały się umieszczając nas w tej celi? I czy skład tej małej grupy nie przekraczającej 8 osób był dziełem przypadku, czy też wynikał z jakiejś kalkulacji naszych prześladowców? Zastanawiając się nad tym, nie wykluczałem możliwości, że w tej grupie może być "kapuś", a nietypowa atmosfera i stosunkowo wygodne bytowanie w tym gronie sprzyjały zwierzeniom i wypowiedziom, które mogły być potem wykorzystane w śledztwie. Maja to na względzie nie mówiłem nikomu o niczym, co by było niezgodne z moimi zeznaniami zapisanymi w protokole. Nadal czekałem na następne przesłuchania, które jednak nie nastąpiły. Czyżby "Krzywy" miał trację?

Nadszedł maj, i dni stały się długie, a wieczory rozświetlone blaskiem zachodów. Przez uchylone okno wpadały do celi przytłumione odgłosy miasta, a wraz z nimi narastał niepokój i tęsknota. Napływały wspomnienia, a rzeczywistość ciążyła coraz bardziej, zwłaszcza w chwilach wieczornej zadumy. Wtedy to ułożyłem wiersz, który brzmiał tak:

Pod szarym celi sklepieniem
Dźwięczy miarowo krok,
Odmierza rytm cierpieniem
A wokół tęsknota i mrok.
 Powoli ciekną minuty
 Pocięte odgłosem kroków
 To czas w kajdany zakuty
 Wlecze się pośród mroku.
Już więcej nie chcę, nie mogę
Nie mam poprostu już sił

Przemierzać tę samą drogę
 Pięć kroków naprzód, pięć w tył.
 Rozwalić te zanki i mury!
 Wylamać prety krat!
 Ulecieć wolnym pod chmurę
 Na jasny, słoneczny świat.
 Gdzie życie tętni gorące
 W śmigłym jaskółek locie,
 W brzęczeniu pszczoł na łące
 I w orlich skrzydłał hupocie.
 Przystaje zadumane
 Na brzegu leśnej topieli
 I dzwoni rozśpiewane
 W podniebnych skowronka treli.
 Końskim kopytem w galopie
 Rozbija zwierciadło wody
 W perlistym, świetlistym potopie
 Upaja szaleństwem swobody.
 Zgrzyt klucza, ułuda znika.
 W więzienny wthacza mnie świat
 Drewniany głos strażnika:
 "W ubornuju. Ruki nazad!"

Choć przy różnych okazjach płodziłem czasem wierszyki, lecz zawsze miały one kpiąco-humorystyczny charakter. Ten jeden był inny, bo powstał w nastroju przygnębienia i buntu. Dlatego należy go oceniać z pobłażliwością.

W tej szczególnej celi spędziłem podnieście, ale gdzieś na przełomie maja i czerwca przeniesiono nas wszystkich na ostatnie piętro, do dużej celi przyponinającej tę pierwszą, w której przechoziłem mój chrzest więzienny. Znowu znalazłem się w takim samym środowisku, w którym ten niedawali kryminaliści, ale znałem już reguły gry i dość łatwo wtopiłem się w nową zbiorowość.

Było w niej kilku więźniów znanych mi z pierwszej celi, między nimi Jętas i Lalka, ale większość z ponad czterdziestu siedzących tu ludzi to były nowe twarze.

Tu poznałem więźnia, którego relacja wsła rywał, co mnie może ciekawé.

Nazywano go "Chińczyk". Był ciekawym młodym człowiekiem mniej więcej w moim wieku i w więzieniu siedział po raz pierwszy., a swoją "kliczkę" /pseudo/ zawdzięczył tam, że chciał wyjechać do Japonii. Był już po wyroku, tak jak kilku więźniów w tej celi i czekał na deportację do ZSRR. Od niego dowiedziałem się, że został oskarżony o posługiwanie się fałszywymi dokumentami, o nielegalne przekroczenie granicy / jeszcze nie zdą-

żył tego zrobić/ i dodatkowo o działalność antyradziecką z paragrafu 68. Tak jak ja, był przesłuchiwany tylko raz, a po pewnym czasie wezwano go, odczytano wyrok - 10 lat ciężkich robót i kazano podpisać jakiś papierek. Opowiadał mi o drugim takim samym znanym mi przypadku, gdy oskarżony otrzymał 12 lat - trafił zapewne na gorący humor "sędziego".

Informacje te mocno mnie przygnębiły i choć gdzieś w głębi duszy tliła się iskierka nadziei, że może mnie bardziej się poszczęści, lecz chłodne rozumowanie wskazywało, że muszę się liczyć z 10-12 letnim wyrokiem. Jeszcze wtedy nie zdawałem sobie zresztą sprawy, co to znaczy, i jakie przejścia mogą mnie czekać w sowieckim łagrze i może dlatego nie czułem się załamany.

W tym okresie wyżywienie nasze wyraźnie pogorszyło się i prawie codzień dostawaliśmy wodnistą zupę z kapusty z tymi chołrnymi małymi rybkami, sądząc z wielkości znajdujących w zupie główek i łusek. Codzienna "Pajęka" chleba stała się podstawą naszego wyżywienia i coraz to wybuchały kłótnie i bójkę z powodu jej kradzieży.

Gdy po takiej swanturze ofiara pienila się i wściekała, ktoś zainteresował na jej pocieszenie przyśpiewkę, której refren podchwytowała cała cęla.

Da j... twaju mat', czewo sierdziszsia,
Żywatom, żywatom nie pawierniszsia.

Mańkie siłki abrezali,
Stiopku w żobku ujebali,
I w rajal my nasrali,
Sławna wremią prawieli!

Da j... twaju mat', czewo sierdziszsia...

Zastanawiające, że chociaż wśród więźniów nie było wcale Rosjan, a sami Polacy i Żydzi, no i paru Cyganów, to większość piosenek śpiewano po rosyjsku, a niektóre z nich pochodziły jeszcze z carskich czasów. Chyba stanowiły część tradycji, mocno zakorzenionej w świecie "urków".

Płynęły dni podobne do siebie. Niewiele wieści z zewnątrz przenikało do cęli, ale pocztą pantoflową i bliżej nieznanymi mi kanałami więziennymi dotarło do nas, że na mieście wzmoży się aresztowania i na Stefańskiej robi się coraz ciasniej, mimo że grupy więźniów są sys-

tematycznie gdzieś wywołano. Nastrój niepewności i oczekiwania ogarnął wielu z nas, lecz recydywiści nie zdradzali większego niepokoju, gotowi przyjąć, co los przyniesie. Zazdrościkiem im ich beztroskiego stosunku do życia w ryśl zasady: "Nie martw się na zapas, zawsze jakoś tam będzie".

Któregoś popołudnia, około połowy czerwca, do celi wparadowali strażnicy z drabiną i wymienili wszystkie żarówki na nowe pomalowane z zewnątrz ciemno niebieską farbą. Po tym dobarka do nas wieść, że w mieście mają być prowadzone ćwiczenia przeciwlotnicze i domyśliliśmy się, że więzienie nasze ma być także zaciemnione.

Natym zaciemnieniu zyskaliśmy nieco, bo łatwiej też było zasypiać w półmroku z ledwie jarzącymi się światełkami pod sufitem.

Nocami gęściej też latały samoloty warcząc nas nami, bo niedaleko było lotnisko na Porubanku. Któregoś wieczora, gdy już leżeliśmy pokodem na pryczach i na ziemi, zawyły syreny zwał stując alarm lotniczy; po skrawku nieba, widocznego przez okna, zaczęły ślizgać się bezgłośnie smugi reflektorów. Wieleż nas zagrożony wieloletnim wyrokiem zapewne myślał wtedy: żeby to nie były tylko ćwiczenia, żeby to wybuchła prawdziwa wojna!

Wieczorne bajery obracały się wokół przeżyć z września i października 1939 roku; zasypiałem wywołując w pamięci sceny z mych krótkich partyzanckich perypetii.

Obudziły mnie odgłosy dalekich wybuchów. Musiał być wczesny ranek - w celi było już jasno, choć pod sufitem słabo świeciły niebieskie żarówki. Część więźniów już nie spała; siedząc na swych sennikach rozpoczynali ramne drapanie się, iskanie, wciąganie spodni i butów. Zewsząd padały uwagi i przekleństwa, na te cholerne ćwiczenia, które tak wcześnie wywraży nas ze snu.

Gdzieś wysoko warczały samoloty, a potem nagle zawyły syreny. Z daleka dochodziły przytłumione odgłosy rzadkich pojedynczych wybuchów, które niekiedy zlewały się w krótkie serie, raz bliższe to znów zupełnie dalekie.

Kilka razy gdzieś od strony Perubanka odezwała się artyleria przeciwlotnicza, ale potem wszystko ucichło i tylko wysoko na jasnym porannym niebie dźwięczały niewidoczne samoloty. Nagle gdzieś niedaleko huknęło aż zadźwięczały szyby.

-Zdrowo walą, nie łażują wrywczatki. Komsomolcy mają frajdę - ktoś pochwalił organizatorów ćwiczeń.

Z korytarza dobiegały zwykłe odgłosy więziennego poranka, kroki wartowników, przytłumione rozkazy i głośniejsze pokrzykiwania, ale "Prawierka" opóźniała się.

Byliśmy głodni, a bez "prawierki" nie było codziennej porcji chleba i gorącej lury, więc czujnie nasłuchiwaaliśmy, co się tam dzieje. I chyba coś się działo, bo kroki na korytarzu zgęstniały, biegano i trzeskano drzwiami pojedynczych cel znajdujących się w końcu naszego korytarza, wyprowadzano ludzi pokrzykując: "Bystrej, bystrej"!

- Co się dzieje? - zadawaliśmy sobie pytanie, aż ktoś rzucił przypuszczenie, że może gdzieś inspekcja sprawdza, jak przebiega przygotowanie do ćwiczeń w naszym murze i "klawisze" dostali pietra. Przemawiało to nam do przekonania, zwłaszcza gdy ktoś dodał, że w związku z kontrolą może wyzerka będzie dzisiaj lepsza.

W końcu wartownik przed naszą celą wrzasnął:

- Prawierka. Na prawierku stanowią! - i walnął jak zawsze pięścią w drzwi.

Szybko ustawiliśmy się. Drzwi otworzyły się i do celi zamiast 2 lub 3 sowietów weszło 5 lub 6 ludzi. Oprócz naszego "starszego po korpusu" i znanych nam strażników było 2 oficerów, których widzieliśmy po raz pierwszy. Uderzyło mnie, że oficerowie byli w czapkach a nie w furaczkach, a paski od czapek mieli zaciągnięte pod brodą. Na plecach wszystkich dyndały puszki z maskami gazowymi. Nowoprzybyli milcząc zlustrowali celę i gdy "starszy" po korpusu prowadził rutynową "prowierkę", wyszli na korytarz wymieniając między sobą półgłosem jakieś uwagi. Przez zatrzaśnięciem drzwi jeden z nich zwrócił się do nas:

- Zakliuczonyje! W mieście są prowadzone ćwiczenia przeciwlotnicze,

które potrwać kilka dni. W tym czasie należy zachowywać się spokojnie. Nie będą tolerowane żadne ekscesy.- Po otnaszeniu k' winowym budut priniaty sootwietstwujuuszczyje miery - zakończył pogrózką.

Wydawanie chleba opóźniało się; byliśmy coraz bardziej głodni i przekleństwa na ruski bażagan stawały się coraz bardziej finezyjne i wielopiętrowe. Znowu zawarczały samoloty i zawyły syreny alarmowe. Grupa więźniów zgromadzonych pod oknem usiłowała dojrzeć, co się dzieje na zewnątrz. Wysoko na niebie pojawiło się kilka samolotów biorących wirat w zwartym szyku. I wtedy Warszawiak nagle wrzasnął:

-Panowie! To niemieckie samoloty! Mają krzyże na skrzydłach.-

Zrobił się niesamowity rwetes. Wszyscy cisnęli się pod okno z zadartymi głowami, ale samoloty już znikły i tylko ich warkot zamierał w oddali.

Warszawiak podniecony zaklinał się, że takie same samoloty bombardowały Warszawę, że to wojna, że Niemcy rąbią po Sowietach, że to nie żadne ćwiczenia, że to wojna. Wojna! Wojna!

W ogólnym zamieszaniu cęła podzieliła się na dwa obozy - tych, którzy uwierzyli w wybuch wojny i sceptyków, którzy uparcie utrzymywali, że to niemożliwe. No bo skąd nagle i tak niespodzianie ta sowiecko-niemiecka współprasa mogła przerodzić się w krwawy konflikt.

Jak to wpłynie na nasz los i los naszych rodzin? Czy wezmą nas do wojska, czy wywiosą do Rosji, a może jakaś bomba trafi w więzienie i ci, co przeżyją, będą mogli uciec. Rozgorzały namiętne dyskuaje i spory-huczako w celi jak w ulu, a z korytarza i sąsiednich cel też dochodziły przytłumiony szum i pojedyncze okrzyki. Nadsłuchiwalismy, co się dzieje na zewnątrz, lecz w górze nie pojawiały się żadne samoloty i letnie niebo było puste.

Koło południa wydano nam chleb. Więzień rozdzielający "pajki" pod okiem strażnika zdołał szeptem potwierdzić, że jest wojna, a na podwórzu więzienia pełno jest wojska i samochodów.

Do wieczora oprócz chleba i wody nie dostalismy nic więcej i nikt nie zaglądał do celi. W końcu na nasze walenie w drzwi wyprowadzono nas

grupami do ustępu, ale nie pozwolono nawet się umyć. Wieczorem nie było "prawierki" i zrozumieliśmy, że wszystko rozpręga się i normalny więzienny porządek djabli biorą.

Popołudnie minęło chyba bez bombardowania, lecz w nocy znowu pojawiły się samoloty i z rzadka z różnych stron miasta dochodziły odgłosy wybuchów.

Leżeliśmy w niebieskawym półmroku rozdygotani, niespokojni i pełni oczekiwania - chyba nikt z nas nie spał. Ciała szumiała gwarem niekończących się rozmów.

Nad ranem, gdy już było widno, przestały nad naszymi głowami brzęczeć samoloty i ustało nękające nocne bombardowanie miasta, lecz na podwórzu więziennym zaczął się ożywiony ruch. Warszwały samochody, słychać było pokrzykiwania, a z korytarza dochodziły trzaskania drzwiami, komendy i nieustający rejwach.

Rano, gdy wyprowadzono nas do ustępu, zauważyliśmy na korytarzach sowieckich żołnierzy z karabinami i nasadzonymi na nich bagnietami, a po rannej "prawierce" pojawił się naczynany nam oficer i zakomunikował, że pojedziemy "w transport", a przed wyjazdem każdy otrzyma na drogę bochenek chleba. Polecił nam zabrać nasze rzeczy i nasze "kaziennne" miski.

-No, bratcy, jak nas wywożą, to znaczy, że "niepabiedimaja" w dupę bierze od Siermańca^v - rzucił ktoś, gdy drzwi zamknęły się za Ruskim.

Odgłosy dochodzące do nas wskazywały, że ewakuacja więzienia jest w pełnym toku i, jak mogliśmy się domyślać, kolejne cele są ładowane na samochody. Czekaliśmy naszej kolei, ale ponieważ siedzieliśmy na ostatnim piętrze więzienia i to prawie w końcu korytarza, liczyliśmy, że wywożą nas na końcu.

Niespokojni i podnieceni nasłuchiwaliliśmy, co się dzieje; wczesnym popołudniem ustał warkot ciężarówek, choć gwar głosów dochodzących z podwórza i pokrzykiwania z wnętrza gmachu trwały nadal. Zapewne więźniowie byli wyprowadzani na piechotę, a samochody były potrzebne do innych celów. Więzienie musiało już być prawie puste, bo powoli ruch ustawał:

a odgłosy z korytarza wskazywały, że wyprowadzono więźniów z cel na naszą piętrze.. Wiedziałem, że za kilkanaście minut przyjdzie kolej na naszą celę i zacznie się nowy, nieznany etap w moim życiu. Z tłumoczkami i miszkami czekaliśmy na obiecany chleb, niektórzy skupieni przy drzwiach, inni pod oknami, starając się dojrzeć, co się dzieje w górze i nadsłuchując głosów z więziennego podwórza.

W miarę upływu czasu panujący na podwórzu szum przyeichał, mniej było biegania i pokrzykiwań strażników i ze zdumieniem stwierdziliśmy w pewnym momencie, że w gmachu zapanowała cisza.

W napięciu wytężyłem słuch, lecz w więzieniu było głuche, a jedynie przez okno wpadały jakieś dalekie odgłosy i pogwizdywanie parowozów na dworcu.

Zaczęliśmy się zastanawiać, co to może oznaczać i czy przypadkiem nie przerwano ewakuacji odkładając ją do jutra. Byliśmy już psychicznie nastawieni na opuszczenie więzienia i perspektywa spędzenia następnej nocy w zamknięciu przy prawdopodobnym nocnym bombardowaniu Wielna, wielu z nas zupełnie nie odpowiadała, zwłaszcza, że na posadzkę wylewała się cuchnąca zawartość przepelnionego kibla i w celi trudno było oddychać. Ktoś zaczął wołać, aby pozwolono nam wynieść "paraszkę" i walił w drzwi, lecz nie odnosiło to żadnego skutku.. Nikt nie nadchodził i korytarz rozbrzmiewał jedynie łomotem pięści uderzających w drzwi naszej celi, a wkrótce i cel sąsiednich. Co pewien czas łomot ustawał i wszyscy nadsłuchiwali, czy nie dotrą do nas jakieś dźwięki; to napięte oczekiwanie spajało nas wszystkich jakby w jeden organizm pulsujący niepewnością i ~~oczekiwaniem~~.

- A może ich już i nie ma?- zabrzmiał czyjś głos - prosto zostawili nas i uciekli - brzmiało w nich pytanie i cień nadziei, która powoli budziła się w każdym z nas.

- Przez okno popatrzajcie! Czy jest kto na "bociance"?-

Kilku młodszych rzuciło się ku oknom. W kilka chwil dwóch więźniów wspięło się na ramiona stojących pod ścianą i wyjrzało na zewnątrz przez otwarte okna. Przyciskając twarze do krat usiłowali dojrzeć, czy na strażnicy umieszczonej na murze w najbliższym rogu podwórza jest uzbrojony wartownik.

- Nikogo niema - wrzasnął obserwator - Bocianka pusta! -

- A na podwórzu? Popatrzaj na dół!-

- Kiedy nie widzę, ta cholerna blacha zasłania. Podsaďte chłopcy wyżej. Mimo zbiorowych usiłowań nie dało się zobaczyć, co dzieje się w doł.

Cela wrzała, a przez ścianę dochodził gwar głosów i okrzyki z kilku sąsiednich cel.

Nagle rozległy się dźwięczne uderzenia, zwielokrotnione przez echo w korytarzu. To walono czymś ciężkim w obite blachą drzwi. Zrozumieliśmy, że sąsiednie cele wyłamują drzwi.

- Rebiata! Ławkę dawajcie! Drzwi rozpieprzamy!-

Kilkanaście rąk chwyciło jedną z dwóch ciężkich ław i zaczęliśmy walić nią w drzwi celi. Uderzając tą ciężką dechą w blachę czułem jak sprężyste odskakuje od drzwi, które dygotały pod naszymi uderzeniami, ale nie puszczały.

-Co wy robicie? Oni wrócą i wszystkich nas rozwalą! Zmierzajcie się i nie wywalajcie drzwi! (biegała część wystraszonych więźniów.

Łapano nas za ręce pragnąc powstrzymać, ale tłukliśmy ławą w zapamiętaniu, choć bez widocznego efektu - drzwi nie ustępowały. Uderzający więźniowie zmieniali się, lecz wkrótce jedna z ław popękkała na szcząpy, a drzwi jedynie nieznacznie wygięły się koło zamka i tynk podpadał koło futryny.

Zadyszany odszedłem na bok robiąc miejsce następnym i o mało nie upadłem potknąwszy się o coś.

To klęczał na posadzce "Dziadźka" ze złożonymi jak do modlitwy rękoma i zaklinał nas na wszystkie świętości, żebyśmy przestali. Po policzkach i siwych wąsach spływały mu łzy, a głos śmał się w szloch.

- Zabiją nas wszystkich! Matko Boska Ostrobramska zmierzaj się nad nami! Opamiętajcie się ludzie! Panie Boże ratuj nas!-

Widziałem przerażenie starego człowieka, ale nie czułem współczucia, jedynie złość, że chce nam przeszkodzić w drodze ku wolności.

Wkrótce i z drugiej ławy posypały się szcząpy; drzwi wyraźnie były wygięte i odstawały z jednej strony od futryny. Gdy razem naciskaliśmy

je, tworzyła się szczelina, ale zamek czy też zasuw trzymały nadal. To były solidne drzwi przedwojennego więzienia.

Nie wiem, czy którejs z cel udało się wkońcu wyłamać drzwi, czy też do więzienia dostali się ludzie z zewnątrz, ale w pewnej chwili na korytarzu zabrzmiały krzyki, tupot nóg i gwar liczny ciąg głosów.

Drzwiczki judasza w naszej celi otworzyły się, mignęła w nich najpierw jedna, potem druga twarz i jakiś głos zawołał:

- Trzymajcie się! Zaraz rozwalimy zamek. Czerwoni uciekli- będziecie zaraz wolni!-

Posypały się uderzenia czymś ciężkim, a potem w szparę między drzwiami i futryną wsunął się koniec jakiejś sztaby czy łomu. Pchaliśmy drzwi od wewnątrz, a z zewnątrz ludzie podważali je łomem, aż nagle coś zazgrzytało, drzwi odskoczyły i gromada więźniów poleciała na korytarz waląc się jeden na drugiego. Wszyscy rzucili się ku wyjściu, krzycząc, przepychając się i deptając leżących.

Wykorzystałem z celi i wpadłem w czyjeś otwarte ramiona - ścisnąłem i całowałem jakiegoś nieznajomego mężczyznę, ktoś mnie klepał po ramionach, potrząsał ręce. Wokół było pełno ludzi, wszyscy krzyczeli, ścisnęli się, śmieli, wymachiwali rękami- istna szaleństwo i wybuch nieokiełzanej radości! Zauważyłem, że w tłumie niewielu było więźniów /odróżniała ich bladeść i ostrzyżone głowy/, a większość stanowili ludzie z ulicy - chyba robotnicy i młodzi chłopcy.

Rozbijano jeszcze pojedynki w końcu korytarza, ale drzwi cel zbiorowych były już otwarte, a cele puste. Chciałem pomóc w uwolnieniu tych kilku ludzi w pojedynkach, podniosłem z ziemi jakąś zasuwę, lecz nie mogłem docisnąć się do rozbijanych cel. Zrozumiałem, że inni wypocząci i silni uporają się z tym lepiej odemnie. Zawróciłem i pobiegłem korytarzem ku schodom, obijając się o ściany i przepychając pomiędzy nadbiegającymi z dołu. Zbiegłem na dół po schodach pokrytych słomą z sienników. Na parterze mijalem otwarte cele, potem jakieś pokoje z poprzewracanymi meblami - na ziemi wałało się pełno papierów. Zadyszany wypa-

łem na podwórze i zaraz zrobiło mi się słabo; może to wpływ świeżego powietrza, którym odetchnęłam pierwszy raz po przeszło 3 miesiącach, a może poprostu znudzenie. Oparty o ścianę patrzyłam na niewielką przestrzeń otoczoną wysokimi murami pogrążoną w niebieskawym, jak mi się wtedy wydawało, cieniu, nad którą jaśniało pogodne przedwieczorne niebo. Na podwórzu więzienia kłębił się tłum ludzki - mężczyźni, kobiety, wyrostki - wszyscy się przepychali i dokądś spieszyli. Wielu z nich niosło jakieś pudła i skrzynki, konserwy, które wypadały im z rąk i toczyły się po bruku, jakieś koce, bieliznę.

Zaciekawiony, wcisnąłam się w otwarte drzwińskiego budynku i znalazłam się chyba w magazynie więziennym. Było tu pełno ludzi, którzy deptali po rozsypanym na ziemi cukrze lub soli, przepychali się do półek, ścigali skrzynki i jakieś ubrania. W górze w szerokim rozkroku między dwoma regałami stał młody mężczyzna i rzucał w tłum całe naręcza szarych żołdackich szyneli - złapałam jeden z nich - już uległam psychozie tłumowi grabiącego bezpańskie dobro! Na najwyższej półce leżał cały rząd wojskowych czapek z czerwonymi otokami, ich nikt nie ruszał.

Popychany ze wszystkich stron, trzymając na piersi kłęb szarego szorstkiego sukna przepchnąłam się do wyjścia, aby szybciej na powietrze, pod odkryte niebo. Z jaką przyjemnością oddychałam pełną piersią ciepłym czerwcowym powietrzem, a nie zaduchem celi i patrzyłam na otaczających mnie zewsząd ludzi opalonych, normalnie ubranych, blondynów, brunetów, uczesanych lub rozczochranych - ale z włosami na głowie.

Zacząłam w tłumie szukać wzrokiem więźniów; spostrzegłam ich zaledwie kilku - dwóch taszczyło z wysiłkiem jakąś skrzynkę, któryś otoczony przez kobiety coś opowiadał gestykulując, inni przepychali się do bramy. Wychodząc na ulicę natknąłem się na Żyda-piekarza, z którym ostatnie siedziałam razem; nie wiem dlaczego, serdecznie uściskaliśmy się, choć w więzieniu nie łączyło nas nic. Żegnając mnie podał adres piekarni, gdzie pracował z zapewnieniem, że zawsze u niego dostanę chleb, jeżeli będzie go brakować w mieście. Informacja ta przydała się w przyszłości i rzeczywiście kilka razy przynosiłem od niego do domu gorące bochenki, podczas gdy ludzie

stali godzinami w kolejkach po pieczywo.

Jakie to dziwne uczucie, gdy znalazłem się na ulicy i mogłem tak iść przed siebie wśród nieznanym ludzi, którzy oglądali się za mną, poznawali, że jestem stamtąd, niekiedy zagadywali, jak było w więzieniu, dopytując się, czy nie spotkałem tam takiego lub takiego. Częstoowano mnie papierosami, jakiś mocno podchmielony facet dawał mi pieniądze i uparcie wpychał mi je, gdy nie chciałem ich wziąć. Wszystko to było jakies nierealne i podniecające.

Ostrzegano mnie, aby uważać, bo czasem przejeżdżają ciężarówki z sowietami i można spotkać grupy żołnierzy, lepiej schować się wtedy do bramy, bo choć już uciekają z miasta, ale jeszcze mogą w łeb strzelić. Rzeczywiście z daleka, gdzieś z prawej, słyhać było strzały i rzadkie serie z broni maszynowej.

Szedłem ostrożnie, gotów w każdej chwili skryć się w bramie. Zmierzałem ku śródmieściu wybierając małe uliczki, omijając szerokie, po których przejeżdżały samochody. Zastanawiałem się, czy nie rzucić "zdobyczy" szynel, ale przyszło mi do głowy, że nie mam żadnego ciepłego palta, bo to, w którym mnie aresztowano, przepadło w więzieniu, a z tego, co ściskam pod pachą, może da się coś uszyć na zimę.

Zapadał zmrok. Posuwałem się wąskimi żydowskimi uliczkami pomiędzy ul. Zawalną i Wielką. Sklepiki zamknięte, na dworze niewielu przechodniów, w bramach całe gromady szwargocących Żydów podnieconych i wylekniionych. Żadnych żołnierzy ani milicjantów. Nikt mnie nie zaczepiał, choć czułem niespokojne spojrzenia rzucone przez mijanych przechodniów. Wyglądałem podejrzanie, w wymiętym brudnym ubraniu, z ostrzyżonym łbem, rzadkim zarostem i nędzną bródką, pokrywającą bladą, ziemistą twarz z zapadniętymi oczyma. Nie można było mieć wątpliwości skąd przybywam, więc lepiej trzymać się od takiego z daleka.

Co o mnie myślą spotkani ludzie było mi zupełnie obojętne. Przecież byłem wolny i szedłem do domu - za godzinę uściskam Matkę, umyję się, najem, dowiem się, co się zdarzyło od mojego aresztowania.

wania i będę mógł długo, długo opowiadać i rozmawiać przy prawdziwej gorącej herbacie.

Byłem głodny, ale przede wszystkim chciało mi się pić. Przeciąłem ulicę Dominikańską i szedłem jakąś nieznaną mi wąską ścieżką w kierunku centrum.

W bramie po lewej stała grupka ludzi, do których podszedłem prosząc o wodę. Ta kobieta podprowadziła mnie do kranu w podwórzu - nareszcie mogłem się napić i obmyć twarz i ręce w strumieniu chłodnej wody.

Wokół mnie zgromadziło się kilkoro ludzi.

- Co z transportu uciekłeś? ktoś zapytał.

- No nie, wyszedłem z więzienia. Na Stefańskiej.

- A mówili, że z Łukaszek i Stefańskiej wszystkich popędzili na stację i wywieźli na wschód. To jakżeś to ciebie pierwszej wypuścili? - w pytaniu brzmiała nieufność.

Opowiedziałem pokrótce, jak nas uwolniono.

* No to, bracie, tobie poszancowało! - powiedział młody człowiek w koszuli z zawiniętymi rękawami - I co, do domu prujesz? Daleko mieszkasz? -

Gdy dowiedzieli się, że na ul. Mickiewicza, wszyscy zgodnie stwierdzili, że teraz tam nie dostanę się, bo na ulicy Wileńskiej jeszcze pełno bolszewików i napewno mnie zatrzymają.

- Oni teraz wieją na most Zielony i na Kalwaryjską. Tak, tamtędy nie przejdiesz, bo odrazu widać, jaki ty ptaszek. A jak ciebie, bracie, zatrzymają, to już tobie będzie kajuk - stwierdził starszy jegomość - lepiej ty tu poczekać, aż ta zaraza przewali się. Szkoda by było teraz popaść się im w łapy.-

-Prawda, lepiej tu poczekać - skonstatowała kobieta - to już długo nie potrwa, bo uciekają tak, że wszystko rzucają, co tu nakupili i narabowali. Żeby tylko na maszynę dostać się, to prostu biją się nieprzytomnie!

- A długo przyszło się siedzieć? I za co zamknęli? -

Odpowiadałem na pytania, ale w myśli kombinowałem, jak jednak dobr-

nąć do domu - chciałem się tam znaleźć jaknajszybciej, a ponad to gnęliż mnie niepokój o Matkę.

- A pewnie Pan i głodny? powiedziała kobieta. Wiadome ^{2/} jak oni was tam karmili. Chedź pan do mnie, to coś przekąsasz póki co--.

Nie miałem sił odmówić. Za chwilę siedziałem przy stole nad jakąś zupą odgrzaną naprędce z pajdą chleba w dłoni. Jak to mi smakowało!

Oprócz gospodyni były tam jakieś dzieci i ów młody człowiek w koszuli, do którego ¹ odrazu poczułem sympatię.

Jedząc opowiadałem o więzieniu i słuchałem ich relacji o aresztowaniach i wywożeniu całych rodzin / coraz bardziej niepokoiłem się o Matkę/, wybuchu wojny, bombardowaniu miasta i panice wśród Sowie-
tów, Litwinów i Żydów.

- A co tam⁹ będzie, jak przyjdą Niemcy? Żeby tylko nie bili się w mieście i tych bomb z samolotów nie rzucali, a to mogą nas wszystkich pozabijać albo i dom spalać - troskała się gospodyni. To, że wkrótce wkroczą do Wilna Niemcy nie budziło niczyjej wątpliwości, ale dalsza przyszłość rysowała się mgliście. Tymczasem jednak przeważała radość z ucieczki bolszewików.

Była już noc ⁹ go² z moim młodym znajomym wyszliśmy, aby zobaczyć, co dzieje się w najbliższej okolicy. Doszliśmy do ulicy Ludwisarskiej całkowicie pustej. Po lewej przez skrzyżowanie odległe o ok. 100 m przejeżdżały czasem samochody i słychać było człapanie koni po bruku. Mimo dość jasnej nocy nie wiele mogliśmy dojrzeć, co się tam dzieje, bo latarnie były zgaszone, a samochody jechały bez świateł. Z dołu po prawej dochodziły odgłosy pojedynczych karabinowych wystrzałów. Czasem zagwizdała kula odbita od ściany lub od bruku - strzelało wzdłuż ul. Ludwisarskiej.

- No sam pan widzisz, niema co pchać się pod kule. Lepiej przeno-
cuj Pan u mnie, a rano zobaczymy jak będzie - padła propozycja.

To było chyba najlepsze wyjście. Po stromych schodach weszliśmy na poddasze, gdzie mieszkał mój nowy znajomy. Przed snem jeszcze wypiliś-

my nieco pod jakąś konserwę z chlebem, a potem rozciągnęłam się na podłodze na kołdrze czy pierzynie i nakryty zdobyczym szynelom błogo zasnąłem. W nocy kilka razy budziły mnie odgłosy bomb i strzały, ale po chwili zasypiałem znowu w poczuciu pełnego bezpieczeństwa.

Obudziłem się wczesnym, słonecznym rankiem. Wokół panowała cisza przerywana jedynie miarowym pochrapywaniem mojego gospodarza. Nie było widać z zewnątrz żadnych strzałów ani warkotu samochodów. Wygramoliłem się z posłania i gdy wkładałem buty, obudził się mój młody znajomy. Spieszno mi było do domu, więc mimo propozycji zjedzenia razem śniadania podziękowałem mu serdecznie za nocleg i poprosiłem o przechowanie sowieckiego szynela, po który zgłoszę się za parę dni. Byłem wdzięczny tym wszystkim prostym ludziom, których gotowość do udzielenia mi pomocy była tak niewymuszona i szczerą-naturalny odruch u tych, którzy zap/wie sami nieraz byli w trudnym położeniu.

Na Śworze był piękny słoneczny poranek, a godzina jeszcze wczesna, pewnie około piątej. Uliczka była zupełnie pusta, a wokół panował spokój i cisza. Wyjrzałem na Ludwiaraką. Nikogo. Na skrzyżowaniu Ludwiararskiej i Wileńskiej cisza. Wyszedłem z zaułka, przeszedłem na drugą stronę ulicy, rozglądając się uważnie, gotów w razie zagrożenia skryć się w bramie.

Niedaleko skrzyżowania ulic na chodniku leżał nieruchomo na brzuchu żołnierz w zielonym litewskim mundurze i sowieckim hełmie, ale bez broń. \int pod hełmu skrywającego twarz, ciągnęła się w dół ulicy wąska ciemna smuga skrzepłej krwi. Był martwy. Ominęłam go i wyszedłem na ulicę Wileńską, jeszcze pustą o tej wczesnej porze. Lewa strona ulicy była zacieniona, lecz okna po prawej błyszczały w porannym słońcu.

Gdzieś \int niegdzie przemykali pojedynczy przechodnie, ale w bramach już gromadzili się mieszkańcy omawiając wypadki nocy. Skierowałem się ku ulicy Mickiewicza. Na chodnikach leżały śmieci, jakieś szmaty i porozrywane kartonowe pudła, a pod nogami chrzęściły szkło z powybijanych

okien.

Szedłem coraz śmielej, bo nie było ni śladu wojska lub milicji. Koło "Uniwersmagu", dawnego domu handlowego Braci Jabłkowskich, na środku ulicy leżała para martwych koni, lecz nigdzie nie widać było śladów bombardowania. Domy wyglądały normalnie i gdyby nie szkło na chodnikach, nic nie wskazywałoby na wojnę.

Nasz dom w głębi podwórza był cały, nawet nie brakowało szyb w oknach. Wbiegłem po schodach i nacisnąłem dzwonek. Cisza - nikt nie otwierał. Pomyślałem, że Matka dokąd wyszła, może do Błosieszewskiej, która mieszkała w tym samym podwórzu. Postanowiłem zaraz tam iść, lecz jeszcze automatycznie nacisnąłem na klamkę i o dziwo, drzwi otworzyły się. Nie były wogóle zamknięte na klucz.

W mieszkaniu nie było nikogo, lecz wszystko było na swoim miejscu, a w pokoju Matki pościel wskazywał, że Matka spędziła tu noc. Dzwoni od balkonu wychodzącego na Zaułek Gazowy były otwarte, bez szyb, lecz na ziemi nie było szkła - już je uprzątnięto. W kuchni czajnik był jeszcze ciepły, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że Matka wyszła na miasto i zaraz powróci.

Postanowiłem umyć się i przebrać, a potem czekać, czy lub ruszyć na poszukiwanie Matki. Zrzuciłem moje łachy i wlażłem pod prysznic. Rozkoszowałem się strumieniami zimnej wody, gdy usłyszałem, że ktoś wchodzi do mieszkania i zatrzymuje się w przedpokoju.

- Kto tam jest? - zabrzmiał głos Matki z odzieniem niepokoju. Świadom teatralnego efektu tej chwili powiedziałem normalnie:

- To ja Mamo.

- Jezus, Maria! Gucio! Syneczku. Wróciłeś!

Złapałem ręcznik i pospiesznie na łapu capu wycierałem się, podczas gdy Matka przed drzwiami łazienki coś mówiła urywanymi zdaniami, rozdygotanym ze wzruszenia głosem. Po chwili podtrzymując jedną ręką ręcznik owinięty wokół bioder, drugą obejmowałem dygoczące plecy Matki i całowałem twarz wilgotną czy to od łez czy też od kropli wody ściekających z

mege zmoczonego Iba.

A potem, gdy już miałem na sobie czystą bieliznę/ co za rozkosz// i w przeszczu kąpielowym siedziałem przy gorącej herbacie, a na stole stało wszystko, co najlepszego było w domu, opowieściom nie było końca i było właśnie tak, jak sobie wyobrażałem mój powrót tam w celi, leżąc między chrapiącymi współtowarzyszami, brudny, pogryziony przez wszy i głodny.

Ale te przeszło trzy więzienne miesiące miałem już poza sobą; przyniosły mi one wiele doświadczeń i wrażeń, których nigdy inaczej bym nie przeżył. A, że zapłaciłem za nie stosunkowo niską cenę, więc jestem za to wdzięczny Opatrzności.

II/1268/2KW

Wiatr nadleciał od strony niezłatego pola. Przygniótł do ziemi kłosa, zawirował wśród leżących snopów, porwał garście złatego zboża i poniosł je ku drzewom stojącym wzdłuż drogi. Śmieszny kapelusz Igora sfrunął mi z głowy i potoczył się w podkokach porzysku. Igor zaklął po "matuszki" i popędził za nim, przegięty do tyłu opierając się podmuchowi. Biegł niezdarnie na ugiętych nogach z wyciągniętą ręką, choć kapelusz był już daleko. Wasyl zarechotał i zastygł z widłami wbitymi w leżący przed nim snop, patrząc z satysfakcją na daremne wysiłki Igora pędzącego za kapeluszem. Nawet nasza kara kobyłka zadreptała w miejscu i przywarła bokiem do dyszla jakby szukając oparcia u swego zwalistego towarzysza - kasztana. Wiatr doleciał do drzew, przygiął ich wierzchołki, zaszarpał gałęziami i zaszumił w ciemnym wnętrzu parku.

- Nie uspejem - para kańczat' - powiedział Wasyl i korzystając z chwili ciszy pośpiesznie wrzucał leżące obok snopy na furę.

Spojrzałem na niebo. Wał skłębionych niskich chmur nasuwał się coraz bliżej, a podmuchy wiatru pędziły ich strzępy po jasnej części nieba, po którym szybko sunęło kilka wron. Pachniało kurzem spieczonej upałem ziemi lecz już wyczuwało się ożywcze tchnienie nadciągającej burzy. W głębi nieba przewalił się jeszcze daleki grzmot. Konie zastrzygły uszami.

- Tak, nie zdążymy przed deszczem - powiedziałem - Wasyl zakładaj parubień, jedziemy!

We dwóch mocowaliśmy na furze drąg przyciskający snopy, spiesząc się i płacząc w zwojach liny. Wrócił Igor już w kapeluszu, który znalazł w krzakach rosnących nad rowem i wtedy nadleciał drugi podmuch wiatru, a po nim pierwsze ciężkie rzadkie krople uderzyły nas w spocone plecy. Razem z Wasylem ciągnęliśmy linę

owiniętą o koniec drąga i zaczepioną z tyłu fury, wieszając się na niej całym swym ciężarem, przekładając ręce i postępując z wysiłkiem.

Przytrzymując jedną ręką kapalusz Igor zbierał leżące na ziemi lejce i kiedy uporaliśmy się z liną, cmoknął na konie, które z wysiłkiem ruszyły furę i chwiejącą się pociągnęły po rżysku ku drodze.

Deszcz padał już gęsto a chłodne strumyki ciekły mi po twarzy i przenikały za kołnierzą rozpiętej koszuli. Spieszyliśmy się. Igor pokrzykiwał na konie szarpiąc lejcami. Wóz przejeżdżając przez płytki rów oddzielający pole od drogi zakołysał się gwałtownie; podparliśmy go razem, aż szarpnięty przez konie ~~podkoczek~~ podkoczek na koźleniach i miękko potoczył się po drodze alei.

Tu, pod drzewami, nie czuło się jeszcze deszczu choć szumiał on wśród gałęzi i tylko przy gwałtowniejszych podmuchach wiatru nieliczne krople uderzając w kurz drogi toczyły się po wysuszonym piasku jak piłeczki krasneludków. X

Już było blisko do stodoły. Jeszcze skręt w prawo na boczną drogę obrzeżoną rozroszonymi łopianami, z głębokimi koleinami, gibnięcie się fury na trzeszczących drągach i gałęziach, którymi zarzucono wgłębienie na jej środku, gdzie w czasie jesiennych deszczów rozciągała się wieczna kałuża, ponowny skręt w lewo i już wóz wjeżdżał, dygocząc po wybrukowanym podjeździe, w otwarte wrota stodoły.

Konie ściągnięte lejcami hamowały rozpedzoną furę aż chomonta zsunęły się im po uszy a koniec dyszla wyprysnął w górę.

We wnętrzu, w półmroku rozświetlonym jedynie bladym światłem przenikającym przez szczeliny w przeciwległych wrotach, stojące powietrze pachniało słomą i kurzem.

Zdecydowaliśmy, że wozu nie będziemy rozładowywać zaraz, bo lepiej będzie, gdy zmoczone snopy wyschną przez noc. Trzeba było wyprząc konie, które stały nieruchomo parując zmęczeniem z mokrych

grzbietów i boków.

Kasztan opuścił swój wielki łep, a dolna warga zwisała mu odsłaniając pośóźnie zębiska. Poruszał nią co chwila, jakby szeptem żalił się na swój parazyty koński los. Przejęty nagłym współczuciem, ująłem od dołu jego wargę - wypełniła mi dłoń ciepłym i miękkim ciężarem. - Jak pierś kobiety - przemknęła mi nagle myśl. Poklepałem kasztana po szyi i w ostrym zapachu końskiego potu zabrałem się do ściągania z niego uprzęży. Wasyl wyprzągnął już kobyłkę i odprowadził ją do wrót, w których ciemniała nieruchomo sylwetka wpatrzonego w strugi deszczu Igora opartego ramieniem o futrynę..

- Ten drań zawsze miga się od roboty - pomyślałem ze złością. Od samego początku, gdy obaj z Wasylem zjawili się we dworze, kryjąc się przed Niemcami, zawsze był dziwnie niechętny wszystkim i wszystkiemu. Wasyl, jak sam opowiadał, był przed wojną kowalem w jakimś kołchozie i chętnie pomagał we wszystkich pracach w gospodarstwie. Oczywiście nie przemęczał się zbyt, ale uważał to za całkiem naturalne, że za jedzenie, dach na głowę i ochronę przed Niemcami trzeba coś dać wzamian.

Inaczej było z Igorem. Podawał się za geometrę i sytuację w jakiej się znalazł uważał z jakiegoś powodu za krzywdzącą i poniżającą. Drażliwość ćwierćinteligenta łączyła się w nim z niechęcią do wszystkiego co "pańskie" i polskie. Nawet do służącej Zosi zwracał się ironicznie i uszczypliwie, nic więc dziwnego, że go nie lubiano. Zapewne był komunistą, choć w czasie długich dyskusji, które prowadziliśmy z nim, czy to piżując i rąbiąc drzewo na opał, czy też w czasie odpoczynku w pracach polowych, nigdy nie wypowiadał się jasno, nie brenił Rosji, ale zato chętnie i zjadliwie atakował wszystko, co było odmierne od tego, do czego przywykł. Nie opowiadał nic o sobie ani o swej przeszłości, co mogło być zrozumiałe w obecnym jego położeniu, o ile miał coś do ukrycia.. Najwyraźniej separował

się od otoczenia i nie cieszył się niczyją sympatią.

Stał teraz nieruchomo we wrotach stodoły na tle szmaragdowej trawy i ciemnych drzew sieczonych strugami deszczu w swym pomiętym, zsuniętym na oczy kapeluszu, z pod którego spływały na kark mokre kosmyki włosów.

Dach stodoły pokryty "dziorką" huczał pod uderzeniami deszczu, ale jej wnętrze tłumiło przewalające się nad nami grzmoty. Raz tylko wstrząsnął nami suchy trzask bliskiego pioruna, a półmrok rozświetlił się fosforycznym blaskiem. I zaraz potem, jak gdyby burza załamana się w tym akordzie, wiatr ucichł i tylko deszcz lał równo szumiąc jednostajnie. Przed drzwiami stodoły strumyczki mętnej wody spływały po kamieniach i nikły w trawie, która po długiej suszy zdawała się pęcznieć w strugach ożywczego deszczu. Powietrze stało się rześkie i dziwnie przejrzyste, a niebo widoczne przez szczeliny powoli rozświetlało się opalowym blaskiem. Deszcz ustawał.

Wyprowadzaliśmy konie ze stodoły kiedy od strony domu pojawiła się Zośka unosząca nad głową burą chustkę chroniącą ją od deszczu. Zbliżała się szybko do nas śmijając karku i skacząc z kamienia na kamień. Gdy była już o kilka kroków poślizgnęła się na błocku i o mało nie klapnęła tyłkiem o ziemię, lecz utrzymała się na nogach w szerokim rozkroku.

- Zosia! Patrzaj, żebyś sobie nie rozerwała! - zawołał rozradowany Wasyl, ale dziewczyna nawet nie odpowiedziała. Zadyszana zwróciła się do mnie:

- Pani woła, żeby Pan prędko przyszedł, ale zaraz -. Odwróciła się, mchnęła spódnicą i okryta chustą truchtem pobiegła z powrotem.

Zostawiłem konie Wasylowi i poszedłem do domu. Na ganku stała Ciotka Mansta, podtrzymując pod szyją sweter i rozmawiała z Leonem.

Zbliżając się słyszałem nie rozróżniając jeszcze słów, jak Leon jak zwykle przez nos, rozwlekłe coś Ciotce opowiadał.

Leon, niestary jeszcze, niewielkiego wzrostu człowieczek, za dawnych przedwojennych czasów był w Zalesiu ogrodnikiem. Związany z całą rodziną pewną zażyłością, często przychodził do dworu, młaskał bowiem opodal we wsi i był niewyczerpanym źródłem rozlicznych miejscowych wiadomości i ploteczek, których Ciotka słuchała chętnie, nie zawsze jednak dając im wiarę.

Teraz właśnie przyniósł wiadomość, że dziś przed południem do oddalonego o ok. 2 km nadleśnictwa przyjechali Niemcy, co zresztą zdarzało się dość często, bo nadleśnictwo położone ~~było~~^o przy szosie ze Smorgen do Mołodeczna, miało z nimi swe służbowe kontakty. Okazało się jednak, że to są inni Niemcy, nie ci co zwykle i przyjechali w innej sprawie. Według informacji Leona, uzyskanej od jakichś tam bab z Zalesia, wizyta ta zaowocowała ewenturą, rewizją - w czasie której coś tam znaleźli-, pogrózkami aresztowania i wypytywaniem domowników o odwiedzających nadleśnictwo. W końcu odjechali w kierunku Mołodeczna, ale sprawa nie wyglądała na zakończoną.

Wiadomość mogła okazać się niepokojącą, bo nadleśnictwo nie tylko dostawało czasem ze dworu gazetki, ale wiadano tam co nieco o naszej działalności, która mogłaby interesować Niemców. Zwłaszcza wizytę Niemców mogła wiązać się ze zorganizowanym przez nas kilka dni wcześniej sfingowanym napadem bandytów na pracownicę nadleśnictwa Sikorską, przewożącą kilkanaście tysięcy marek z Zalesia do Wilejki. Wiedząc o tym transport około tygodnia wcześniej, na drodze wiodącej przez las urządziliśmy zasadzkę. na bryczkę wiozącą pracownicę nadleśnictwa z torbą pieniędzy. Zresztą Sikorska była wciągnięta w tę intrygę i gdy z krzaków wyskoczył "bandyta" z pistoletem w ręku i zarządał pieniądze, nie okazała dostatecznie przekonująco przestraszoną, co obudziło nie-

jakie podejrzenia furmana, którymi po przyjeździe do domu podzielił się z rodziną. Sprawa była szeroko komentowana wśród mieszkańców Zalesia i okolic, bowiem była to pierwsza tego rodzaju historia w tych stronach. Owym groźnym bandytą był Władek Buřak z Gaju, a pieniądze zasiliły dość chudą kasę miejscowej siatki AK. Należało więc teraz zachować czujność i chyba na pewien czas ograniczyć wizyty we dworze obcych ludzi, którzy ostatnimi czasy zjawiali się tu dość często.

Leon odchodził zapewne nieco rozczarowany, że sensacja, z jaką zjawił się, nie wywarła na nas spodziewanego wrażenia.

Słońce już jasno świeciło i tylko kałuże na drodze i rzadko kapiące krople z gałęzi drzew wakażywały na niedawną burzę.

Gdy kobiety zebrane przed domem omawiały ostatnie zdarzenie i dzielili się swymi uwagami z obu naszymi Ruskami, a my w jadalni z Ciotką i jej córką Zochą zastanawialiśmy się, co teraz należy czynić, przed dom zajechał na rowerze Witalis, jak zawsze stateczny i bez zbytecznego pośpiechu, choć nieco zabłocony i w przemoczonej wiatrówce. Przywitał się z ciotką, jak to on potrafił z właściwą dozą szacunku i serdeczności, zaszepotał na boku coś tam z Zosią /mieli już jakieś swoje sekrety/ i mocno uściskał mi dłoń, jakby zaznaczając łączącą nas tajemną więź. Jak zawsze poważny choć pogodny, wysłuchał naszej relacji o zajęciu w nadleśnictwie i powiedział, że jutro rano wyrusza w dalszą drogę, ale musi tu przenocować. Nie sądził, aby były podstawy do zbytecznego niepokoju, a najście Niemców na nadleśnictwo może łączyć się z jakąś kradzieżą drzewa lub machlojkami nadleśniczego. Mówił to wszystko przekonująco, patrząc spokojnie swymi jasnymi niebieskimi oczami i oczywiście Zocha była odrazu tego samego zdania. Stanęło na tym, że będzie się obserwować aleję wiodącą do szosy, a na wszelki wypadek nie będziemy z Witalisem nocować w domu, lecz on w stodole, a ja w budzie stojącej w sadzie.

Popołudnie przeszło jak codzień na niespiesznym krzątaniu się przy

drobnych pracach gospodarskich, których nigdy nie brakło. W pole nie pojechaliśmy, bo niezwiązane snopy stojące w kopkach musiały wyschnąć. Zmoczona ziemia parowała, a między drzewami w parku wisiała przezroczysta mgiełka. Ptaki ćwierkały i poświstywały wśród gałęzi. Oba spętane konie puszczane między drzewa skubały trawę, opędzając się od bąków nagłymi uderzeniami pięci o brzuchy lub łba o boki lśniące w słońcu wymytą sierścią. Pachniało zielakiem i mokrą ziemią. Panował spokój i zdawało się, że wszystko odpoczywa w ciszy nieruchomego powietrza prześwietlonego promieniami chylącego się ku ziemi słońca.

A jednak odczuwałem dziwny niepokój. Ciągłe wracałem myślą do zajęcia w nadleśnictwie i starałem się odgadnąć, co mogło być tego przyczyną i jakie to może pociągnąć następstwa. Pocięczałem się, że ci z nadleśnictwa nie wiedzieli o rzeczach ważnych dziejących się we dworze, a o napadzie będą milczeć chroniąc własną skórę.

O zaroku żałując pozornie bez celu zajrzałem do starej lodowni skrytej wśród krzaków na zapleczu pałacu. Na wpół rozwalona, bez drzwi, zionąca wilgocią i zapachem butwiejącej słomy i mchu pokrywanego zielonymi plamami czarną strzechę sięgającą ziemi. W dole służącemu niegdyś do przechowywania latem lodu okrytego słomą schowana była krótkofalówka - niewielka prostokątna walizeczka zawinięta w szaro-srebrzystą nieprzenikalną ceratę. Tylko raz widziałem jej wnętrze - swój przewód, pokręta i ^{złącz}przewodniki, a pod nimi krótkie angielskie napisy. Był to tajemniczy przedmiot powierzony mi do przechowania przez dwóch także tajemniczych młodych ludzi, którzy korzystając z kontaktów konspiracyjnych zjawili się wiosną w Zalesiu.

Jednego z nich znałem wcześniej. Właściwie tu tylko zetknąłem się z nim przeletnie we wrześniu 1939 roku, kiedy to po powrocie z Jugosławii, nie mogąc dostać się do wojska, zgłosiłem się do oddziału organizowanego w Wilnie przez rtm. Dąbrowskiego do walki z Niemcami. W koszarach

na Antokolu, obok kościoła św. Piotra i Pawła, wśród zbieraniny uczniów, studentów, robotników, jakichś podoficerów rezerwy, a nawet kryminalistów /jednego z nich spotkałem potem w więzieniu/ poznałem Janka z Oszmiany - studenta USB. Razem byliśmy w grupie, która dozbroiła się bronią składaną na granicy przez polskich żołnierzy przechodzących na Litwę i utworzyła kenny oddział. Wyruszyliśmy do walki dokładnie nie wiadomo z kim, a po 10 dniach włóczenia się po lasach, noclegach w osadach i wioskach, głodowaniu i przemykaniu się między sowieckimi oddziałami zostaliśmy zaatakowani i po dwóch potyczkach rozbici przez Krasnoarmiejców. Ci, co nie zginęli, lub nie zostali zapani, rozproszyli się i różnymi drogami powrócili do domu.

Oczywiście straciłem Janka z oczu, a o wiele później zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że został w Oszmianie aresztowany przez Bolszewików i słuch o nim zaginął.

Wiosną 1942 roku pojawił się w Zalesiu z kompanem, mówiącym twarde z poznańska i choć niczego konkretnego nie mogłem się od nich dowiedzieć, zdecydowałem się na współdziałanie. Zaimponowali mi swą tajemniczością i nowiutkimi pistoletami - Coltami, z wytłoczoną końską głową na kolbie. Po pewnym czasie, po kilku krótkich wizytach w Zalesiu i paru wieczorach spędzonych na długich rozmowach wypłynęła sprawa zorganizowania punktów, w których możnaby było uruchomić krótkofalówkę.

Radiostacja została zamelinowana we dworze, początkowo na strychu w świronku, a potem w starej lodowni. Brałem udział w przewożeniu jej aż pod Krasne, gdzie znalezione dogodny dom do nadawania /potrzebna była elektryczność/. Transport odbywał się furmanką lub na rowkach. Jechaliśmy uzbrojeni w pistolety / ja wtedy miałem dziewiątkę FN/ bocznymi drogami, a trasę tę, którą przemierzałem wielokrotnie w czasie swej działalności konspiracyjnej, znałem doskonale. Ryzyko było niewielkie, bo rzadko w tym czasie można było natknąć się na białoruską policję buszującą po wioskach, a Niemcy poruszali się

prawie wyłącznie po głównych szosach. Po seansie łączności krótkofalówka powracała do Zalesia i zagrzebywała ją w śniegu, gdzie wydawało się, że jest zupełnie bezpieczna.

Upewniłem się, że nic nie zmieniło się wokół lodowni, więc odgarniając gałęzie leszczyny wyszedłem na trawnik.

Przedemną rozciągał się oświetlony promieniami zachodzącego słońca długi budynek w kształcie litery L - dawny pałac Ogińskich, gdzie, według wątpliwej wersji rodzinnej, miał niegdyś powstać polonez Ogińskiego.

Ten wielki dom zarekwirowany przez Niemców stał teraz pusty, bowiem tylko na początku wojny niemiecko-sowieckiej zatrzymywały się w nim na krótki odpoczynek oddziały przeciągające na wschód szosą Oszmiana-Mołodeczno. Od szeregu miesięcy nie widzieliśmy jednak w Zalesiu żadnego Niemca i gdyby nie wysuwać nosa ze dworu, możnaby było zapomnieć, że gdzieś na świecie toczy się wojna.

Szedłem po miękkiej nie kosizonej trawie ku drodze biegnącej wzdłuż pałacu od jego frontu. Zaraz za domem na całą szerokość drogi rozlewała się wielka migocąca w słońcu kałuża, za którą biegała na wprost rozsypująca się stara, opuszczona oranżeria. Częściowe objęty cieniem rzucanym przez dom rozciągał się sad, w środku którego pomiędzy jabłoniemi jaśniała ściana domku ogrodnika. Była to dość niedbale sklecona z desek jednoizbowa chatynka, teraz zawałona wewnątrz jakimś starymi gratami i pokamanymi narzędziami.

Na stryszku, na który wejść można było po przystawionej z zewnątrz drabinie przez ni to okno, ni to drzwiczki, w szczytowej ścianie było legowisko, gdzie można było od biedy przenocować. Sypiał w nim ogrodnik, gdy jesienią dojrzewały jabłka, a dzieciaki z sąsiedniej wsi urządzały nocne złodziejskie wyprawy do dworskiego sadu. Przez drzwiczki pod strzechą można było obserwować sad i w razie potrzeby przepędzić amatorów cudzych jabłek.

Oczywiście od czasu gdy po przyjęciu Bolszewików we wrześniu 1939 roku dwór został rozgrabiony przez ekoliczną ludność, nikt sady nie pilnował, ale buda z sianem na strychu tkwiła nadal wśród drzew owocowych. Teraz postanowiłem spędzić tu kilka nocy, zanim nie wyjaśni się sytuacja.

Kolacja przeszła w pogodnym nastroju. Pod lampą naftową przy jaśniejącym stole Witalis opowiadał o wydarzeniach w Wilnie i Oszmianie, podawał ostatecznie wieści ze świata. Nie mieliśmy radia i wiadomości te docierały tu tylko, gdy przybywał ktoś z "siatki" lub przez nasze ręce przechodziła kolejna porcja "gazetek", które po przeczytaniu przekazywało się dalej.

To było lato, gdy Niemcy jeszcze ciągle parli na wschód, a nasze nadzieje na zwycięstwo aliantów były wystawione na ciężką próbę.

Zegadaliśmy się i kiedy po kolacji wyszedłem z Witkiem przed dom z zamiarem omówienia z nim kilku spraw związanych z pracą w terenie, księżyc na bezchmurnym niebie jasno oświecał dziedziniec. Z głębokiego cienia na kuchennym ganku dochodziły szepty i chichot służącej. Rozmowa nie kleiła się, bo Witek wyraźnie myślał o czymś innym. Gdy podeszła do nas Zocha w swetrze narzuconym na ramiona, stało się dla mnie jasne, że rozmowę o poważnych sprawach trzeba odłożyć do jutra - dziś wieczór jest zbyt piękny, aby przeszkadzać im w spacerze.

Przez otwarte okno dobiegały z wnętrza domu monotennie powtarzane słowa modlitwy - to Ciotka Meneta ze staruszkami odmawiała codzienną wieczorną litanię. Ja już od dawna wywleczyłem sobie prawo do nieuczestniczenia w modlitwach, tak chętnie organizowanych przez Ciotkę przy każdej nadarzającej się okazji, a zresztą byłem zmęczony po pracy przy zwózce żyta i zdecydowałem, że pora iść spać.

Umyłem się przy studni, z mego pokoju w dawnym świrnie zabrałem poduszkę i jakiś koc i wolno poszedłem wzdłuż milczącego pałacu do szopy w ogrodzie. Stare lipy alei, którą przeciąłem w poprzek rzu-

cały długi cień, a gdy odwróciłem się na chwilę zobaczyłem wielki srebrzysty księżyc tkwiący nieruchomo pomiędzy wierzchołkami drzew.

- Pełnia - pomyślałem - jutro będzie piękny dzień. To dobrze, może skończymy zwózkę.-

Na stryczku szopy w mroku słabo rozświetlonym kilku promieniami księżycowego blasku przebijającego się przez szczeliny w deskach i dziury w dachu zgarnęłam siano na jedno miejsce, łażąc na czworakach i wzbijając chmury ~~kurzu~~ ^{pyłu} wierzącego w nosie. Zrobiłem postanie, wciągnęłam drabinę, położyłam ją obok legowiska, zamknęłam drzwiczki i pewien, że zatarłam ślady swego tu pobytu rozebrałam się i owinęłam kocem.

Leżąc w nocnej ciszy przerywając jedynie odległym monotonnym poszczekiwaniem psów w niedalekiej wsi, w tę noc rozświetloną światłem księżycyca zalewającym wszystko wokół czułam się dziwnie bezpieczny w tej ciemnej, ciasnej przestrzeni - jak zwierzę w swej norze. Leniwie płynęły myśli, przed zamkniętymi oczami snuły się jakieś strzępki wspomnień, z których czasem wyrwał mnie chrobot myszy buszującej na dole w szopie, brzęczenie komara nad głową lub nagły krzyk nocnego ptaka. Ciało przyjemnie rozluźnione i głowa głęboko wtulona w poduszkę. Usnąłam.

Obudziłam się nagle zupełnie trzeźwym, wiedząc, gdzie się znajduję. Po gontach dachu nad moją głową ślizgały się smugi światła przenikającego przez szczeliny w podłodze. Wolno posuwały się lub zamierały w bezruchu wyłamniając z ciemności zwisające nieruchomo smugi pajęczyny z zeschniętymi owadami. Nagle światło zgasło. Leżałam na wznak bez ruchu, pełen niepokoju z mocno bijącym sercem. Ktoś był pod mną w szopie i świecił elektryczną latarką. Nasłuchiwałam. Słyszałam szepty, lecz nie mogłam rozróżnić słów. Nagle zatrzeszczała deska i rozległ się stuk czegoś przewracanego. Ktoś zaklął po rosyjsku i zaraz potem posypały się twarde niemieckie słowa i znów zabłysło

światło latarki.

- Ej ty - rozległo się po rosyjsku - *цейчас же слязай!* -
Leżałem nieruchomo.

- Slezaj, a tak budu stralać! - i równocześnie ostre okrzyki
po niemiecku, których nie rozumiałem.

Było jasne, że wiedzą, że jestem tu na stryszku. *Удаjąc* świeżo
obudzonego, sztucznie zasnany głosem zaczęłem się dopytywać, kto
tam, a po nowej serii krzyków i gróźb powiedziałem, że zaraz scho-
dzę.

Maczałem wokół siebie, obijałem się o szczeble leżącej na ziemi
drabiny, szukając ubrania i butów, popędzany z dołu krzykami nie-
mieckimi i rosyjskimi. W tej krótkiej chwili myślałem gorączkowo,
co mogło się stać, skąd Niemiec i Rosjanin razem, co mówić, gdy bę-
dę już tam na dole.

Pospiesznie ubrany, dopinając spodnie, boso, bo nie mogłem zna-
leźć sandałów, pchnąłem drzwiczki, które z trzaskiem uderzyły o des-
ki. Oślepił mnie blask księżycy świecącego mi prosto w twarz i
światło latarki od dołu. Znowu krzyki nagłające do pośpiechu. W dole
pode mną tkwiło kilka postaci rzucających cienie na srebrzącą się
trawę. Mocując się z drabiną, wysunąłem ją przez jasny kwadrat
drzwi i wolno opuszczałem aż z dołu pochwytyły ją czyjeś ręce.

Tyżem, w butami w ręku, schodziłem wolno czując bosymi sto-
pami chropowate kanty szczebli, aż stanąłem na zimnej i mokrej od
rosy trawie.

Obróciłem się. Przede mną w blasku księżycy stał człowiek w mun-
durze i długich butach na lekko rozstawionych nogach. Prawa ręka
oparta na zwisającym na rzemieniu MP z lufą poziomo skierowaną w
moją stronę. W lewej - latarka rzucająca krąg światła u jego stóp.
Nad głową krąg wojskowej czapki, oczy skryte w cieniu niewielkiego
spadzistego daszka.

Teras, gdy stałem na ziemi, Niemiec spokojnym już głosem, nie krzycząc, zadawał krótkie pytania, które tłumaczył na rosyjski stojący obok cywil z opuszczonym pistoletem w rękę. Za tymi dwoma nieco z boku stało jeszcze dwóch - żołnierz niemiecki w furaczerce z karabinem pod pachą i drugi człowiek bez czapki. Odpowiadałem przysiadłszy na drabinie i mocując się z sandałami, które nie chciały mi wejść na mokre stopy.

Na pytanie, co tu robię, powiedziałem, że pilnuję sadu, żeby ludzie ze wsi nie kradli jabłek, a tak w ogóle to pomagam mej Ciotce w gospodarstwie. Wyjaśniłem, dlaczego tak długo nie złąziłem ze stryżku szopy koniecznością znalezienia spodni i butów, co wywarło ironiczny uśmiech na twarzy Niemca i uwagę tłumacza-

- Skaży, szto ty tam spriatał na czerdakie? -

Krótką wymianę niemieckich zdań poprzedziła decyzję wzięcia na stryżek. Pierwszy po drabinie wspiął się tłumacz z parabellum, a potem Niemiec z obijającym się o drabinę automatem.

Świecąc latarką myszkowali na górze i słychać było, jak przegarniają siano i uderzają w gonty i deski sufitu.

Powoli uspakajałem się, a tętno serca wracało do normy. Na strychu nie było niczego, co mogłoby wywołać jakiegokolwiek podejrzenia. Ja także byłem czysty i nie miałem nic. Sprawa więc nie była jeszcze zbyt groźna. Nagle przypomniałem o Witku, śpiącym zapewne spokojnie w stodołę z trefnymi materiałami w torbie i znowu ogarnął mnie niepokój. Rozejrzałem się wokół. Stojący o kilka kroków Niemiec, młody chłopak z ręką w kieszeni i karabinem pod pachą, ze zmudzoną miną rozgarnął nogą kretowisko ziewnął przeciągle i wstrząsnął się jakby mu było chłodno - nie robił groźnego wrażenia.

Nagle posłyszałem polskie zdanie wymówione półgłosem:

- No cóż, przyjdzie się pocierpieć.-

To odezwał się dotąd milczący czwarty z grupy moich prześladowców.

Spokojny ton tej jakby od niechcenia rzuconej uwagi kontrastował z jej treścią, która znowu obudziła we mnie niepokój. Spojrzałem na mówiącego. Przyglądał mi się, jak się wydawało z zainteresowaniem, gryząc zerwane źdźbło trawy. Średniego wzrostu z okrągłą nijaką twarzą, w szarej teraz rozchylonej marynarce był typem człowieka, o którym zapomina się w parę minut po rozstaniu.

- Szpicel? - pomyślałem - chyba Polak lub dobrze mówiący po polsku.

- No tak, może być trudnowato - powiedział wolno półgłosem. Niemiec nie reagował. Zapytałem szeptem:

- Czego wy chcecie? - Nie odpowiedział na moje pytanie, ale po chwili dodał zerkając z boku na Niemca:

- Oni tu już zaczęli się z wieczora i teraz prosto przyszli: po pana-.

Serce zaczęło mi bić znowu, ale myślałem jasno. Człowiek ten powiedział "oni" i mówił do mnie "pan" nie "ty". To mogło być bez znaczenia, ale mogło stanowić pewną wskazówkę, a może i ostrzeżenie. Zaczęli się na mnie - myślałem - to źle, mogą coś wiedzieć konkretnego. Ale co?

- Czy inni są we dworze? - zaryzykowałem pytanie widząc, że żołnierz nie reaguje na naszą rozmowę. Z obojętną miną wiercił obcasem w ziemi.

Ze strychu rozległ się śmiech i głośna uwaga po niemiecku: Cywil spojrzał w górę, a potem szybko powiedział:

- Obstawili dwór - to brzmiało jak wyraźna informacja. Jest niedobrze. Świadomość niebezpieczeństwa zmuszała do podjęcia decyzji.

Uciekać czy ryzykować badanie?. Jak ostrzec Witka? Co grozi Zosi i Ciocie? Czy ktoś sypie? - To nie może być sprawa radłaństwa - to coś poważniejszego. Jeżeli uciekać, to teraz, potem nie będzie żadnych szans.

Te myśli przelatwały mi po głowie. Bałem się śledztwa - zbyt dużej wiedziałem o siatce, znałem ludzi, wciągałem ich do roboty. Bałem się, że nie znajdę skutecznych kłamstw, by osłonić siebie i innych - nie mogłem być pewien, czy nie zaczną mówić - tyle słyszało się o Gestapo. Więc ucieczka i to teraz. Ale gdzie i w którą stronę? Musiałem ryzykować.

Zerwałem śdźbko trawy i udając, że go gryzę, wskazałem nim na lewo między drzewa obrzeżające sad.

- Czy tam są? - spytałem patrząc na cywila. Jeżeli to nie szpicel, to był cień nadziei na cenną informację. Wolno pochylił głowę przytakując. Z tym samym gestem spotkał się kierunek jeszcze bardziej na lewo, tam gdzie był mostek przy młynie. Pozostawała tylko ucieczka przez rzeczkę, między krzaki porastające jej brzegi.

- A tam? - Cywil wruszył ramionami i brwi uniosły mu się do góry. Znaczyło to chyba - nie wiem.

Jeśli uciekać, to tylko tam - pomyślałem.

Obejrzałem się, gdy zaskrzyphiała drabina. Cóż dwaj złazili ze stryżaka. Niemiec stanawszy na ziemi obciągnął mundur, strzepnął spodnie, zdjął czapkę i wytarł twarz chustką, po czym zwrócił się do "mojego" cywila dając mu jakieś polecenie; chwile trwała między nimi wymiana zdań, do której włączył się także milczący dotąd żołnierz.

Potem Niemiec odwrócił się, poprawił automat zwisający mu z ramienia, skinął na tłumacza i skierował się ku drodze biegnącej wzdłuż pałacu.

- Idziemy - powiedział cywil.

Przodem żywo rozmawiając szli Niemiec i tłumacz, który gestykulując wymachiwał pistoletem - wyraźnie upajając się posiadaniem broni. Za nimi o kilka kroków szedłem ja, a z tyłu milcząc żołnierz i cywil.

Już się zdecydowałem. Skoczę w prawo w przerwę pomiędzy skrzyd-

łem pałacu a oranżeria, przez trawnik do krzaków, przez rzeczkę, a potem dalej między topolami w pole.

Jeżeli odrazu mnie nie ustrzele, to w krzakach trudno będzie mnie trafić, a potem nad rzeczkę osłoni mnie jej wysoki brzeg. To była ta szansa, której nie mogłem stracić.

Z bocznej miękkiej, porosłej trawą dróżki przez sad, wyszliśmy na szeroką ubitą drogę, na brzegu której po prawej rzucała cień na ziemię na wpół rozpadająca się ściana oranżerii. Przed nami na środku drogi jaśniała w świetle księżycza duża kałuża - To tam skoczę w prawo.

Nieznacznie zwolniłem kroku, aby znaleźć się jak najdalej od idących przede mną. Wewnętrznie spięty obserwowałem ich czujnie. Zajęci rozmową omiłąli kałużę z lewej, Niemiec przodem, Łumacz o parę kroków za nim. Gdy doszedłem do martwej tafli wody, wolno zacząłem omijać ją z prawej. Wyrzuciłem się z cienia w blask księżycza i wtedy za mną niespodziewanie buchnął okrzyk:

- Stój! - Rzuciłem się w bok, pochylony do przodu i tracąc równowagę zwałem się na ziemię. Machnąłem kozła, zerwałem się na nogi i skulony już rwałem ku czarnej ścianie krzaków. Z tyłu krzyki znieszały się ze strzałami. Pędziłem oslepiiony księżycem po jasnym jak w dzień trawniku do smugi zbawczego cienia rzucanego przez drzewa przede mną, czekając podświadomie uderzenia kuli w plecy. Wpadłem w ciemność pod drzewami, wyciągniętymi rękoma odpychałem i szarpałem gałęzie, parłem jak dzik przez krzaki w trzasku i łomocie, a za mną grzechotały strzały i rozlegały się krzyki. Zaplątany w krzak leszczyny chwilę szamotałem się bezradnie, aż udało mi się na czwarkach przebić przez sprężystą ścianę i stoczyłem się po pochyłości zarosłej zielskiem do rzeczki. Ukłękłem w błocie i chwilę słuchałem, czy mnie gonią - głosy stłumione zarosłami i odległością, krótka ostatnia seria z MP, jakby oddana na cześć mej ucieczki, przekonały mnie, że nikt za mną nie biegnie.. Wolno, schylony wszedłem do wody,

która w tym miejscu sięgała mi zaledwie do kolan. Z półotwartymi ustami, starałem się stłumić dyszenie po szaleńczym biegu i ustąpienie w ciemności panującej w parowie macałem dno stopą w obawie, że przewrócę się i pluskiem wody zdradzę moje położenie.

Tu w dole panował mrok i cisza, w której słyszałem ciurkanie wody omywającej korzenie drzew. Z daleka dochodziło rzadkie kumkanie żab i szczekanie psów złudzonych strzelaniną, lecz we dworze było cicho. Posuwałem się krokiem za krokiem dnem rzeki, a gdy wzrok przywykły do ciemności zacząłem rozróżniać pnie drzew pochylonych nad wodą i niske plamy światła przenikające z góry. Widziałem już zarys płaskiego brzegu po prawej i niską skarpe podmytą przez wiosenne wody po lewej.

- Chyba nie mają psów - pomyślałem. Przypomniałem sobie, że aby zmylić pogoń, najlepiej iść dnem rzeki, ale po chwili uznałem to za bezcelowe i wygramoliłem się na stromy brzeg po lewej, starając się nie robić hałasu. Pomiędzy pniami wierzb, przez gałęzie łoży jaśniała otwarta przestrzeń pola.

Przesunąłem się na skraj zarośli i chwilę rozglądałem się wokół szukając śladu obecności człowieka - miałem się liczyć z tym, że i od tej strony dworu może tkwić wartownik. Nie zauważywszy nikogo i niczego podejrzanego wysunąłem się z pomiędzy drzew i skulony pobiegłem bruzdą kartoflanego pola, oby jak najdalej od rzeki.

Nogi oblepione mokrymi nogawkami plątały mi się w raci ziemniaków stopy wzięły w ziemi i osuwały na zagonach, dyszałem ciężko, ale z każdym krokiem rosła we mnie pewność, że wyrwałem się Niemcom i że niebezpieczeństwo jest już poza mną. Ogarnęła mnie dziaka radość, że nie dałem się, jestem wolny i oto idę w świetle wielkiego, teraz przyjaznego mi księżycy, sam w środku pustego pola, w chłodnym przejrzystym powietrzu sierpniowej nocy.

Jakaś sprężyna, która napina bliskie niebezpieczeństwo w każdym

z ludzi, czyniąc go zdolnym do ekstremalnego wysiłku, teraz rozkręcała się we mnie w wybuchu nieokiełzanej wprost radości, poczucia siły i nieomal szczęścia. Mimo zmęczenia biegiem byłem lekki i pełen energii, którą najchętniej wyładowałbym w dzikim śpiewie jak dzikus w dżungli afrykańskiej.

Na wprost przede mną ciągnęło się otwarte pole ograniczone z prawa skośnie biegnącą linią krzaków i niewysokich drzew. Gdy doszedłem do jego skraju, usiadłem pod krzakiem, aby wysypać piasek i drobne kamyki z rozmokłych sandałów i zastanowić się co dalej.

We dworze rysującym się postrzępioną linią drzew na tle nieba panowała cisza - żaden dźwięk z tej odległości nie docierał do mnie. Było oczywiste, że kanonada towarzysząca mojej ucieczce powinna była postawić wszystkich na nogi. Liczyłem na to, że Witek śpiąc w stodole będzie miał trochę czasu, aby schować w słomie swoje materiały, a może zdoła wymknąć się i ukryć gdzieś w krzakach. Co grozi Zosi i Ciotce? Tu mogło się wszystko zdarzyć, ale prawdopodobieństwo, że je zaaresztują było według mnie niewielkie. Mogły się wszystkie zapierać i twierdzić, że o niczym nie wiedzą, a moja ucieczka wszystkie podejrzenia kierowała na mnie. A ja jak dotychczas byłem nieuchwytny.

Radiostacja. Czy o niej wiedzą i będą jej szukać? To była wielka niewiadoma. Jeżeli najście Niemców na dwór łączy się z krótkofalówką, to napewno będą robić rewizję, ale żeby ją znaleźć przetrzasując dom mieszkalny i wszystkie zabudowania dworskie musieli mieć wiele szczęścia, a ja pecha. A jak dotychczas to ja miałem szczęście, a oni pecha. Nawet to, że przed tygodniem pożyczylem Filipowi swoją senną kę i nie było jej we dworze, było szczęśliwym zbiegiem okoliczności. I w tym momencie przyszło mi na myśl, że jutro chyba będzie 28 sierpnia - dzień moich imienin.

Gotów byłem więc uznać, że udana ucieczka to był imieninowy pre-

^{tr}
zent Opaczności.

Jutro moje imieniny. Ale może to już dziś? Księżyc wyraźnie przesunął się i zniżał, choć świecił nadal jasno. Część nieba pokryły drobne białe obłoczki rozciągnięte w przejrzyste smugi.

-Która to może być godzina? - Napewno po północy, więc do wschodu słońca zostało kilka godzin. Najwyższy czas, aby ruszać dalej. Ale dokąd?

Siedząc na trawie i otrzepując mokre, oblepione piaskiem nogawki rozważałem różne możliwości. W końcu postanowiłem iść do odległego o ok. 6 km. Tenczyne, majątku wuja Wołczańskiego. Po pierwsze, dam znać, że żyję i nic mi nie jest i ostrzegę rodzinę Ciotki o najściu na Zalesie, a po drugie, będę mógł tam zamelinować się na dzień lub dwa, zanim sprawa się nie wyjaśni i nie dowien się, co dalej zdarzyło się w Zalesiu. Przeczekanie w okolicy nie przedstawiało trudności - mogłem skorzystać z kilku punktów, w których ^{ch}nie mieliśmy swoich ludzi.

Ruszyłem w drogę.

Przyszło mi na myśl, że w Tenczynie mogę natknąć się na rezydującego tam Holendra-Verwaltera, przydzielonego wujowi Lolowi przez Niemców.

Ten wielki ociężały mężczyzna więcej czasu spędzał na popijawach z Niemcami w Krewie lub Smorgoniach niż w Tenczynie, ale nie rozstawał się z karabinem. Zajmował pokój w adaptowanym na dom mieszkalny drewnianym świrnie, w którym w czasie wojny gnieździł się także ^(wuj)Lolo z Tomią. Dom mieszkalny zniszczony w czasie I wojny światowej został po odbudowaniu w okresie międzywojennym ponownie spalony w 1940 lub 1941 r.

Obecność Holendra komplikowała więc moją wizytę we dworze - zwłaszcza, jeżeli zjawię się tam nocą. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Verwalter nocuje w którymś z sąsiednich miasteczek, ale jego noc-

leg w Tenczynie także nie był wykluczony. Co zrobić, aby nie narażać Wuję i Tomiry, a i Niemcom nie dać znaku życia?

Brnąc na przełaj przez pola i łąki rozważałem, jak wybrnąć z tego, gdy do głowy wpadł mi pomysł, aby udać sowieckiego partyzanta, zanim nie zorientuje się, czy Holendra nie ma we dworze. W razie gdyby tam nocował, umknąłbym, zanim zrobiłby użytek z karabinu, a nikt z domowników nie byłby narażony i posądzony o kontakt z uciekinierem. Pomysł ten, zwłaszcza w stanie radosnego podniecenia, które mnie jeszcze nie opuściło, wydał mi się sensowny.

Do Tenczyna dotarłem nad ranem, gdy na wschodzie niebo wyraźnie nabrało barwy perłowej, na której tle rysowały się wąskie sinopielate smugi chmur.

Zupełnej ciszy nie przerywały żadne dźwięki, wiatru nie było, a ptaki jeszcze się nie przebudziły.

Rozgrzany marszem nie czułem chłodu przedświtu (mimo, że od przeprawy przez rzeczkę, a potem przez brnięcie przez pola i krzaki byłem przemoczony powyżej kolan. Piekły mnie poobcierane stopy, chciało mi się pić i spieszno mi było do podzielenia się z kimkolwiek moimi przeżyciami tej nocy.

Dwór, albo raczej to, co z niego pozostało, leżał w dolinie na stoku łagodnie opadającym ku wąskiej rzeczce, w której przed laty jako sztabak żwiłem z kuzynem Andrzejem raki. Teraz przedarłem się przez wał jeżyn i tarniny otaczającej ogród, w którym ku dołowi biegły rzędy krzaków czarnej porzeczki. W mocnym zapachu zmoczonych liści smorodiny, wolno schodziłem ku świrnowi widniejącemu na tle zabudowań gospodarskich, rozciągniętych nad rzeczka.

Nadsluchiwałem czujnie, lecz poza nikłym pobrzękiwaniem kańcucha dochodzącym z obory nic nie zakłócało ciszy. Wszystko spało zatonione w lekkiej mgie wypełniającej dno kotliny.

Wolno, ostrożnie, aby nie robić hałasu zbliżyłem się do świra.

Drewniane ściany budynku, postawionego zapewne niedługo przed wybuchem wojny, już pociemniały, lecz ramy małych pozbitych okien umieszczonych wysoko pod okapem dachu i drzwi prowadzące na ganek z kilku płaskich kamieni zachowały ciepłą, bursztynową barwę smolistych sosnowych desek.

Stojąc pod ścianą świrna starałem się uchwycić każdy szmer dochodzący z wnętrza i rozglądając się wokół ustaliłem trasę ewentualnej ucieczki, o ile okaże się, że Holender nocuje tutaj. Do wnętrza budynku nie mogłem zajrzeć, bo okna były zbyt wysoko, a szyby zmatowiały od porannego chłodu. Stojąc z boku drzwi, przytulony do ściany ostrożnie zapukałem. Po chwili ciszy powtórzyłem pukanie mocniej, a gdy i to nie wywołało żadnego efektu zacząłem walić pięścią w deski pokrzykując:

-Ej, chaziain, otkrywaj! - rozglądając się równocześnie na wszystkie strony i nadsłuchując w napięciu.

We wnętrzu świrna coś zaczęło się dziać. Jakieś prawie nieuchwytnie szmery i szurania świadczyły, że mieszkańcy przebudzili się i zapewne gorączkowo radzają się co robić. Teraz nadszedł ten krytyczny moment, gdy może Holender podejmie działanie. Spodziewając się wyetrzału przez drzwi kucnęłem pod ścianą. Lecz nic się nie zdarzyło, więc nabierając pewności siebie, znowu zakomotałem pięścią w drzwi i szarpnąłem żelazną klawkę.

- Nu, otkrywaj, a tak budu strelet'. Pobystroś! - wrzasnąłem, wchodząc w swą rolę bolszewika, która najwyraźniej zaczynała mi się podobać.

Gdzieś z tyłu między zabudowaniami zaczął ujadać pies i zaświergotał drut, po którym przesuwają się łańcuch trzymający psa na uwięzi.

- Wania, dawaj granatu - powiedziałem głośno - połączymy się z gaweriu - etkriwajcieś! - wrzasnąłem i zakomotałem w drzwi.

I wtedy z wnętrza świrna głucho zabrzmiał głos wuja Lola:

-Nie atkroju. Ubierajtes' precz!-

Zdębiałem. Stary człowiek, bez żadnych szans oporu i wyjścia obronną ręką z opresji, nie poddawał się. Zaimponował mi, ale też gra wciągnęła mnie.

- Na starik, odkrywaj, a tak ~~wsz~~ sążniom - powiedziałem, ale bez przekonania, czując, że przeciągam strunę.

Za drzwiami szmerzał pospieszny szept - to chyba Tomira tłumaczyła coś ojcu nerwowo.

- A ja tak i nie atkroju - znowu doszedł mnie głos wuja. Brzmiało w nim twarde zdecydowanie.

Nie można już było ciągnąć tego dłużej. Zmieniłem front. Lekko zapukałem w drzwi i powiedziałem:

- Wuju Leonardzie, to ja Gucio, przyszedłem z Zalesia. Proszę mnie wpuścić.-

- Ubierajtes'. Nie atkroju - powtarzał wuj swoje.

- Wujaszku, przecież to ja. Nie poznajecie mnie? Tomira otwórz drzwi, tu niema żadnych bolszewików - przekonywałem równie żarłocznie co rozbawiony.-

-Jestem sam, zaraz wszystko wytłumaczę -.

Po chwili szeptów za ścianą klucz zazgrzytał w zamku i drzwi wolno uchyliły się. W szczelinie zobaczyłem oko wuja Leonarda. Chwilę obserwował mnie /musiałem mieć głupią minę/ prychnąwszy przez nos swoim zwyczajem, potem uchylił drzwi szerzej, wytknął głowę i rozejrzał się wokół.

- Co za idiotyzmy ciebie się trzymają, - powiedział - co ci strzeliło do głowy. Też ... - odwrócił się i powiedział do Tomiry - Popatrz na tego gagatka - głos mi lekko drżał, a palce, które zaciskał na futrynie drzwi pobielwały. Na ramionach na nocną koszulę miał narzucone palto.

W głębi świrna za wujem stała Tomira w szlafroku, który przytrzymała obu rękami pod szyją. Była biała, rozczochrana z przeraże-

nien w oczach, które zmieniło się we wściekłość, gdy krzyknęła:

-Ty idioto! Eydłaku! Tak nas nastraszyć...

Pospisał się potok wyzwisk przepłstany narzekaniami, że omal nie umarła ze strachu. Próbowałam się tłumaczyć, że to nie żaden żart, że zaraz wszystko wyjaśnię, ale minęła dobra chwila, zanim zaczęło do niej docierać to, co mówiłam. Gdy na moje pytanie o Hobndra dowiedziałem się, że go nie ma, opowiedziałem możliwie zwięźle, dlaczego udawałam partyzanta i co zaszło w Zalesiu. W trakcie moich wyjaśnień weszliśmy do wnętrza i wuj ciężko usiadł na krześle, które zakrzywiło pod jego ciężarem.

Potrząsał głową i przychał przez nos mocne zdenerwowanie, ale mówił z pozoru spokojnie, podczas gdy Tomira ciągle rozdygotana, gestykulowała i nerwowo paliła papierosa za papierosem. Ja czułam się winny, przeproszałam i tłumaczyłam, ^{aż} po kilku minutach napięta atmosfera powoli zelżała.

Potem dostałam śniadanie /oczywiście nieśmiertelna jajecznicą/ w czasie którego już spokojnie rozpatrzyliśmy sytuację i zastanowiliśmy się, co robić dalej.

Przede wszystkim należało się dowiedzieć, co dzieje się w Zalesiu. Trzeba tam było wysłać kogoś, kto bez budzenia podejrzeń zasięgnie języka. O kilka kilometrów od Tenczyna był urząd gminny, w którym pracował Kazik, członek miejscowej siatki AK i on mógłby pod jakimś pretekstem wybrać się do Zalesia. Ustaliliśmy, że zaraz rano Tomira pójdzie do gminy i postara się namówić Kazia na tę wyprawę. Po powrocie wpednie on do Tenczyna i wtedy postanowimy, co będzie dalej.

Słońce stało już wysoko, gdy wyknąłem się ze świrna z paru kocami pod pachą i chyłkiem wsunąłem się pomiędzy krzaki, gdzie wyszukałem zaciszne miejsce na odpoczynek. Z góry mogłem dość dobrze widzieć, co dzieje się we dworze, sam będąc bezpiecznie schowany w zaroślach.

Najedzony i odprężony wywalikar się na kocu, a buty i przemocz-
ne spodnie schły na trawie w promieniach słońca. Z dołu dochodziły
dźwięki codziennej krzątania, brzęczenie wiader, popiskiwanie ko-
łowrotu u studni, skrzypienie wozów wyjeżdżających w pole, pokrzy-
kiwanie ludzi i głosy zwierząt.

Nade mną ~~W~~ jasnym niebie śmigały jaskółki i wolno płynęły białe
oblaki. Słońce grzało przyjemnie i przeświecało różowo przez
zamknięte powieki. Nocne przejścia odpłynęły gdzieś daleko, pobrzę-
kiwania owadów brzmiały coraz ciszej i ciszej, a gęsty, odurzający
zapach czarnych porzeczek wypełniał wszystko wokół.

Obudziłem się, gdy słońce już minęło południe. Holender nie poja-
wił się, więc spokojnie zjedliśmy obiad i właśnie toczyliśmy z wu-
jem zajadłą dyskusję na temat perspektyw zwycięstwa nad Hitlerem i
przypuszczalnego terminu zakończenia wojny, kiedy na rowerze przy-
jechał Kazio z wiadomościami. Z jego relacji wynikało, że zaraz po
strzelaninie pojawili się w domu Niemcy, kazali wszystkim mieszkań-
com dworu zgromadzić się na podwórzu i wystraszonym kobietom oznaj-
mili, że właśnie zastrzelili jednego takiego, co nocował w ogrodzie
i zaraz to zrobią z resztą, jeżeli ktoś ruszy się z miejsca. Witek
na odłos strażów zdążył wymknąć się ze stodoły i wyczołgać brudą
między kartoflami. Do obu kusków, którym Ciotka zatrudniała jako
robotników za zgodą białoruskiej policji /kosztowało to w swoim cza-
sie kilka litrów samogonu i kilka pęt kiełbasy/ nie przyczepili się,
co potem dało podstawę do pogłoski, że to właśnie oni zdradzili miej-
sce mojej kryjówki. Gdy wszyscy tkwili na podwórzu, a Ciotka z resztą
kobiet odmawiała modlitwę za spokój mojej duszy, przybył przetrzą-
nął dość pobieżnie wewnątrz domu, pokazali po zabudowaniach gospo-
darskich, ~~po~~ czym zarządzali zrobienie im śniadania.

Po najedzeniu się, przed odjazdem zapowiedzieli, że będą zaglą-
dać do dworu częściej i nakazali, ~~by~~ by meldować natychmiast, jeżeli

w okolicy pokaże się ktoś obcy. Gdzieś około 11-ej kazali odwieźć się końmi do Smorgoń, lecz już w Zalesiu zwolnili Leona, który rano zjawiał się we dworze zaniepokojony nocną strzelaniną i wystąpił w roli furmana. Było zrozumiałe, że przeszło dziesięciokilometrowa podróż drabiniastym wozem zaprzężonym w taką groteskową parę rumaków jak nasze kasztan i kobyłka nie odpowiadała zdobywcom Europy. Odjechali z Zalesia zakękwirowanymi na stacji podwodami.

Okazało się przy tym, że dwaj cywile towarzyszący żołnierzom to byli tłumacze - Polak i Litwin, mówiący tylko po rosyjsku. Tak więc wyjaśniło się, że sprzyjający mi cywil był tłumaczem i mógł być przyzwoitym Polakiem, choć niezrozumiałe dla mnie było to, że to on pierwszy krzyknął: "Stój", gdy poderwałem się do ucieczki. Sądzę, że to był niekontrolowany spontaniczny odruch.

Po odjeździe Niemców wszyscy wyruszyli na poszukiwanie mego trupa, ale gdy go nie znaleziono, zgodnie doszli do przekonania, że uciekłem - nie byli tylko pewni, czy nie jestem ranny.

Całą więc nocną przygodę skończyła się dobrze, bez zgubnych następstw, co wprawiło mnie znowu w doskonały nastrój. Jasne było, że nie mogłem już wracać do Zalesia i musiałem poszukać innego punktu zaczepienia i to także go, któryby mi zapewniał pełną niezależność i swobodę poruszania się po całym terenie powiatu mołodeczkańskiego. Po rozważeniu różnych wariantów doszedłem do wniosku, że na pewien czas należy przenieść się na wschód, najlepiej w okolice Gródka, gdzie można było liczyć właśnie na takie meliny, jakich mi było potrzeba. Poza tym i tak planowałem po zakończonych żniwach skok w tamte strony do księdza Wiktora i Korsaka, celem ostatecznego ustalenia, jaką bronią dysponuje siatka AK w rejonie Krasnego, Rakowa i Radoszkowie. Tych danych od dawna domagał się Filip - komendant obwodu Mołodeczno, a dotychczas nie udało mi się wyciągnąć z naszych ludzi nic konkretnego, bowiem broń była w tym czasie rzeczą

najcenniejszą i trudno było się dziwić, że niechętnie przyznawano się do jej posiadania w obawie, że rozkazem "góry" trzeba ją będzie przekazać w inne ręce.

Przed wyjazdem należało także załatwić sprawę krótkofalówki ukrytej w Zalesiu. Trzeba ją było możliwie szybko przenieść w inne miejsce, ażeby w każdej chwili, gdy zajdzie potrzeba, można było jej użyć. Najłatwiej zrobić to mogłem ja sam, bo jedynie ja wiedziałem, gdzie ona była ukryta; poruczenie tego zadania komukolwiek innemu, acz w zasadzie możliwe, stwarzało szereg zbędnych komplikacji. Zresztą uważałem wtedy, że jestem za nią odpowiedzialny i powinienem zrobić to sam, żeby nie narażać się na słuszny zarzut, że wyręczam się kimś innym.

Zdecydowałem więc, że jeszcze tej nocy pójdę do Zalesia, ale nie chciałem tego robić bez broni, bo musiałem liczyć się z ewentualnością natknięcia się na Niemców, a radiostacja była zbyt cenna, aby ryzykować taką wpadkę. Zresztą po doświadczeniach ubiegłej nocy nie chciałem spotkać się z przeciwnikiem z gołymi rękami. Wiedziałem, że Kazio ma jakąś broń, która przyda się tej nocy. Okazało się, że jest to nagan-"samowzwoł" jedynie z trzema nabojami; w dodatku nikt z naszych nigdy z niego nie strzelał, więc nie wiadomo było, czy te trzy naboje nie zamokły i nie zawiodą w razie potrzeby. Ale nie było innego wyjścia.

Gdy wieczorem Kazio przyniósł mi ten rewolwer i parę skarpetki, poleciłem mu sprokurować mi jakiś dokument na lewe naswisko /pracował przecież w urzędzie gminnym/ oraz przygotować miejsce ukrycia krótkofalówki.

O zmroku w pożyczonych skarpetkach, co chroniło me stopy od ocierania ich przez stwardniałe po wyschnięciu sandały, z naganem wsuniętym za pasek od spodni ruszyłem powrotem do Zalesia.

Po niebie przesuwały się coraz gęstsze obłoki, które po godzinie marszu przesłoniły księżyc. Szedłem tym razem drogą przez

pole i po ok. 2 godzinach marszu, przerywanego niekiedy chwilami nadsluchiwaniami, zbliżyłem się do dworu.

Na pewien czas utknęłem pod starym cmentarzem zarośniętym drzewami, który musiałem minąć po drodze, gdyż zdawało mi się, że słyszę tam jakieś podejrzane szmery, a nawet odgłos naciąganego zamka automatu. Z pewnością było to złudzenie wywołane napięciem wzrastającym w miarę zbliżania się do celu. Z rewolwerem w ręku szerokim łukiem przez pole kartofli ominąłem cmentarz i dotarłem do drzew otaczających dwór.

Nie miałem ochoty [↑]przeprawić się przez rzeczkę, więc poszedłem w lewo wzdłuż jej biegu skryty w cieniu drzew i przeszedłem ~~ostrożnie~~ ^{ostrożnie} nie stępując po mostku koło młyna, gdzie długo nadsluchiwałem, łowiąc wszystkie odgłosy nocy. Poza kunkaniem łab, brzęczeniem komarów i bulgotaniem wody przelewającej się przez szczeliny w stawidłach niczego nie było słychać.

Wyobraźnie stwierała wyimaginowane zagrożenia i gotów byłem pod każdym krzakiem podejrzewać zaczajonych Niemców. Z rewolwerem gotowym do strzału przemknąłem się w kierunku starej lodowni pomiędzy drzewami w coraz to gęstniejącej ciemności. Właziłem w pokrzywy, zaczepiałem o gałęzie, potykałem na korzeniach, obijałem się o pnie, lecz w końcu dotarłem do rozwalającego się dachu i macając w ciemności znalazłem wejście. Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność i głucha cisza. Na czworakach posuwałem się ostrożnie po przegniłych deskach do jednej z belek podtrzymujących resztki podłogi, która kiedyś wysunęła się z muru i jednym końcem opadła w głąb piwnicy. Po tej belce zsunąłem się w ciemność wypełnioną zapachem gnijącej słomy i butwiejącego drewna, przytrzymując jedną ręką ragan wetknięty za pasek. Nogi zapadały się w słomę ^{opierając się!} pokrywającą dno jamy, gdy wyciągniętymi rękami o zimną, oślizgłą kamienną ścianę przesuwając się ku miejscu, gdzie schowałem radiostację. Moje ostrożne poruszenia

obudziły jakieś szelesty i szmery w słomie - to zapewne myszy lub ropuchy, żyjące w tym podziemnym świecie, starały się umknąć przed intruzem. W rogu lożowni kucnąłem i wygrzebałem w wilgotnej, kru- szącej się w żalcach słomy prostokątną skrzynkę. Z radiostacją pod pachą, starając się nie zgubić gniotącego mi brzuch rewolweru, od- znalazłem belkę, po której wgrameliłem się na górę; z uczuciem ulgi wylazłem na zewnątrz i odetchnąłem pełną piersią chłodnym, czystym powietrzem sierpniowej nocy.

Gdy tu już byłem, postanowiłem dowiedzieć się sam, co się zda- rzyło we dworze po mojej ucieczce i koniecznie zabrać moje buty z cholewami, bo coś już miałem łażenia w ocierających me nogi san- dałach.

Zostawiłem radiostację w pokrzywach i zakradłem się do okna po- koju, w którym spała Zocha.

Okno było zamknięte, a przez otwarty lufcik nie mogłem, nawet wdrapawszy się na podmurówkę, dosięgnąć haczyka, aby je otworzyć. Przez szybę nie mogłem dojrzeć, co się dzieje we wnętrzu.

Zapukałem delikatnie raz i drugi i po chwili wystraszona twarz Zochy pojawiła się na tle ciemności. Poznała mnie i gdy dowiedzia- ^{em} ~~ła~~ się, że nikogo obcego ^{nie} ma w domu, wpuściła mnie przez okno do wnętrza.

Siedząc na łóżku, okryta kołdrą opowiedziała mi o przeżyciach ubiegłej nocy i dzisiejszego przedpołudnia. Najważniejsze było to, że Niemcy wynieśli się ze dworu, a Ciotka była dobrej myśli. Moje skromne rzeczy zostały przeniesione ze spichlerza do domu i na mo- ją prośbę Zocha wyszukała w sąsiednim pokoju moje buty, spodnie, koszulę i kieszonkowy zegarek na dewizce. Wszystko to było mi pe- trzebne w planowanym wypadzie na wchód. Ustaliliśmy, że resztę rzeczy w przyszłości zabierze Kazio lub Ludwik Dulniak, bo w Zale- słu teraz nie będę mógł się pokazać. Ciotki nie buźziliśmy, nie chcąc

jej niepokoić po przeżyciach ostatniej nocy - ogromnie się biedaczka zdenerwowała wiadomością o mojej śmierci zakomunikowanej jej przez Niemców.

Pożegnałem się z Lochą i tą samą drogą opuściłem dom zadowolony, że nareszcie wyrzucę sandały i włożę buty, które były trochę za duże, ale wygodne. W ciemności pod drzewami z trudem wciągnęłem je na nogi, dziwiąc się, że to idzie tak trudno - sądziłem jednak, że winne temu są mokre skarpety. Obciążony ruszyłem w drogę powrotną, ale buty ~~były~~ nie były ani trochę bardziej wygodne niż pozostawione w kązakach sandały. Kładąc brnąłem w nich uparcie i dopiero, gdy usiadłem na krótki odpoczynek, stwierdziłem z niezłym zdziwieniem, że na lewej nodze mam prawy but a na prawej lewy. Co za ulga, gdy je ściągnęłem i po odpoczynku włożyłem jak należy.

Do Kaszika dotarłem jeszcze nocą. Ujście psa wywabило gospodarza ze stołeczki, gdzie na sianie oczekiwał na moje przybycie. Wkrótce radiostacja i nagan zostały zamelinowane w skrytce pod gankiem, a my obaj na sianie pogrążyliśmy się w objęcia Morfeusza.

W następnym dniu należało załatwić parę spraw. Przede wszystkim musiałem wyruszając w drogę zaopatrzyć się w jakiś dokument, na wypadek spotkania z policją białoruską lub Niemcami. Kaszio przyniósł mi z Urzędu gminnego zaświadczenie, stwierdzające, że jestem mieszkańcem wsi Siwica i nazywam się Jan Markiewicz /wielu mieszkańców tej wsi nosiło to nazwisko/. Zaświadczenie wystawione na właściwym formularzu miało jaknajbardziej prawdziwe pieczęcie i podpisy, ale oczywiście było bez fotografii, co w tych czasach nie stanowiło żadnego problemu. Przez kogoś z ~~siatki~~ siatki zawiadoniłem Ludwika Dalniaka w Smorgoniach że chcę się z nim widzieć. Ejawił się wczesnym popołudniem i mieliśmy dość czasu, aby omówić bieżące sprawy, które skomplikowały się nieco po opuszczeniu przeze mnie Zalesia. Należało przede wszystkim uprzedzić zainteresowanych, że dwór w Zalesiu jako punkt kontaktowy

jest spalony; trzeba powiadomić mego szefa Filipa /Leona Frackiewicza/, że przenoszę się czasowo pod Gródek i żeby tam szukał ze mną kontaktu i tam przekazał mi mój pistolet, który może mi być potrzebny.

Należało też nawiązać łączność z Jankiem przez jego żonę w Oszmianie i powiadomić go, gdzie jest radiostacja. Były także inne dwie sprawy związane z codzienną działalnością konspiracyjną, które po moim odjeździe musiały zostać przejęte przez mego następcę.

Dulniak przywiózł także wiadomość, że w ciągu ostatnich dni, nastąpiło szereg aresztowań w Oszmianie i jej okolicy - wskazywać to mogło na jakąś szerszą zakrojoną akcję, której i ja mało co nie padłem ofiarą.

Ludwik wracając do Smorgoni podwiózł mnie jeszcze do Tenczyna, gdzie po kolacji wuj Leonard wręczył mi 50 marek ze słowami:

- „Mogą ci się przydać.” -

Podziękowałem, bo byłem bez grosza, ale nie sądziłem, żeby mi były potrzebne - wszędzie miałem zapewnione punkty oparcia i w razie potrzeby mogłem liczyć na pomoc.

Wuj poradził mi także, abym na najbliższą noc zatrzymał się w Kuczukach u Marysi Świętorzeckiej, bo folwark ten leżał na mojej trasie w odległości ok. 30 km. Nigdy dotychczas tam nie byłem i pomyślałem, że dobrze będzie mieć jeszcze jeden punkt na często przemierzanej trasie i to zapewne niezwiązany z siatką AK, więc niezagrożony.

Po nocy spędzonej na sianie i obfitym śniadaniu ruszyłem w drogę. Od Kazika pożytyłem starą czapkę, bowiem z gołą głową nikt na wsi nie wyrusza w świat. W starej kurtce i drellichowych spodniach wpuszczonych w długie buty, mogłem od biedy wyglądać na chłopca wędrującego do sąsiada lub pobliskiego miasteczka. Byłem wypoczęty i dobrej myśli.

Las rozsunał się na boki a piaszczysta szeroka droga łagodnie opadała ku otwartej równinie. Lekki powiew ciągnący z nad bagien pachniał błotem i szuwarami. Czułem jego tchnienie na spoconej twarzy, przyjemnie chłodził mi pierś pod rozpiętą koszulą. Równina, ku której schodziłem, zatopiona w łagodnym blasku słonecznego popołudnia była przecięta niewidoczną wśród chaszczów Berezyną, płynącą leniwie w pewnej odległości od drogi, którą szedłem do Gaju.

Od rana przebyłem prawie nie odpoczywając kilkanaście kilometrów, a przecież rano wyszedłem z Kuczuk z paskudnym kacem, który mnie męczył po wieczorze spędzonym u Marysi Świętorzeckiej przy suto zakrapianej kolacji. Nie łatwo było sprostać jej tempu w picciu spirytusu rozcieńczonego niewielką ilością wody, a ambicja nie pozwalała mi na pozostanie w tyle; w efekcie, gdy trzeba było rano ruszać w dalszą drogę, łeb mi ciążył, a promienie słońca nieznosnie kłużyły w oczy. Ale teraz późnym popołudniem, po całodziennym wysiłku, byłem już w dobrej formie, tylko okropnie chciało mi się pić.

W dole na prawo od drogi, na płaskim łysym pagórku pokrytym zrudziałą trawą widniała chata wśród nędznych zabudowań gospodarskich, a przy niej skośną linią na wyblakłym niebie rysował się żuraw u studni. Z obejścia dolatywały miarowe uderzenia topora. Gdy zbliżyłem się do chaty, zobaczyłem wśród szczap bielejących na trawie starego bosego chłopca stojącego w rozkroku nad drągami, który ociosywał siekierą.

Na moje - "dzień dobry" - stary wyprostował się i z opuszczoną siekierą przyglądał się uważnie.

- Chcę napić się wody - powiedziałem - bardzo dziś gorąco-.
Stary obrócił się ku chacie:

- Antuk, przynieś kwarta^f - zawołał, a zwracając się do mnie rzucił - Prawda co gorąco, Już dwie niedziele, jak nie było deszczu-poczym zapytał - A sam to z daleka idzie?-

Powiedziałem, że aż z za Lebiediewa^z; chłop zdziwił się, że w

"taki niespokojny czas" ludzie nie siedzą w domu, ale baczają się po świecie. Wbił siekierę w pień i przysiadł na nim, wyraźnie gotując się do pogawędki.

Kiedy może dwunastoletni chłopak przyniósł mi miedzianą, wewnątrz cynowaną kwartę z naderwanym uchem, wychlusiłem w pokrzywy resztkę wody z drewnianego wiadra stojącego na kamieniu u studni. ~~Przechylony~~ Przechylony nad jej drewnianym, porośniętym mchem zrębem, opuszczając wiadro zaczepione na haku żurawia. Z wnętrza studni płynął orzeźwiający chłód, a spadające krople rozбивały w dole obraz mej zmniejszonej postaci ujętej w kwadrat jaśniejącego nieba.

Woda była chłodna i czysta. Piłem ją z pachnącej metalem kwarty drobnymi łykami, obserwowany przez chłopca i starego. Dla obu byłem obcym budzącym zaciekawienie i nieufność - napewno rzadko ktoś taki zaglądał do ich samotnego obejścia.

Stary wyciągnął z portek blaszane pudełko z machorką, skrawek pomiętej gazety, oderwał kawałek papieru i nieśpiesznie skręcał papierosa; wymiętoszona w grubych paluchach "papieroska" została włożona za ucho. Chłop wyciągnął z kieszeni krzemień i kawał huby, uskubał kawałeczek burej gąbczastej masy, przycisnął ^{ją} żółtym, zrogowaciałym paznokciem do krzemienia i zaczął miarowo uderzać weń krzesiwem. Zajarzyła się na hubie mała planka. Stary troskliwie i ostrożnie dmuchając przytknął do kropelki żaru papieros, zapalił go i wyciągnął w moim kierunku pudełko z machorką.

- Zapalisz, synak? - zaproponował. Potrząsnąłem głową.

- Pewnie przywyk do lepszych papierosów - powiedział stary - ale swój tytoń zdrowszy, choć i w gardle drępi - splunął na trawę między trzaski.

- No a co na świecie nowego? Niech siądzie, odpocznie minutkę - do wieczora jeszcze daleko.- zachęcał stary ciekaw wieści ze świata. Przysiadłem na leżącej kłodzie rad z krótkiego odpoczyn-

ku, a obok mnie przykucnął Antuk przysłuchując się naszej rozmowie.

Gadaliśmy o tym i owym, choć stary nadal zachowywał ostrożność w rozmowie z nieznanym. Dowiedziałem się, że Niemcy przejeżdżali tędy jeszcze wiosną, a i policja rzadko tu zagląda. I tu Antuk wyrwał się z uwagą:

- Policjanty tu zachoźzili przedkwczeraj, jak wieźli drogą tych pobitych w lesie --.

Staremu uwaga wnuka wyraźnie była nie w smak, ale ja podchwyciłem temat i wolno, klucząc, żeby nie spłoszyć chłopca dowiedziałem się w końcu co zastżo. Kilka dni temu chłopci ze wsi Waśkowce znaleźli w lesie dwa trupy, nagie i pokżute nożami lub bagnietami z wyciętymi jakoby na piersiach i plecach gwiazdami, czy też znakiem swastyki.

Ta ostatnie informacja mogła być nieprawdziwa, bo stary sam po mordowanych nie widział, ale tak mówili:

- Kto ich tam wie, różnie ludzie gadają, a prawdy i tak nie dojdiesz --. A i gadać o tym nie warto, tylko biedy sobie na głowę można ściągnąć - zakończył stary.

Faktem jedynie było to: że gdy wiadomość o zabitych w lesie rozeszła się po okolicy, z Gródka lub Mołodeczna przyjechało kilka furmanek z policjantami, zabrali trupy na furę, zarekwirowali w Waśkowicach świnie, znaleźli w chałupach samogon, dali temu i owemu po mordzie i przed wieczorem odjechali ze wsi. Zrodziła się plotka, że zabici byli policjantami, albo cywilami, którzy myszkowali w okolicy i zostali zlikwidowani przez ruskich partyzantów czy żydów, którzy ukrywali się w okolicznych lasach i nocą nachodzili samotne gospodarstwa i chutory.

Stary, z którego w końcu wydusiłem te wszystkie informacje, wyraźnie stracił ochotę do dalszej rozmowy - pewnie obudziły się w nim obawy, że i tak powiedział zbyt wiele. Wstał z pieńka i zabrał

sie do ociosywania drąga, a ja podziękowałem za wodę i ruszyłem w dalszą drogę. Do Gaju miałem nie więcej niż 3-4 km, więc nie musiałem się spieszyć, choć słońce chyliło się ku zachodowi.

Idąc groblą przez rozlewiska Berezyny rozstrząsałem usłyszane wiadomości; wyglądało na to, że buszująca w okolicy grupa Rosjan, o których także wspominał mi Władek Burak, mogła natknąć się na białoruskich policjantów i wykończyć ich w lesie. Było jednak mało prawdopodobne, aby zaledwie dwóch policjantów odważyło się włóczyć z dala od posterunku, a tym bardziej zapuszczać się w las. Chyba, że wracali po jakiejś pijatyce we wsi i zbagatelizowali niebezpieczeństwo spotkania z partyzantami.

-Nie ma co łamać nad tym głowy - pomyślałem, - ale na wszelki wypadek, gdyby czekało mnie takie spotkanie, trzeba zabezpieczyć się przed obrabowaniem.

Cholewy moich długich butów były dość szerokie i każda z nich miała od wewnątrz dwoje uszu służących do wciągania butów przy pomocy używanych przed wojną specjalnych haków. Pozwalało to na wsadzenie w jedno z tych uszu banknotu otrzymanego od wuja Leonarda a wewnątrz drugiego buta udało mi się zawiesić na dekadencie mój kieszonkowy zegarek. Nie było to zmyślne ukrycie tych dwóch niezbyt jednak cennych rzeczy, ale nic innego nie mogłem zrobić. Po chwili maszerowałem już z zegarkiem lekko uciskającym łydkę mojej prawej nogi, ciesząc się na bliski koniec wędrówki, spotkanie z Władkiem, obfity kolację i zasłużony nocleg na sianie. W takim pogodnym nastroju wyszedłem na trakt biegnący lasem z Gródka do Mołodeczna; należało przejść nim około kilometra a potem skręcić w leśną drogę prowadzącą wprost do gajówki.

Nieomal doszedłem do owej bocznej drogi, gdy za krzakiem rosnącym w rowie obok traktu zobaczyłem ciemną sylwetkę leżącego człowieka. W miarę jak się zbliżałem, rozróżniać zaczęłem szczegóły:

czarny mundur z szarymi mankietami, czarna furazerka na głowie i karabin skierowany w kierunku, z którego nadchodziłem. Białooruski policjant.

Napewno nie było to spotkanie, którego mogłem oczekiwać w tym lesie; zbliżając się do niego w myśli układałem odpowiedzi na typowe pytania, które zaraz nastąpią.

- Stoj! - padł rozkaz po rosyjsku - kuda szagujesz?
- Wot tam, w Gaj - pokazałem przed siebie
- Żywiesz tam? -.

Wyjaśniłem, że idę do krewnych, którzy tam mieszkają, ot w takich różnych rodzimych sprawach, a mieszkam we wsi Siwica, dość daleko stąd. Idę od rana i dojrze, że zdążę przed wieczorem do Gaju.

Stałem kilka kroków przed policjantem, który nadal leżał na krześle z karabinem opartym o przedramię, czujnie spoglądając na drogę, którą nadchodziłem - wyraźnie oczekiwał na coś lub na kogoś. Na mnie rzucał krótkie spojrzenia, kierując znów wzrok na trakt skracający łagodnie, łukiem i ginący w oddali pomiędzy ciemniejącymi już sosnami.

- No, idzi dalsze! Tam. - wskazał ręką za siebie w kierunku starych sosen na wzgórkach na skraju drogi.

Ruszyłem naprzód. Czy to zasadka policji na partyzantów? Co mnie czeka? Nazywam się Jan Markiewicz. Siwica. Imię ojca. Data urodzenia. Przebiegłem w pamięci dane z posiadanego zaświadczenia. Idę do ciotki do Gaju dowiedzieć się kiedy oddadzą pożyczone w ubiegłym roku, nie, lepiej wiosną, żyto. Jakie imię ciotki? Niech będzie Konstancja. Syn Władysław Kurak - gajowy.

Wśród sosen, ku którym wolno zmierzałem, zobaczyłem grupę ludzi. Większość siedziała lub leżała, kilka postaci stało opartych o pnie drzew. Spodziewając się zastać tam policjantów, ze zdziwieniem zauważyłem, że byli różnorodnie ubrani - przeważnie w chłops-

kie kurtki i czapki, kilku w marynarki i długie spodnie. Niektórzy z nich mieli broń, zaledwie kilka karabinów, a reszta nic, lub tylko kij w rękach. Na ziemi leżały tłumoki i jakieś częściowo wypełnione worki. Jedną kobietą w miejskiej jasnej sukience w kwiaty oparta o drzewo trzymała pak jakichś białych szmat czy taśm, które chyba rozplątywała. Wszyscy w milczeniu patrzyli w moim kierunku.

Było jasne - to nie policja, ale banda ukrywających się ludzi - partyzanci?. Wyglądali nędznie i niezbyt groźnie.

Odetchnęłam z ulgą - wolałam ich od białoruskiej policji.

-Dobry wieczór - powiedziałam, starając się nadać głosowi przyjazne brzmienie.

-Kamu dobryj, kamu płachoj - dobiegło mnie z pod drzew - jeszcze nieźwiestno. Nu-ka, podajdi pabliże!

Na pochyłości płytkiego wgłębienia, pozostałości wykrotu, a może okopu z poprzedniej wojny, wśród liści poziomek leżało dwóch mężczyzn. Leżeli na szarym sowieckim szynelu, a pomiędzy nimi połyskiwało kilka niedawno widać wyrwanych cebul i czerniały kromki razowego chleba. Młodszy, bardzo jasny blondyn, bez czapki, o niebieskich oczach i wesołym wyrazie okrągłej twarzy, jedząc chleb pogryzał cebulę jak jabłko, ocierając niekiedy łzawiące oczy wierzchem dłoni. O jego udo była oparta sowiecka "samozarładka" dziesięciopistoletowy półautomat.

Starszy, mężczyzna po czterdziestce, w okrągłej szarej czapce zsuniętej na tył głowy, z zapadniętymi policzkami pokrytymi niegolonym od kilku dni zarostem patrzył na mnie badawczo szarymi głęboko osadzonymi oczami. Odcinał scyzorykiem kawałki chleba i plasterki cebuli, wkładał je do ust i żuł wolno, jakby brakowało mu zębów. Obok na płaszczu leżał duży pistolet - niemiecki mauzer z dorobioną domowym sposobem drewnianą kolbą.

- Sadiś- rzucił człowiek w czapce, ruchem głowy wskazując mi miejsce naprzeciw siebie. Usiadłam na krawędzi okopu, starając się

nie okazywać niepokoju. Prawie byłem pewny, że mam do czynienia z tą samą bandą, która zakbuła w lesie tamtych dwóch; potwierdził to czarny mundur policjanta na grzbiecie tego, co leżał przy drzwiach.

Człowiek w czapce, odciął następny kawałek chleba i zanim włożył go do ust zapytał:

- Familja twaja? Odkuda ty i kuda idiesz? -

Trochę po rosyjsku, trochę po polsku opowiedziałem przygotowaną opowieść, przgrywaną dodatkowymi pytaniami, której przysłuchiwali się najbliżsi partyzanci, ale pytał tylko ten leżący na płaszczu. Przepuszczalnie był komendantem bandy i chyba cieszył się poważaniem lub budził strach, bo nikt mu nie przerywał. Do naszej grupy przybliżył się młody ok. 18-19 letni chłopak bez broni i kucnął na ziemi obok szefa. Charakterystyczny nos, czarna zmierzwiona czupryna i duże zaczerwienione, szybko mrugające oczy w wychudzonej twarzy wskazywały na Żyda. Ubrany był w czarną marynarkę, zniszczone spodnie i półbuty. Robił wrażenie szczególnie wynędzniałego, ciągle kręcił głową na cienkiej szyi i nerwowo skubał palcami górną wargę.

-i dokumenty jakije niud'u tiebia jest'?- zapytał szef.

Podaję swoje zaświadczenie. Rusek oglądał je chwilę, a potem kiwnął na Żyda i kazał mu je przeczytać. Zapytał mnie, czy jestem Polak i m i czym się zajmuję. Opowiedziałem bajeczkę, że teraz po śmierci ojca razem z młodszym bratem pomagam matce w gospodarstwie, ale przed wojną chodziłem do szkoły do Oszmianki i potem pracowałem na poczcie. Moje opowiadanie wypadło zapewne dość przekonujące, bo indagacje ustały i zaczęliśmy rozmawiać w miarę normalnie. Moja prośba, żebym dalej mógł iść do Gaju, który przecież znajdował się o 5 min stąd, nie została jednak uwzględniona. Kazali mi siedzieć i czekać nie wiadomo na co.

Przez ten cały czas, Żyd przyglądał mi się w milczeniu, ale czułem jego niechęć, albo wprost wrogość. Korzystając z chwili ciszy szybko zapytał po polsku:

- No a co tam w Gródku słyhać?

§ A skąd ja mogę wiedzieć. Ja tam nie byłem.

- Nie byłeś? - przeciągle powiedział Żyd - a ja wiem, że ty stamtąd. Ja ciebie poznaję. To, co ty tu mówisz, to wszystkie kłamstwo. - A zwracając się do dowódcy dorzucił, pokazując na mnie palcem:

- On z policji. On grabił naszych. Ja wiem, ja jego pamiętam. Poznaję jego, tego paskudnika, tę swolocz. - na policzki wystąpiły mu jasne rumieńce, mrugał powiekami jeszcze szybciej a głową zaczął szarpać nerwowy tik.

Poczułem się nieswoje. Oskarżenie było groźne i pomimo rzucającego się w oczy nienormalnego nieomal podniecenia Żyda, a może właśnie dlatego, wywołało to ogólne ożywienie i zaciekawienie.

Ludzie zaczęli gromadzić się wokół nas, ze wszystkich stron spytały się pytania i pogróżki pod moim adresem, a Żyd powtarzał w kółko to samo.

- To policjant! On był w Gródku. Jego pozna Abrenka, napewno pozna. Jego trzeba zabić jak psa. Kak sabaku! - powtarzał po rosyjsku machając rękami przed moim nosem.

Zerwałem się z ziemi, próbowałem tłumaczyć, że to kłamstwo, jakieś nieporozumienie. Że nigdy nie byłem w Gródku. Że jestem z pod Lebie-dziawa, że nigdy nie byłem w policji ani polskiej ani białoruskiej. Nie miałem żadnych dowodów na to, co mówiłem i czułem, jak narasta wrogość wszystkich tych ludzi. Zaczynali wierzyć w to, co wykrzykiwał ten przeklęty, zwariowany żydzik.

Stałem w ich kręgu oparty plecami o drzewo i czekałem, kiedy posypią się razy.

- Smirno! Nie szumiet'. Małczat' wsie! - zabrzmiał w tym rwetesie głos komendanta. - Edeś nie tałkuczka. - A zwracając się do Żyda powiedział :- Spakojna, nie kriczy. Siejczas razbierionsia i jeśli eto prawda, szto ty gawarisz, on pohuczyt to, na szto zaszużiwajet.

Razszczitajem [↑]sia, nie bojsia.- w jego głosie zabrzmiała groźba.
Odwrócił się do swego towarzysza:

- Lonia, obyskaj etowo gałubczyka -.

Wyjąłem z kieszeni drobiazgi- scyzoryk, chustkę do nosa, wyszczerbiony grzebyk i stary portfel, z którego wyruszając w drogę usunąłem wszystkie fotografie i zapiski. Pomyślałem, że ta chustka nie pasuje do chłopaka z wioski - to był błąd.

- Snimaj sapagi -

No, teraz zacnie się przedstawienie - pomyślałem, siadając na ziemi. Wolno ściągnąłem lewy but. Lonia nachylił się, uniósł go, wsadził do niego rękę, a potem potrząsnął nim, chłewą do dołu.

Z buta wypadł złożony banknot. W gronie obserwujących przeszedł szmer - zupełnie jak w cyrku, gdy sztukmistrz wyciągnie bukiet z cylindra. Lonia podniósł papierek i wyprostował go:

- Ładno. Kot i diengi - pedał banknot komendantowi - a szto w drugom sapagie?

- Czas-y - odpowiedziałem, zdejmując sobie sprawę z tragiczności sytuacji. Zegarek wyciągnięty z drugiego buta podawany z ręki do ręki zaczął krążyć wśród partyzantów.

- Zaczem ty ich spriatał? - zapytał komandir.

- Bojałsia, szto bandity mnie ich animat-.

- Ach tak, ty nas szczitajesz banditami?.

- Was nie- powiedziałem grając "va banc" - patama, szto ja znam, szto wy mnie ich wierniotie-.

- Iż kakaj umnyj!- w głosie komendira zabrzmiał jakgdyby cień podziwu - razdewajsia!-

Gdy rozbierałem się, wszystkie spojrzenia śledziły każdy mój ruch i mimo, że już ściemniało się, było mi głupio i wstyd, zwłaszcza, że kobieta, ta w sukience, która rozplątywała zwisające z jej ręki bandaże, przyglądała mi się ciekawie. Żyd obok niej co chwila

coś do niej mówił w żargonie, podniecony kręcił się i gestykułował.

Gdy ściągnęłam kałesony /krótkie, takie, jakich nie noszą chłopcy we wsi - znowu błąd/ i stanęłam w klasycznej pozie zawstydzenia z rękami zakrywającymi podbrzusze, moje ubranie zostało obmacane, sprawdzone, przewertowane ze wszystkich stron przy ironicznych i wrogich uwagach i pogródkach. Nie znaleziono nic więcej, w końcu zwrócono mi je i komandir pozwolił mi się ubrać.

Znowu zaczęły padać pytania - wszystkie dotyczyły mojej rzekomej służby w policji w Gródku. Zadawano mi je ze wszystkich stron chaotycznie i często bez sensu - to nie było już śledztwo, to był wybuch wrogości ludzi przekonanych o tym, że mordowałam i grabiłam Żydów, że wysługuję się Niemcom.

Odpowiadałam na nie, coraz jaśniej zdając sobie sprawę z beznadziejności mojego położenia - niczego nie byłam w stanie udowodnić. Pytano mnie o wieś, z której rzekomo pochodziłam, kto jest sołtysem w Siwicy - podałam pierwsze lepsze nazwisko, które mi przyszło na myśl i twardo upierałam się przy nim, gdy drugi Żyd powtarzał, że sołtysem jest tam ktoś zupełnie inny. Kilkakrotnie powtarzałam swoją wersję dotyczącą sąaju, coraz bardziej przekonany, że popełniłam kardynalny błąd podając miejscowość tak blisko położoną i ludzi, u których można wszystko to sprawdzić w ciągu kwadransa.

Bliz się we mnie płomyk nadziei, że Abramka, którego imię wciąż powracało, zapewne Żyd z Gródka, nie pozna mnie jako policjanta i podważy tym samym twierdzenie mego pierwszego oskarżyciela, ale był to płomyk wątki. Trudno było liczyć na rzetelność Żyda związanego solidarnością, ze swym prześladowanym przez policję współwyznawcą. Siedziałam na ziemi bez butów, ale mimo wieczornego chłodu było mi gorąco - może miałam gorączkę i czułam pot na całym ciele.

Pod drzewami zrobiło się prawie ciemno, gdy ktoś powiedział: "Naszy idut -". Komandir i Łońka wyszli naprzeciw kilku postaciom

zbliżającym się od strony, z której przyszedłem. Nadszuchiwałem, domyślając się, że oto przyszedł ten przez wszystkich oczekiwany Abramka, ale nie mogłem dosłyszeć, o czym mówią między sobą, komandir i nowo-przybyli. Rozmawiali na drodze dłuższą chwilę i zdążyłem zauważyć, że przybyszów było trzech, zapewne był tam także partyzant, który mnie zatrzymał. Kiedy rozmawiając z obywatelami zbliżyli się w końcu do nas, zobaczyłem obok komandira i Lonki dwóch ludzi w mundurach policyjnych i jednego cywila.

Cywil był niewątpliwie Żydem - To jest więc ten oczekiwany Abramka - pomyślałem - teraz wszystko się rozstrzygnie.

Nowo-przybyli przypatrywali mi się uważnie, a reszta partyzantów w milczeniu oczekiwała, co powie Abramka. Żyd kucnął obok mnie, aby mnie lepiej obejrzeć. Był to wielki mężczyzna około czterdziestu pięciu może pięćdziesięciu lat, o dużej mięsistej twarzy, pod zbyt małą, jak mi się wydawało, okrągłą czapkę z daszkiem.

Tkwiał przede mną przygarbiony z wysuniętą szyją, uważnie patrząc mi prosto w oczy. Czuję jak mi mocno bije serce; starałem się stłumić przyspieszony oddech i nie opuścić oczu pod jego wzrokiem.

Po dłuższej chwili Abramka z pewnym trudem, lekko stąknawszy, wyprostował się i przecząco pokręcił głową.

- Nie uznaju - powiedział głębokim ochrypłym basem - w Gadadkie ja jewo nie widał--.

Wokół wybuchł gwar. Młody Żyd zaczął coś prędko mówić do Abramka w żargonie, ale ten nie zwracał na niego uwagi i obrócił się do komandira.

-- Lew Wgsylich, w Gadadkie jewo nie było, no, wierojatno ty praw. Sledujet padrobno razabratsa w etom diele --.

- W czom razbieratsa! - rzucił jeden z policjantów - pulu w zob i diehu kaniec! Wasie jasna.-

- Pomalcz! - powiedział komandir, a do mnie - Pakazi ruki!

Wyciągnęłam ręce. Lew Wasylicz obmasał moje dłonie. Całoroczna fizyczna praca w Zalesiu spowodowała, że były one pokryte twardą skórą i na pewno nie były rękami "białoruczka". To było moje szczęście. Ucieszyłem się jednak zbyt wcześnie, bo komandir rzucił Łońce rozkaz:

- Świeży jemi ruki-.

Wesołutki Łońka przygadując dobrotliwie związał mi ręce na plecach przy pomocy kawałka bandaża wziętego od żydówki. Mocno zaciągnął więzy, tak, że wkrótce poczułem jak mi drętwieją, madgarstki, a spuchnięte palce z tułem zginają się.

Siedziałem teraz na ziemi w kole stojących nade mną partyzantów, boso, ze związanymi rękoma i zaschniętym gardłem, odpowiadając na pytania rzucane mi przez komandira po rosyjsku lub Abramką po polsku z silnym żydowskim akcentem. Mimo częstych pogroźek i przekleństw /Abramka nie kłaż/ nikt mnie nie uderzył i może dlatego, choć niewątpliwie bałem się, myślałem jasno i byłem w stanie trzeźwo ocenić sytuację.

Teraz pytania były inne. Już nie dotyczyły mej rzekomej działalności jako policjanta białoruskiego w Gródku, ale obracały się wokół Mińska. Pytano mnie, kto i kiedy wysłał mnie z Mińska na ten teren, jakie otrzymałem zadanie, komu miałem przekazywać informacje. Kto zwerbował mnie do służby dla Niemców, wiele czasu trwało szkolenie, czy dużo nas było ² na kursie itd. Wszystkiemu zaprzeczałem, ale powoli ogarniało mnie prawdziwe przerażenie. Nie mogłem przytoczyć żadnego faktu, co by mnie broniło przed oskarżeniem, że jestem niemieckim szpiegiem przeszkolonym do walki z partyzantami. Coraz realniejszy wydawał mi się los, który spotkał tamtych dwóch policjantów, zamordowanych w lesie, zwłaszcza, że gra oparta na faktycznych,

czy też wymyślonych jedynie informacjach o niemieckich szpiegach wciągała moich prześladowców. Grali określone role "sledowatieli" przed audytorium biorącym udział w przedstawieniu, którego cenę miałem zapłacić ja.

Uparcie powtarzałem swą wersję, aż komandir uznawszy zapewne, że niczego nowego nie powiem, rozkazał dwum partyzantom udać się do Gaju i sprawdzić to, ^{ca} tak uparcie powtarzałem.

Dając im mój dokument polecił im zapytać, czy znają kogoś o nazwisku Markiewicz, nie wdawać się w żadne wyjaśnienia i wracać z powrotem.

To była najgorsza sytuacja z możliwych. Jeżeli nawet zastaną Władka Buraka w Gaju / a często nie było go w domu, bo załatwiał sprawy w okolicy/, to nazwisko Markiewicz nic mu nie powie, a obejrzenie dokumentu bez fotografii także niczego nie wyjaśni. Za wszelką cenę należało dążyć do tego, aby Władek mógł mnie przynajmniej zobaczyć, bo może wtedy uda się mu przekonać bandę o mojej niewinności. Z poprzednich kontaktów z nim wiedziałem, że miał dobre stosunki z ruskimi partyzantami, którzy często nocą odwiedzali leśniczówkę i tam się pożywiali oraz otrzymywali informacje dotyczące policji i Niemców w Gródku, Mołodecznie, Rakowie i Radoszkowicach.

Gdy usłyszałem rozkaz komandira, zaczęłem niezdarnie wstawać z ziemi oświadczając, że najlepiej będzie, gdy pójdę razem i od razu sytuacja się wyjaśni. Ale oni nie byli na tyle naiwni.

- Ty ostanioszisia zdes - krótko zdecydował Lew Wasylicz - padałdiom wnestie.-

Ci dwaj znikli w ciemności; ogólne podniecenie jakby opadło i reszta partyzantów zbита w grupki rozmawiała półgłosem nie zwracając z pozorów na mnie uwagi. Obok mnie stał Lonka, któremu zapewne polecono pilnowanie mnie, choć szansa na ucieczkę ze związanymi z tyłu rękoma nie miałem żadnej. Nade mną bzyczyły komary, a w głowie

-4-

kłębily mi się myśli. Z pewnym zdumieniem stwierdziłem, że podniecenie jakby mnie opuściło. Nie była to rezygnacja, ale zdawałem sobie sprawę, że już nic ode mnie nie zależało. Nie miałem już żadnego wpływu na to, co się ze mną stanie. Mój los był przesądzony. Wściekłość mnie ogarniała, że zginę tak bezsensownie, tak głupio i nikt właściwie nie będzie wiedział, jak to się stało. Potem przywały myśli o Matce - było mi jej ogromnie żal. Równocześnie odczuwałem dla niej głęboką wdzięczność i szacunek, że wiedząc o moim zaangażowaniu w sprawę konspiracji, choć naturalnie nie znała szczegółów, nigdy nie usłyszałem od niej słowa protestu. Przyjmowała to wszystko jak coś oczywistego i chyba nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej, choć jak każda matka musiała przeżywać chwile niepokoju i obawy. Byliśmy sobie bardzo bliscy, choć nigdy nie mówiliśmy o tym.

Gdzieś niezbyt daleko huknął strzał karabinowy, a echo przetoczyło się po lesie. Wszyscy zamilkli nadsłuchując. Po chwili doleciał huk drugiego i trzeciego wystrzału. Trudno było zorientować się, gdzie strzelano, ale to ^{nie} było blisko. W tych niespokojnych czasach nocne strzały nie były rzadkością - tyle hroni było pochowanej po strzechach i stodołach.

Wśród partyzantów zapanowało jednak pewne zaniepokojenie. Rozmowy urwały się w oczekiwaniu na następne strzały, lecz czas upływał a las milczał. Tylko od strony gajówki dolatywało leniwe poszczekiwanie. Wokół mnie pobrzękiwały komary, gryzły mnie w kark i czoło a kręcenie głową nie pomagało. Przerwane myśli tłumnie powróciły. Zaczęłem się rozczulać nad sobą wyobrażając swego trupa nagiego gdzieś w gęstwinie lasu otoczonego rejem much i gnijącego w chmurze smrodu. Jakoś nie bałem się, że mnie będą męczyć, dotychczas nawet mnie nie pobito, ale nie chciałem być zaskuty jak tamci dwaj - strzał w głowę wydawał mi się czymś nieporównanie lepszym. Zaczęłem modlić się o ratunek, albo o szybką śmierć. Zmówiłem na własną intencję "wieczny

odpoczynek", lecz słowa "racz mi dać Panie" wydały mi się jakoś nie stosowne - były zbyt egoistyczne.

Ciekawe, że właściwie przestałem się bać i myślałem, jak zachować się w ostatnich chwilach mojego życia.

Szmery i trzask gałązek dobiegł od strony drogi wiodącej od Gaju. To wracali tamci dwaj. Znowu serce przyspieszyło swój rytm - zaraz wszystko będzie wiadome.

Dwie postaci wyłoniły się z mroku i podeszły do komandira. Z ich relacji wynikało, że po strzałach w lesie zaczęli podejrzewać, że w gajówce może być zasadzka, i w obawie, aby w nią nie wpaść zawrócili, aby jeszcze raz naradzić się z resztą. Na pewno nie grzeszyli nadmierną odwagą i zostali zdrowo zbesztani przez komandira, lecz reszta bandy zachowała milczenie, jakby aprobując ich postępowanie. Może to właśnie wpłynęło na jego decyzję, bo po steku przekleństw i ironicznych uwag rzucił rozkaz:

- No, rebiata, idom wsie. Paszli!

Łońka pomógł mi wstać, a potem, gdyśmy szli leśną drogą, towarzyszy mi idąc nieco z tyłu z "samozariadką" pod pachą. Kilkanaście kroków przed nami komandir omawiał coś szeptem z dwoma partyzantami, a reszta wlokła się z tyłu rzucając z cicha rzadkie uwagi. Moje bosa stopy zanurzały się w zimnym, sypkim piasku, czułem ukłucia sosnowych szpilek i szyszki leżące na drodze i choć to może wydawać się dziwne, bażem się, że w ciemności mogę uderzyć się palcami o wystające korzenie. Uparcie te same myśli powracały, ale teraz jakby z maleńkim przebłyskiem nadziei. A może?..

Ujadanie psa w gajówce wzmogło się, wyczuł przybliżanie się obcych. Wyszliśmy na skraj polany, której środkiem biegła droga ku zabudowaniom ciemniejącym o ok. 200 m od nas. Księżyc skrytego wśród chmur nie było widać, ale było tu jaśniej niż w lesie. Komandir kazał mi usiąść pod drzewem, a sam z jeszcze jednym kompanem poszedł drogą

ku gajówce, w której blade świeciły się dwa okna.

Sylwetki ich powoli zacierają się w mrocznej dali i choć wytę-
żalem wzrok, nie już nie byłem w stanie dostrzec.

Łódka kucnął obok mnie i oparty na trzymanej między kolanami „win-
tówce” namawiał mnie, abym przyznał się, że służę Niemcom. Przekony-
wał mnie, że moja śmierć będzie ciosem dla mojej matki, że jestem
młody i dałem się otumanic, ale komandir, który jest dobrym czło-
wiekiem, jak powiem prawdę, to mi każe dać kilkadziesiąt „szympa-
zów” i puści wolno. Oni walczą tylko z faszystami i pamieszczika-
mi itd, itd. Zionał na mnie zapachem cebuli, moją czapkę, którą
zdażył sobie przywłaszczyć, oganiał komary z mej twarzy, był współ-
czujący i nieomal przyjazny. Nie bardzo go słuchałem skupiając
uwagę na tym, co się dzieje na polanie. Jeżeli Władek jest w domu,
to powinien zjawić się tu z ruskimi - myślałem - ale jeżeli jest
tylko jego matka, to wszystko stracone.

Ujadanie psa wznogło się i usłyszałem, lub wydawało mi się, że
furtka zaskrzypiała. Wracają. W napięciu oczekiwałem, kiedy ukażą
się na drodze, ilu ich będzie?

Dwie ciemne postacie wolno zbliżały się - tylko dwie. Władka
niema. To koniec.

I wtedy stał się cud. Z głębi polany od zabudowań wyłoniła się
sylwetka trzeciego człowieka, jaśniejsza od tamtych dwóch. Szybko
zbliżał się do nich, a gdy zrównał się z komandirem i jego towarzy-
szem już niedaleko nas, poznałem w nim Władka. Wszyscy trzej szli
do mnie siedzącego w mroku pod drzewami.

- Tu jestan! - zawołałem, a wszystko we mnie dygotało-

- Dobrze, że jesteś-.

Władek, gdy mnie poznał, wykrzyknął:

- O, kurwa! To ty? A ja myślałem

potem odwrócił się do komandira:

śmierci nieznanego, pozostał w domu. Dopiero, gdy przybył wyszedł, coś go tknęło, aby jednak sprawdzić, kto powoływał się na niego i dlatego zjawił się w lesie.

A wszystko to udało się tylko dlatego, bo już wielokrotnie spotykał się z tą bandą i był w dobrej komitywie z kandydem.

Otoczyli mnie znów partyzanci, ale jakżeś odmienni. Zagadywali mnie przyjaźnie, a nawet próbowali tłumaczyć się. Kandyd powiedział:

- Burak objaśnił wsio i paruczyłsia za was - już mnie nie tykał - mówił mi "wy" - A ja jemu wierzę, on nasz drug. No poczem wy nie skazali erazu, szto wy rabotajete w polskom podpolie?-

- A wy by mnie pawieryli? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Pokręcił głową.

- Wsietaki charaszo, szto my nie sawierszyli krupnoj aszybki - dla niego zabicie mnie było pomyłką - nie wspominajcie nas chuda. Znajecie, wajna! Wsio możet szuczitsia. - zakończył filozoficznie.

Zwrócono mi zegarek, pieniądze i moje drobiazgi, a Abramka przy pożegnaniu powiedział:

- Widzisz pan takie czasy. Teraz nikomu nie można wierzyć, a życie stało się takie, że czasem i śmierć lepsza. Z całej mojej rodziny ja tylko sam zostałem, a i tak nie wiadomo, kiedy i na mnie przyjdzie pora. Nie dziw się pan, że my ciebie za niemieckiego szpiega przyjęli. Na muzyka to ty nie wyglądasz, a u nas była wiadomość, że Niemcy w Mińsku obuczają wsiakego swakocz do razwiecki, żeby wyniucałi, gdzie partyzany chodzą. No i kak raz popadłes się pan. Żeby nie Władek, którego my dobrze znamy, byłoby panu kajuk - zakończył.

Zegnaliśmy się ściskając ręce, poklepując się po plecach. Ustaliliśmy hasło rozpoznawcze dla naszych, którzyby mogli w przyszłości znaleźć się w podobnej sytuacji. Tylko ów młody żyd, który rozpoznał we mnie policjanta z Gródka trzymał się z daleka; nie wiem, czy

nie chciał mi wierzyć, czy czuł się nieswoje.

Rozchodziliśmy się w przeciwne strony. My obaj z Władkiem do lasu, niczówki młodej ciepłym światłem z okien, oni w głąb lasu, w chłodną ciemność nocy. Każdy ku swemu przeznaczeniu.

W powietrzu czuło się wiosnę. W ostrych promieniach marcowego słońca śnieg topniał i na południowych stokach płaskich pagórków ciemniały bure plamy; zmierzwiona zeszłoroczna trawa szybko wysychała w powiewach wiosennego wiatru.

Wązka polna droga o głębokich koleinach wyslizganych płozami sań łagodnie wiała się pomiędzy niewysokimi wzgórzami, zanurzała w niebieskawy cień świerkowych lasów i nagle wypadła na odkrytą przestrzeń rażącą wzrok ostrą bielą.

Póллеżąc w niskich rozwałkach z prawą nogą wystawioną poza krawędź zataczających się po wyslizganej drodze sań popędzałem mego konia, który jednak wyraźnie pozostawał w tyle za saniami Zygmunta^{x)} i Adama.^{xx)} Pomimo odpoczynku w Falcerach, gdzie spędziliśmy ostatnią noc i popasu w Karniutkach mój Kary wyraźnie opadał z sił i potrzebował kilku dni spokoju. Ja także czułem w kościach ostatnie tygodnie spędzone w stałych podróżyach i postanowiłem odpocząć kilka dni w Prącejkwie, gdzie czułem się jak w domu. Ale teraz czekała mnie jeszcze wyprawa na południe, bo Adam chciał nawiązać kontakt z Sowiecami z Puszczy Nalibockiej, aby omówić z nimi sprawy związane z poruszaniem się ich oddziałów po naszym terenie.

Zamierzaliśmy wykorzystać do tego celu niedawno nawiązaną znajomość z komisarzem Klewko z sowieckiej brygady im. Stalina, kiedy to w czasie spotkania na plebanii w Gródku zostały ustalone hasła rozpoznawcze, aby nie dopuścić do zbrojnych starć pomiędzy sowieckimi partyzantami i naszymi ludźmi.

Teraz jechaliśmy w kierunku Puszczy wszyscy trzej uzbrojeni w pistolety, choć spotkanie z Niemcami lub policją na tym zabitym od świata terenie było mało prawdopodobne. Jeżdżenie z konią stało się normalną praktyką i naszym przyzwyczajeniem - bez pistoletu czułem się wtedy niezbyt pewnie; pistolet wetknięty za pasek spodni uciskał mi brzuch.

X. Zygmunt Minejko ps. "Żyży"

XX. Adam Walczak ps. "Nietoperz"

Sanie mych towarzyszy znikły w z oczu, ale choć słabo znałem te okolice, nie niepokoiłem się, że pogubimy się - byłem pewien że oni gdzieś tam poczekają na mnie.

Wyjechałem z lasu na niewielką pustą polanę. Droga łagodnie opadała po zboczu, a na niej żółciły się smugi piasku wyglądającego spod stopniałego śniegu.

Aby oszczędzić koniowi wysiłku wleczenia sani po gołej ziemi, zjechałem z drogi na ośnieżoną płaszczyznę i w tymże momencie z przeciwnej strony polany zabrzmiał okrzyk:

- Ej ty! Kuda jediesz. Dawaj siuda!

Na tle ciemnej zieleni świerków, na drodze niknącej w lesie majaczyły jakieś postacie. Odruchowo ściągnąłem lejce i zatrzymałem się w pełnym słońcu. Z grupy stojących ludzi oderwały się sylwetki dwóch mężczyzn w korszach z bronią gotową do strzału.

- Stoj! Stoj! Ruki w wierch!

Biegli ku mnie zataczając się i grzęznąc w rozniekłym śniegu.

Pierwsza myśl: Kto? Policja czy partyzanci? Czykać czy wieść?

- Ruki w wierch! No padnijcie ruki, mierzawiec!

Uniosłem ramiona czekając aż się przybliżą.

Na czapkach z dyndającymi po obu stronach twarzy uszami czerwone gwiazdy - znaczy "towarzysze".

Zasapani, byli już o kilka kroków od moich saní. Jeden przystanął na szeroko rozstawionych nogach z automatem wycelowanym we mnie, drugi obszedł sanie i bodąc mnie lufą karabinu w pierś krzyknął:

- Twajo aruże! Atdawaj pistolet!

- Skąd wiedzą o broni? - przemknęła myśl - Aha, zrewidowali Adama i Zygmunta. Cholera, zabiorą spluwę...

Nie było sensu opierać się. Rozpiąłem kurtkę a Bolszenik wyciągnął mi pistolet z za paska spodni. Opuściłem ręce.

- Charoszaje igruszka. - wionął na mnie zapachem alkoholu - Pri-geditsa.

- Kto ty? Otkuda u tiebia aruże? Atwieczaj!

Ufny w nasze kontakty z komisarzem Klewko i hasło ustalone między nami powiedziałem:

- Nie twajo dzieło. Kto u was kamandir?

- Fa mordie jewo! W rożu! - wrzasnął ten z automatem; odniosłem wrażenie, że z trudem trzymam się na nogach - Ja tiebia... Automat niepokojąco chwiał się w jego rękach.

- Astaw, spakojna. - rzucił do niego ten stojący obok mnie / był chyba mniej pijany / - Sadis' - lekko popchnął mnie lufą karabinu. Usiadłem do sań, obok umieścili się obaj bolszewicy i pojechaliśmy ku ludziom stojącym pod lasem.

Przy kilku saniach stało na drodze 10 lub może 12 partyzantów a wśród nich milczący Adam i Zygmunt, który gestykulując usiłował wytłomaczyć coś otaczającym go Sowiecom. Kiedy zbliżyliśmy się na kilkadziesiąt kroków od lasu, z grupy tej wyszło na nasze spotkanie dwóch; krępy w rozpiętym kołżuchu z automatem zawieszonym na szyi uniósł rękę zatrzymując nas przed sobą.

- Posmatri - bojec jadący ze mną podniósł w górę mój pistolet - u niewo tożę pistalet. Wsie s arużjem eti szpiony, faszysty!

- Poczemu ty udięrał? - człowiek z automatem zwrócił się do mnie. Mówił jakgdyby z trudem rozciągając sylaby - wyraźnie był pijany - Poczemu ty powiernuł iz darogi?

Starając się zachować spokój, tłumaczyłem, że zjechałem w bok, bo na drodze niema śniegu. Wskazywałem za siebie na smugi gołej ziemi na zboczu pagórka.

- Wriosz, gad! Poczemu ty udięrał, kak tolko ty nas uwidieł? Nu poczemu?...

Usiłowałem go przekonać, że nie uciekałem, że zjechałem tylko tam, gdzie więcej śniegu...

- Wrańjo. - przerwał mi - Gawari prawdu, a tak ja tiebia siejczas...

- zaczął nieporadnie ściągać z szyi automat chwiejąc się na nogach. Czapka spadła mu na śnieg. Przestraszyłem się, że naprawdę może mnie zastrzelić.

- Padażdi. No, posłuszaj mienia. -podniosłem głos - Nie śmieję mienia trogat'. My jediem k komandiru Klewko i jeśli eżtoto s nami słuczitsa - wskazałem na niego palcem - ty budiesz atwieczat'. Ty!

Patrzył na mnie tpo z uniesionym automatem, ale chyba coś zaczęło do niego docierać.

- Klewko i Klewko! Wy wsie na niewo sсыkajeties - odezwał się jego towarzysz - Atkuda ty jewo znajesz?

- My k niemu jediem. - uchyliłem się od odpowiedzi - Poniatno tietie?

W głowie pijanego bolszewika zaczęły rodzić się wątpliwości; przyglądał mi się chwilę w milczeniu w wyrazem wysiłku, żeby zebrać myśli, potem schylił się po czapkę i niezłownie wsadził ją na łeb.

- Padażdi, ty...-w oczach jego wyczytałem głęboką pogardę - Tie-pier pojediesz s nami. Dawaj! - rzucił w stronę siedzących no-mych saniach partyzantów, po czym odwrócił się i lekko zataczając się ruszył ku swoim.

Podjechaliśmy ku reszcie. Wsiadłem z sani, aby porozmawiać z Adamem, lecz nie pozwolono mi zbliżyć się do mych towarzyszy.

Z odległości kilkunastu kroków widziałem Zygmunta rozmawiającego z Ruskami otaczającymi go kołem; z boku stał Adam, blady i wyraźnie spięty. Bardzo słabo znał rosyjski, więc wolał milczeć.

Bolszewik w rozpiętym kożuchu był chyba dowódcą oddziału, bo zwrócił się do reszty:

- Skażytie, rebiata, szto nam dieżat' s etimi Palaczyszkami?

- Rastreliat' szpionow! - rozległo się zewsząd - pulu w łob!

Śmierć faszystam!

Wśród chóru wrogich okrzyków i pogroźek jeden głos zabrzmiał inaczej:

- Padażditie, bratcy, tak nielzia. Oni wszyscy mówią, że jadą do komisarza Klewko i podają jakieś hasło. A co jeżeli oni naprawdę mają jakąś sprawę do sztabu? - mówiący partyzant robił wrażenie

trzęśwego - Sledujet razabratsia a nie srazu strielat'. Razstrielat' vsieгда uspiewem.

Wybuchły spory. Banda podzieliła się na tych, co chcieli od razu skończyć z nami i paru rozsądniejszych, którzy ich mitygowali.

W końcu komandir zdecydował:

- Pojediem w dierewniu i tam razbieromsia. Sud ustroim i reszym kak nam byt'.

Perspektywa sądu spodobała się partyzantom; zaczęli mościć się na saniach, zawracać konie - na wąskiej drodze zrobił się niesamowity rozgardiasz. Zewsząd rozbrzmiewały nawoływania i przekleństwa, sanie przepychały się i zderzały między sobą, lecz w końcu wyciągnęły się w sznur i ruszyliśmy. Jechaliśmy bez żadnego ubezpieczenia, całą hurmą nie kępując się zachowaniem ciszy i napekniając las gwarem i okrzykami. Nas trzech umieszczono pod strażą w oddzielnych saniach, tak, aby uniemożliwić nam porozumiewanie się.

Jechałem z dwoma świetami; jeden z nich dość przytomny kierował koniem i bawił się moim pistoletem / bałem się, aby niechcąc nie wystrzelił /, zaś drugi zaraz zapadł w drzemkę, z której budził się na chwilę, gdy sanie tarkały od czasu do czasu płozami po kamieniach. Milczeliśmy, bo moje usiłowania nawiązania rozmowy spęzły na niczem; miałem więc czas zastanowić się nad naszym położeniem.

Niewątpliwie uniknęliśmy natychmiastowego zastrzelenia nas jako niemieckich szpiegów, na co większość pijanych partyzantów miała ochotę. Ale jaki będzie wynik tego "sądu"? Doszedłem do wniosku, że mimo iż nie znali lub nie reagowali na hasło ustalone z Klewką, należy z uporem domagać się spotkania z nim i sprawić wrażenie, że to spotkanie leży w jego interesie. Myśl o ucieczce w czasie jazdy musiałem zdecydowanie odrzucić, bo ucieczka jednego z nas przesądzała los pozostałych. Nie pozostawało nic innego, jak czekać na rozwój wypadków nie przejawiając strachu i zachowując spokój.

Do wsi, którą partyzanci wyprali na miejsce postoju, dojechalism-

my o zmroku. Umieszczono nas w obszernej kuchni o glinianej po-
pie i wielkim chlebowym piecu. Większość partyzantów przeszła do
następnej izby, gdzie wkrótce zapłonęła lampa; przy nas pozosta-
ło paru aby nas pilnować i uniemożliwić nam porozumiewanie się po-
między sobą. Gospodarze, którym polecono przygotować posiłek, krą-
cili się po izbie spoglądając na nas, niewątpliwych jeńców, ze
współczuciem, zwłaszcza kiedy próba nawiązania z nami rozmowy spot-
kała się z ostrym sprzeciwem pilnujących nas Rusków.

rozpoczęło się śledztwo. Każdego z nas przesłuchiowano oddziel-
nie; nie przypominam sobie, który z nas poszedł na pierwszy ogień
Adam czy Zygmunt. Ja byłem drugi. W sąsiedniej, oświetlonej lampą
izbie siedziało za stołem kilku partyzantów stanowiących areopag
sędziów, zaś reszta siedziała po kątach lub stała pod ścianami.
Było bardzo gorąco, a może tylko tak mi się zdawało.

Kazano mi stanąć w pełnym świetle naprzeciw "sędziów", którzy
zadawali mi pytania. Szczęściem parogodzinna jazda i świeże po-
wietrze wytrzeźwiły najbardziej pijanych. Odniosłem wrażenie, że
teraz mam do czynienia z ludźmi trzeźwymi.

- Gawari prawdę! Ty szpion. Kak dawno rabotajesz dla faszistow?

- Ja nikogda dla nich nie rebotal. Ja Paliak i ja borus protiv
Giermancow.

- A aruzje? Kto tiebie jewo dal?

Starąłem się wyjaśnić, że my Polacy organizujemy się, aby stawić
czoła Niemcom, że tak jak i oni - sowieccy partyzanci jesteśmy go-
towi walczyć przeciw wspólnemu wrogowi. Coś tam jeszcze plotłem w
tym sensie, ale ich nastawienie było nadal wrogie i nie dawali wia-
ry moim słowom.

Kazano mi się rozebrać do bielizny i dokładnie przeszukano moje
ubranie. Znaleźli fałszywy dokument na nazwisko Markiewicz, zapaso-
we naboje do pistoletu, parę pigułek aspiryny i niemiecką sztabów-
kę tamtych okolic. Mapa ta upewniła ich, że jestem szpiegiem i zu-
pełnie przestali mi wierzyć. Atmosfera znowu stała się napięta, za-

częły padać groźby i rozległy się wrogie okrzyki. Ktoś rzucił podejrzenie, że znalezione przy mnie pigułki są trucizną i nie mogłem ich przekonać, że to lekarstwo.

- Tak dawajcie, ja ich sjem.

- O niet! - pomachał palcem komandir - Ciebie chaciełos' by pokonczyt' samubijstwom, no ja nie takoj durak, kak tiebie kazetsia.

Sytuacja stawała się zgoła absurdalna. Mapa i pigułki leżały na stole jako jawny dowód mego szpiegostwa i bezskuteczne były moje usiłowania, aby aspirynę dać psu lub kotu do zjedzenia. Prostu chcieli abym okazał się szpiegiem.

Jakieś tępe zaślepienie, upór a może chęć przekonania samych siebie, że należy nas zlikwidować, kierowały ich wysiłkami, aby upewnić się, że pracujemy dla Niemców. Działał już jakże pociągający schemat myślowy: oni sprawiedliwi, walczący o wolność z bezlitosnym wrogiem i ja - zdrajca i nikczemnik, który winien ponieść zasłużoną karę. Rozwiązanie może być tylko jedno.

Śczęściem nie było żadnych pytań dotyczących polskiej konspiracji i ludzi z nią związanych, czego obawiałem się od początku. Byłem zdecydowany niczego nie ujawniać z tej dziedziny, więc ich brak zainteresowania naszymi sprawami uznałem za okoliczność korzystną.

Całe to śledztwo prowadzone było w sposób prymitywny, bezmyślny i opierało się na usiłowaniu zastraszenia mnie krzykiem i groźbami choć, muszę przyznać, że ani razu nikt nie próbował mnie uderzyć.

Moje uprzejme powoływanie się na komisarza Klewko / którego nigdy nie widziałem, bo nie brałem udziału w jego spotkaniu z Adamem i kś. Gogolińskim / powoli robiło swoje; w miarę upływu czasu zapalał inkwizytorski "sędziów" powoli przygasał. W końcu pozwolono mi ubrać się i polecono poczekać w kuchni; przyszła kolej na ostatniego z nas. Wyszedłem. W ręce miosłem moje buty, których nie zdążyłem włożyć. Z ławy podniósł się Rusek, wziął moje obuwie, obejrzał je w blasku ognia, przymierzył podeszwą do swej stopy i powiedział do drugiego siedzącego w ciemnym kącie:

- Padchođiat. S'matri, ja ich waźnu.

- No tak, - pomyślałem - już znalazł się amator na n^oje buty.

Włożyłem buty, usiadłem na ławie i zamknąłem oczy. Przebiegałem w myśli ich pytania i moje odpowiedzi i zastanawiałem się, co mogą powiedzieć obaj moi towarzysze - czy nasze zeznania nie będą sobie przeczyć - przecież niczego przedtem nie uzgodniliśmy. I wtedy nagle uświadomiłem sobie, że cały się trzęsę, wszystko w moim wnętrzu dygotało. Nie mogłem opanować obrzydliwego drżenia rąk i fal drobniutkiego dygotania płynącego z okolic żołądka. Nie pomagało zaciskanie dłoni i zębów. Czy to strach? Przecież tam przed tym stołem w sąsiedniej izbie wydawałem się sobie zupełnie spokojnym, nie odczuwałem żadnego drżenia, a bałem się nie więcej niż wiele razy w moim dotychczasowym życiu.

Opanował mnie gniew, więcej, prawdziwa wściekłość na to dygotanie, na moją bezsilność i na tych durnych bolszewików, którzy mogą zrobić z nami wszystko, co im przyjdzie do tych zapijaczonych łbów!

Nie mogłem usiedzieć spokojnie. Wstałem pod pretekstem napięcia się wody z wiadra stojącego na zydłu przy drzwiach. Wolno piłem zimną wodę usiłując nie dzwonić zębami o blaszany kubek. Patrzyłem przez małe szybki okna ^{na podwórze} zalane światłem księżycy wiszącego nad dachem stodoły.

- Jeżeli będą nas strzelać - myślałem - to nas wyprowadzą poza obojęcie. Trzeba będzie uciekać. Uciekać bez względu na szansę powodzenia! Najlepiej między chaty - na prawo.

Byłem zdecydowany nie dać się zabić jak cielę prowadzone na rzeź.

Poróciłem na moje miejsce na ławie i z pewnym zdumieniem stwierdziłem, że dreszcze ustały i znowu jestem spokojny. Czyżby wystarczyło podjąć decyzję, aby mój organizm zareagował powrotem do normalnego stanu? Nie zdawałem sobie sprawy, że nasze reakcje fizjologiczne są tak silnie związane z procesami psychicz-

nymi. Kiedy skończyły się wreszcie przesłuchiwanie nas przez ten samozwańczy sąd i wszyscy zagleźliśmy się razem, każdy z nas z niepokojem oczekiwał na decyzję, od której będzie zależało nasze życie. Spoza zamkniętych drzwi dobiegaly odgłosy jakichś sporów i narad, ale mimo nadstawiania uszu nie mogłem rozróżnić słów. Były to denerwujące chwile!

W końcu z tamtej izby zaczęli wychodzić pojedynczy partyzanci, a po chwili zjawił się przed nami komandir i oznajmił:

- Pajedietie s nami w sztab brigady. Pust tam reszajut, szto s wami diełat.

Każdemu z nas spadł ciężar z serca. Zaświtała nadzieja, że może wyjdziemy cało z tej idiotycznej przygody, ale czekała nas jeszcze przeprawa w Nalibockiej Puszczy, w tym maceczniku sowieckiej partyzantki.

Niewiele zachowało się w mej pamięci z naszej dalszej podróży. Dotarliśmy do Puszczy chyba po dwóch dniach, lecz nie pamiętam, gdzie i jak spędziliśmy następną noc - czy w drodze, czy we wsi.

Stosunek bolszewików do nas wyraźnie zmienił się od nocy "sądu". Ustały pogrożki i wyzwiska rzucone pod naszym adresem, nawiązywały się rozmowy prowadzone w normalnym tonie, a przy posiłkach, gdy siedzieliśmy wspólnie za stołem, panował pogodny nastrój. Może na tę zmianę wpłynęły wytrzeźwienie całej ferajny, stały kontakt pomiędzy nami w czasie wspólnej podróży i uwolnienie się partyzantów od przymusu decydowania o naszym losie. Adam i Zygmunt wyraźnie odzyskali humor i czasem udawało się nam zamienić kilka słów, chociaż nie pozwalano nam na dłuższe rozmowy i każdy z nas jechał w innych saniach. Poruszaliśmy się w biały dzień - nasi "opiekunowie" czuli się pewnie w terenie całkowicie opanowanym przez sowiecką partyzantkę. Kilkakrotnie spotykaliśmy niewielkie oddziały wyruszające na "bambioszkę" lub ciągnące w kierunku Puszczy Nalibockiej z saniami władowanymi żywnością i łupami zdobytymi w okolicznych wioskach: workami zboża i maki, martwymi świniami z nogami sztywno sterczą-

cyami ku niebu, sprzętami domowymi i odzieżą.

Na jednych z sani tkwiła ogromna beczka, jakiej używają się do kiszenia kapusty; była pusta i nie wiem do czego miała służyć - może jako zbiornik na wodę a może do kąpieli? Za saniami uwiązane na postronkach wlokły się chude krowiny a skrajem drogi brnęli w rozmiękłym śniegu uzbrojeni mężczyźni i okutane chustami baby czasem z autoseksem zawieszonym na szyi lub karabinem na plecach. Nad temi gromadami przypominającymi bardziej wieśniaków powracających z jarmarku niż wojsko błyszczało oślepiające słońce na bezchmurnym niebie.

Jedno spotkanie z dość dużym oddziałem idącym z Puszczy utkwiło mi w pamięci. Musiała to być grupa z tej samej partyzanckiej formacji, bo "nasi" bolszewicy witali się z nimi jak dobrzy znajomi: zarządzono "zakurkę" i na drodze potworzyły się grupki żywo rozprawiających partyzantów. Siedziałem na saniach w rozpiętej kurtce grzejąc się w promieniach słońca kiedy zbliżyło się do mnie kilku nieznanym.

- Ty polskij partizan? - zapytał jeden z nich; w głosie jego wyczułem zaciętkę.

- Da.

- Jedziesz w nasz sztab?

- Da.

- I ty chcesz razgawariwat s naszoj kamandoj? - w pytaniu tym zadźwięczała wyraźna ironia.

- Da.

- Na, a cżom ty s nimi budiesz gawariť?

Zirytował mnie ten dociekliwy Rusek, wyraźnie popisujący się przed resztą. Zapytałem:

- A ty kto? Kamandir?

- Niet. - odrzekł zaskoczony - Ja starszyna.

- No tak zacżem spraszYWajesz? Nie twajo dzieło!

Rozległy się śmiechy. Ktoś powiedział: Zdorowo!

Pytający zdawał się zaskoczony. Pokręcił z uznaniem głową:

- Iż, kaczego żuk! - powiedział - Może i wierno, czto on polskij partizen!

Ta krótka rozmowa umocniła mnie w przekonaniu, że aby uzyskać uznanie tych ludzi, czasem należy postawić się i nie kłaść uszu po sobie.

Do Buszczy Nalibockiej dotarliśmy około południa i po minięciu szeregu ukrytych w lesie czujek, z którymi wymieniono hasła, znaleźliśmy się w końcu w obozie partyzanckim. Wśród drzew kręciło się tu sporo ludzi, w karczaskach zamaskowane gałęziami stały sanie, konie skubały siano, na ziemi leżały stosy porąbanych drewn a tu i ówdzie widniały wąskie wejścia prowadzące w dół do ziemianek.

Zaprowadzono nas do ziemianki stanowiącej schronienie dla około 10 ludzi, na co wskazywały pryce wykonane z drągów i pokryte łapkami jedliny; leżały na nich jakieś płachty, kołdry i kożuchy.

Pod strażą 2 bojców przyszło nam oczekiwać na dalszy bieg wypadków.

Po pewnym czasie do ziemianki wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w szaro-niebieskim obcisłym mundurze.

- Zdrastwujcie - powiedział wyciągając rękę do Adama - Ja was zdies' nie nadziejaśia.

Okazało się, że to jest właśnie politruk Klewko, na którego wszyscy tak uporczywie powoływaliśmy się. Wystarczyło kilka minut rozmowy, aby mu wyjaśnić, jak tu znaleźliśmy się. Adam przejął inicjatywę / był naszym szefem, a ponadto jedynym z nas, który znał politruka / i płacząc słowa polskie i rosyjskie przy naszej pomocy oznajmił, że zależy nam na porozumieniu się z sowieckim dowództwem, celem wyjaśnienia spraw związanych z wzajemnymi kontaktami partyzantów i polskiej ludności tych stron. Naszym zdaniem, należałoby ustalić racjonalny sposób zaopatrzenia coraz liczniejszych oddziałów sowieckich tak, aby rozłożyć bardziej równomiernie ciężar ich wyżywienia na większą liczbę wiosek i nie doprowa-

dzać niektórych osad do wygłodzenia i kompletnego zdewastowania gospodarstw. Po tych wyjaśnieniach Klewko oświadczył, że nasze propozycje musi przedstawić swoim towarzyszom i pozostawił nas samych. Czekaliśmy w napięciu na wynik ich narad, zdając sobie sprawę, jak wiele od niego zależy.

Po pewnym czasie zaprowadzono nas do sąsiedniej ziemianki, w której oprócz Klewki zastaliśmy kilku mężczyzn stanowiących, jak domyślaliśmy się, sztab brygady.

Po krótkiej prezentacji usiedliśmy przy stole - my trzej po jednej jego stronie, zaś Rosjanie pod ścianą naprzeciw nas. Na wstępie wyjaśniliśmy, że jadąc do Puszczy z zamiarem dotarcia do sztabu radzieckich partyzantów zostaliśmy zatrzymani i rozbrojeni przez ich ludzi, którzy przywieźli nas tutaj. Nie wspomnieliśmy, że bojący byli w sztok pijani, że osądzili nas o szpiegostwo i że niewiele brakowało, ażeby nas wyprawili na tamten świat; prosto zależało nam na stworzeniu atmosfery nie zakłóconej żadnymi pretensjami.

Adam przedstawił nasze propozycje uzasadniając je ubogólnym interesem i nadrzędnym celem walki ze wspólnym wrogiem, a ja w tym czasie obserwowałem otoczenie i naszych gospodarzy.

Obszerna ziemianka, w której toczyły się nasze rozmowy, była podzielona przepierzeniem na dwie części. Przez wąskie, długie okno umieszczone nad stołem wpadało stosunkowo dużo światła, tak że w pomieszczeniu było dość jasno. Ściany i strop wyłożone były brzo-zowymi okraglakami, a ich biała kora stwarzała wrażenie czystości. Panował tu porządek, a wszystkie sprzęty przywiezione tu z chłop-skich chat robiły wrażenie świeżo wyszorowanych. W ziemiance nie było żadnych legowisk, zapewne była ona przeznaczona na siedzibę dowództwa i do prac sztabu brygady.

Siedzący naprzeciwko nas czterej Sowieci wyglądali na oficerów. Jedynie politruk Klewko był ubrany w nietypowy ściągnięty pasem z koalicyjka ^{szare-niebieski} mundur przypominający uniform francuskich oficerów; pozostali mieli na sobie wojskowe rubaszki bez żadnych dystynkcji.

Najstarszy stopniem okazał się średniego wzrostu około 40-to letni mężczyzna, który przedstawił się jako pułkownik lub podpułkownik Muranow i on to miał decydujący głos we wszystkich omawianych sprawach. Jedynie on i niekiedy Klewko zadawali nam pytania i zabierali głos w dyskusji, podczas gdy dwaj pozostali zachowywali całkowite milczenie. Należy podkreślić, że w czasie naszych pertraktacji wszyscy wyraźnie unikaliśmy jakichkolwiek sformułowań, któreby mogły dotknąć drugą stronę - rozmowa toczyła się w wyważonej, spokojnej tonacji.

Dowodem naszej owocnej współpracy z sowietami, powiedział Adam, są raporty naszego wywiadu dotyczące ruchu pociągów w węzle kolejowym w Mołodiecznie, przekazywane od pewnego czasu ich agentowi w Gródku. Muranow podziękował za nie w imieniu sztabu i potwierdził, że na tym odcinku strona polska wywiązuje się sumiennie ze zobowiązań przyjętych w trakcie spotkania politruka Klewki z Adamem na plebanii w Gródku. Nasze propozycje uregulowania zaopatrzenia w żywność oddziałów sowieckich w nadchodzących miesiącach nie spotkały się jednak z zainteresowaniem bolszewików. Pułkownik oświadczył, że aprowizację obu brygad im. Stalina i im. Czkałowa stacjonujących w Puszczy Wali-bockiej rozwiązują sami w pełnej i harmonijnej współpracy z miejscową ludnością. Oczywiście nie daliśmy po sobie poznać, co myślimy o tej harmonijnej współpracy, która w rzeczywistości była bezwzględnym rabunkiem mieszkańców okolicznych wiosek. Stało się dla nas jasne, że nie uda się uporządkować tych spraw i że nasze nadzieje na ulżenie doli miejscowych gospodarzy nie dadzą się urzeczywistnić.

Z kolei Sowietci wysunęli propozycję ściślejszej współpracy wojskowej obejmującej akcje przeciwko Niemcom i wyrazili gotowość dostarczenia nam pewnych ilości broni, ale pod warunkiem, że podporządkujemy się ich dowództwu. Było dla nas oczywiste, że jest to warunek nie do przyjęcia, więc Adam zasłonił się brakiem upoważnienia, do podejmowania tak ważkich decyzji i obiecał przekazać propozycje sowieckie naszemu dowództwu, którego odpowiedź zostanie przesłana

do puszczy przez nasz kontakt w Gródku. Pułkownik Muranow uznał takie załatwienie tej sprawy za właściwe i wyraził nadzieję, że zostanie osiągnięte porozumienie odpowiadające obu stronom.

Ustaliliśmy, że w drogę powrotną udamy się następnego dnia rano, począł nas gospodarze zaproponowali, abyśmy coś zjedli i wypili. W rozmowie wypłynęła sprawa zabranej nam broni i Muranow polecił swym ludziom, aby nam wszystko zwrócili; po pewnym czasie otrzymaliśmy nasze pistolety i nic nie stało na przeszkodzie, aby zasiąść do stołu. Pojawiło się jedzenie i kilka butelek samogonu. Nastąpiły toasty za wzajemną pomysłność i zwycięstwo nad wspólnym wrogiem; obie strony unikały tematów politycznych i rozmowa potoczyła się wesoło i swobodnie. My z Adamem staraliśmy się pić z umiarem i jakoś to się nam udawało, lecz Zygmunt nie stronił od alkoholu i wkrótce stał się agresywny - jego uwagi były wyraźnie napastliwe. Obawiając się awantury Adam podziękował za przyjęcie i powiedział, że chcielibyśmy nieco odpocząć przed czekającą nas nazajutrz podróżą. Na pożegnanie zaproponowano nam, abyśmy jeszcze odwiedzili obozowisko jednego z oddziałów.

Na dworze zapadał już zmrok. W towarzystwie oficera dotarliśmy do niewielkiej polany, na której przy ognisku kręciło się kilkunastu partyzantów. Wśród nich kilka kobiet i harmonista wygrywający popularne rosyjskie melodie. Odniosłem wrażenie, że spotkanie to zostało specjalnie zainscenizowane dla nas. Początkowo panowała dość sztywna atmosfera, lecz kiedy przy dźwiękach harmonii zaczęto śpiewać partyzanckie piosenki, a dwóch żołnierzy ruszyło w tany kręcąc się w przysiadach, a za ich przykładem poszły dziewczyny, nastrój wyraźnie się zmienił. Zabrzmiąły wesołe "czastuszki". Młody chłopak w czapce zsuniętej zawiądzając na czoło wyskoczył na środek koła i zaśpiewał:

Maja miła zabalieła,

Zachacieła małaka.

Nie papaia pod karowu,

A papata pod byka!

Śmiechy, okrzyki, urywane rozmowy, częstowanie machorką, poklepywanie po plecach i szum wypitego alkoholu w głowie, wszystko to zmieszało się w zamglone wspomnienie tamtego wieczoru.

W ciemności zabrzmiała tęskna pieśń "Żdi mienia", którą w Kuszlanach często śpiewał wyciągnięty przez nas z niemieckiego obozu młody Rosjanin z Leningradu-Anatol; jej słowa zawsze mnie wzruszały.

Żdi mienia, i ja wiernus'
Tolko oczeń żdi,
Żdi kagda nawodiat grust'
Żoktyje dażdi,
Żdi kagda sniega mietut,
Żdi kagda żara,
Żdi kagda drugich nie żdut
Bazabyw wcziera.

Gwar na polanie ucichł. Przy ledwie dosłyszalnym wtórze harmonii płynęła pełna melancholii melodia budząca w każdym ze słuchaczy wspomnienia przyjaciół, domu, rodziny...

Żdi kagda iz dalnich miest
Pismo nie prijdiot,
Żdi kagda uż nadajest
Wsiem, kto wmiestie żdiot.
Pust' nawierit syn i mat'
Czto uż niet mienia,
Pust' družja ustanut żdat',
Siadut u ognia,
Wypjut gorkeje wino
Na pomin duszy,
Tolko s nimi za odno
Wypit' nie spieszzy.

Było coś przejmującego w słowach tej pieśni śpiewanej w środku

Puszczu, u ogniska, wśród ludzi rzuconych wirami wojny w dalekie od rodzinnego domu strony.

Kak ja wyżył budiem znat'

Tolko my s taboj,

Prosto ty umieła żdat'

Kak nikto drugoj.

Coś ścisnęło mnie za gardło. W alkoholowym rozrzuwieniu topniała nieufność i niechęć do otaczających mnie ludzi, a rodziło się zrozumienie i poczucie wspólnoty, jakiejś nieokreślonej więzi ze skazanymi na zmaganie się z przemożnymi, wrogimi siłami.

Ognisko przyciągało, zebrani w jego kręgu zaczęli z wolna rozchodzić się. Nas odprowadzono do ziemianki, w której pozostawiono dla nas kilka wolnych legowisk. Zmęczony przejściami ostatnich dni, z głową ciężką od wybitego samogonu, zasnąłem chyba natychmiast.

Rano nie spotkaliśmy się z oficerami sztabu. Pod eskortą kilku partyzantów towarzyszących nam poza pierścień czujek wyjechaliśmy z obozu i wkrótce Puszcza pozostała daleko za nami.

Mieliśmy szczęście, że ta przygoda spotkała nas wiosną 1943 r. Gdyby zdarzyło się to jesienią tegoż roku, trudno byłoby liczyć na jej szczęśliwe zakończenie. Rozkaz Naczelnego Sztabu Ruchu Partyzanckiego przy dowództwie Armii Czerwonej podpisany przez gen. Iln. Ponomarienkę nakazywał bowiem bezwzględne niszczenie oddziałów partyzantów polskich.

Na początku października Sowieci przystąpili do likwidacji znanych im członków polskiego podziemia. Wtedy to między innymi został uprowadzony Władysław Karsak ps. "Tata", a następnie obie jego córki: Jadwiga ps. "Inka" i Wanda ps. "Wanda" i wszelki śluch po nich zaginął, a na początku grudnia sowieccy partyzanci zdradziecko za-

atakowali polskie oddziały biwakujące w Puszczy Nalibockiej i w jej okolicy.

Ścisłe tajny rozkaz dowódcy brygady im. Stalina z dn. 30 listopada 1943 r. nakazujący rozbrajanie Polaków i rozstrzeliwanie ich w razie stawiania oporu, znaleziony przy poległym w starciu oficerze sowieckim, był podpisany także przez ppłk. Muranowa, naszego znajomego z rozmów prowadzonych w marcu w Puszczy Nalibockiej.

I/1268/2 kw

A. Dobrowolski

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Robiło się coraz zimniej. Chłód od mokrych butów i spodni powoli przenikał coraz głębiej i choć miałem na sobie ciepłą kurtkę z samodzielnego sukna ściągniętą mocno pasem, czułem jak wzdłuż krzyża narasta drobne drżenie. Przeszedłem na przeciwległy róg stodoły i oparty o ścianę sennie spoglądałem na rozciągającą się przede mną polanę, której krańce w mroku listopadowej nocy stapiały się z czarną ścianą lasu.

Moja warta przypadła na ten najgorszy czas nocnego czuwania - od czwartej do szóstej. Zbudzony przez mego poprzednika musiałem wygrzebać się z wygrzanego legowiska na sianie, wciągnąć zimne, mokre buty i obwieszony tym całym partyzanckim rynsztunkiem tkwić teraz pod ścianą stodoły, w której spali moi czterej towarzysze - Tonko, Polza, Janek i Jeleń, zmęczeni wczorajszym marszem w jesiennym drobnym deszczu. Teraz już nie padało, ale wszystko było przesiąknięte wilgocią i w ciszy nocnej słyszałem wyraźnie pojedyncze ciężkie krople, które z rzadka spadały ze słomianej strzechy stodoły na leżące przed nią kłody drewna.

Ciążył mi automat zawieszony na szyi, ale nie chciało mi się go poprawiać, bo do tego musiałbym wyciągnąć ręce wsunięte w rękawy kurtki. Byłem przekonany, że nic nie może się zdarzyć tej nocy, tu w tym zabitym deskami od światła sametnym obejściu, zatopionym w rzadkiej mgie jesiennego nocy. Powoli ogarniała mnie przemożna senność. Żeby nie zasnąć na warcie, zacząłem wywoływać w pamięci zdarzenia dnia wczorajszego.

Nasz patrol, który wyruszył kilka dni temu z ebeżowiska w Puszczy Rudnickiej z dość niejasnym zadaniem spenetrowania terenu na wschód od linii kolejowej Wilno-Lida spędzał wczorajszy dzień w chacie należącej

do członka siatki, w życzliwej atmosferze i poczuciu bezpieczeństwa, bo rodzina gospodarza czuwała, ^{czy} ~~aby~~ nikt obcy nie pojawił się w okolicy. Przed południem Tońko zniknął na kilka godzin, żeby nawiązać kontakt z miejscowymi Akowcami, a po powrocie zakomunikował nam, że mamy nowe zadanie. Od pewnego czasu grasowała w okolicy 3 lub 4 osobowa banda, która rabowała miejscową ludność i terroryzowała mieszkańców pomniejszych wiosek i oddalonych gospodarstw. Byli niewątpliwie sowietami, a może jeden z nich pochodził z okolicy, bo mówił po białorusku, a nie po rosyjsku. Na czele bandy stał osobnik występujący w zielonym litewskim mundurze i litewskiej wojskowej czapce. Według opinii miejscowego komendanta AK musieli to być ukrywający się byli żołnierze sowieccy, ale nie partyzanci, lecz ^ypo prostu bandyci. Zabierali wszystko, co im wpadło pod rękę - świnie, krowy, konie, maszyny do szycia, zegarki i pieniądze, więc mieli niewątpliwie jakieś kontakty z kimś z miejscowych, który kradzione bydlęta i rzeczy gdzieś sprzedawał. Ale najgorsze było to, że zachowywali się wyjątkowo brutalnie - bili ludzi, gwałcili dziewczyny, a niedawno ciężko postrzelili młodego chłopca, który stanął w obronie siostry.

Były także podejrzenia, że mają kontakty z Niemcami lub Litwinami, bo czuli się zbyt pewnie i stale wypytywali się o partyzantów.

W końcu zapadł na nich wyrok, ale jak dotychczas miejscowej siatce nie udało się ich zlikwidować, więc korzystając z naszej tu obecności, zwrócili się do Tońki o pomoc. Tońko przyrzekł, że spróbujemy na nich zapolewać /tak się wyraził/, ale wiele czasu na to nie będziemy mogli poświęcić.

Dodatkową informacją uzyskaną przez Tońkę było wskazanie dwóch gospodarstw, w których, wg miejscowej ludności, bandyci często bywają i istnieje podejrzenie, że są to ich meliny.

Ramię, którym opierałem się o ścianę ścierpła, więc aby nieco się poruszać, poszedłem wzdłuż stodoły i wyjrzałem z ^yza jej rogu. Pies w budzie przy chacie odcinającej się ciemniejszą plamą na tle lasu zar

brzęczał łańcuchem i zaczął ujadać. Drzemał czujnie wietrząc obcych ludzi w stodołę. - A może ktoś się zbliża? - pomyślałem, starając się przebić wzrękiem mrok, w którym roztopiała się nieco jaśniejsza smuga drogi wiedzącej z lasu do obejścia, ale niczego nie mogłem dojrzeć.

Pies szczekał monotennie, przerywał, lecz po chwili ciszy, gdy już się wydawało, że znów zasnął, zaczynał od nowa. W tym ujadaniu nie czuło się zaciekleści, lecz jakgdyby zmęczone odrabianie sabaczej pańszczyzny. W końcu szczekanie psa przeszło w jakieś pomrukiwanie i po kilku pojedynczych szczeknięciach nastała cisza.

Nie mogłem dojrzeć, która godzina, ale napewno nie nadeszła pora, aby obudzić Jelenia, który miał przejąć po mnie wartę.

Było coraz zimniej i niebo jakgdyby ~~można~~ pojaśniało, ale to nie zbliżał się jeszcze ^{to} świt, ~~ale~~ chmury nieco zrzędyły. Była przejmująca cisza, której nie przerywał najmniejszy szelest.

Powróciłem do przerwanej toku myśli. Tenko zdecydował, że wieczorem spróbujemy przykapać bandytów na kolonii Stoki w jednej z ich domniemanych melin. Wyszliśmy z gościnniej chaty o zapadającym zmierzchu i po kilku godzinach marszu w drobny deszczu dobrnęliśmy do polany, u skraju której leżało interesujące nas obejście składające się z trzech zabudowań: chaty z drewnianym ganeczkiem, jekiejś obórki i nieco oddalonej od nich stodoły. Gospodarstwo otaczał płot z poziomych żerdzi, a w środku podwórza sterczał żuraw studni.

Okno chaty świeciło blade przez tuman mrzawki. Gdy weszliśmy na skraj polany, w gospodarstwie zaczął ujadać pies. Tenko polecił mi pozostać przy drodze jako ubezpieczenie od tej strony, a sam z resztą chłopaków okrążył chatę i zaszedł ją od tyłu. Wbrew naszym oczekiwaniom w chacie były tylko dwie kobiety: około trzydziestolatnia gospodyni i jej staruszka matka.

Pojawienie się obcych uzbrojonych ludzi mówiących po rosyjsku /staraliśmy się uchodzić za ruskich partyzantów/ nie wywarło na nich większego wrażenia; nie były wystraszone, choć niewątpliwie nam niechętne,

a niechęci tej wcale nie starały się ukryć.

Nasze usiłowania nawiązania z nimi rozmowy, aby się czegoś dowiedzieć, spełżyły na niczym. Gospodyni odpowiadała na nasze pytania wymijająco, starucha wzruszała ramionami i udawała, że ich nie rozumie. Dowiedzieliśmy się tylko, że mieszkają tu same, mąż umarł, bieda, wszystkiego brakuje w gospodarstwie, a obcy tu nie zaglądają. Niemców wogóle nie widziały i my jesteśmy pierwszymi uzbrojonymi ludźmi, którzy tu trafili.

Teńko zdecydował, że zostaniemy tu na noc i tylko z trudem udało się nam nakłonić baby, aby zrobiły nam coś do jedzenia. W końcu dostaliśmy chleba, nieco mleka i jajecznicę z kilku jaj, a po zjedzeniu tej skromnej kolacji parę kózuchów i jakieś płachty do spania w stodole. Zakazaliśmy babom wychodzić z chaty i polecili, aby przygotowały śniadanie i to lepsze niż kolacja, poczym poczłapaliśmy do stodoły i wgramoliliśmy na sásiek wypełniony sianem. Teńko wyznaczył kolejność wart i wkrótce spaliliśmy wszystkie, tylko wartownik tkwił na zewnątrz stodoły.

Nareszcie doczekałem się przedświt i upragnionej szóstej. Chudzikiem Jelenia, który zajął moje miejsce, a sam wgramoliłem się na sásiek, poluzowałem pas, zdjąłem buty i mokre omyce, wsunąłem zziębnięte stopy pod kózuch z miłym przekonaniem, że teraz mogę sobie pozwolić na jeszcze parę godzin snu.

Ktoś potrząsnął mnie za ramię. Otworzyłem oczy. Nademną pochylał się Jahk.

- Są, zbieraj się. - powiedział szeptem, zgarnął swą kurtkę, złapał pas i karabin i zsunął się z sásieka. Na dolnym klepisku koledzy pośpiesznie ubierali się i porządkowali brzoń, wymieniając półgłosem krótkie uwagi. Jeleń przez szczelinę lekko uchylonych wrót stodoły spoglądał na podwórze.

Za chwilę ubrany z automatem pod pachą byłem przy nich.

Przed paru minutami do chaty weszło trzech uzbrojonych ludzi, z których jeden niósł coś w worku. Nie zauważyli wartownika, który schował się do stodoły, gdy zbliżyli się do obejścia. Jeleń zwrócił uwagę,

że pies wyskoczył z budy szczekając, a potem zaczął się do nich kasić i machać ogonem - witał ich jak swoich.

Wyjrzałem przez szczelinę między deskami. Podwórze w skośnych promieniach słońca lśniło wilgotną trawą, na której ostro rysowała się smuga cienia rzucanego przez żrąb studni i żuraw. W przejrzystym powietrzu unosił się z komina smuga błękitnawego dymu, ~~zstępo~~ odcinająca się od ciemnego tła lasu.

Zastanawialiśmy się, co robić. Odpadał moment zaskoczenia, bo bandyci zostali powiadomieni przez baby o naszej obecności. Pozostawało jedynie udać takich samych "partyzantów", jakimi byli tamsi, i w dogodnym momencie otworzyć ogień. Teńcie polecił Polzie, który najlepiej z nas władał rosyjskim, granie roli dowódcy. Miał on właśnie wyjść ze stodoły, aby nawiązać kontakt z banykami, gdy Jeleń zawołał:

- Uwaga, wychodzą !-

Z ganku chaty zszedł wysoki mężczyzna ubrany w zielonkawy litewski mundur i zamasztytym krokiem, przyjaźnie machając ręką, zbliżał się ku nam. Już od połowy podwórza wołał:

- Zderowyje, bratcy! No, sztoż - budiem sojediniaetsa!-

W ciemnym prostokącie otwartych drzwi chaty majaczyły jakieś sylwetki. W promieniach słońca błyszczały srebrzyście pistolet zatknięty za pas zbliżającego się mężczyzny, a litewska wojskowa czapka była zawadliwie zsunięta na tył głowy.

- Sojediniajem¹ sia, rebiata!- powtarzał idąc ku nam z wyciągniętą ręką.

Na spotkanie wyszedł Polza i obaj przywitali się koło studni, jak dwaj dobrzy znajomi.

Powoli wychodziliśmy ze stodoły, a na ganku chaty pojawili się dwaj pozostali bandyci.

-Ja komandir - powiedział nowoprzybyły - a u was kto komanduje?-

Uważnie przyglądał się nam lustrując każdego od stóp do głów. Zapewne zaimponowało mu nasze dobre uzbrojenie, bo rzucił uwagę, że jak się połączymy, do żadni Niemcy czy "policaje" nie będą dla nas straszną i

okolica będzie nasza.

Polza odpowiadał na jego pytania i obaj rozmawiając skierowali się ku chacie, a my poszliśmy za nimi. Przed gankiem Polza odwrócił się ku nam i rozkazał po rosyjsku Jankowi, aby wyszedł na skraj lasu i uważał na drogę.

- Ostaw brat! Zdeś nikakiej karauk nie ružen,- zaprotestował komandir - Nikt tu nie zagląda. Tu cicho i bezpiecznie, a przez okno widać całą drogę.

Polza nie ustąpił, oświadczając, że my zawsze stosujemy ubezpieczenie, aby nikt nas nie zaskoczył. Komandir polecił więc swemu kompanowi towarzyszyć Jankowi nawarcie, a ponieważ ten nie miał najmniejszej ochoty tkwić w lesie zamiast przy stole, doszło między nimi do kłótni.

W końcu jednak Rusek w narzuconej na ramiona kurtce wziął karabin i, upewniwszy się, że ktoś go wkrótce zmieni, począł z Jankiem do Kasu. To był pierwszy wyraźny sygnał, że komandir jest czujny i woli nie ryzykować.

Weszliśmy do izby przez długą ciemną sien. W izbie smakowicie pachniało zupa i słoniną. Gospodyni krzątała się przy piecu, a steruszka na zydelku skubała gęś, zapewne przyniesioną z nocnej wyprawy. Na stole stało kilka butelek z samogonem, leżał napoczęty bochen chleba i okazałych rozmiarów poleć słoniny - widać bandyci po powrocie zdążyli już coś przekąsić i wypić, bo zajędzali od nich alkoholem.

Komandir czuł się tu jak we własnym domu:

- Zachadite, orzy, zachadite! Wipijem za wstreczu - zapraszał nas do środka. Był ożywiony i gadatliwy, podczas gdy jego towarzysz, mimo około trzydziesteletni mężczyzna ubrany w ciemną fufajkę prawie nie odzywał się i nie wypuszczał karabinu z ręki.

Gospodyni podała jakieś kubki czy szklanki i po chwili pierwsza opróżniona butelka po samogonie powędrowała pod stół. Pijąc na pusty żołądek przeszło pół szklanki piekącego himbru/ a był to dopiero początek/ obawiałem się, żeby się nie urznąć, ale nie można było nie pić.

-Ma, bratcy! Pogulajem siewo dnia zdrowo. Fir ustroim. Babuszka guś podżerit, a samogona i solonych agurcow chwattit.- a zwracając się do bały zawołał - Chazajuszka, gosti priminaj! Jajeszniu gatow! Progażadaliś malczyszki tak i ugaszczaj ich.-

- A wy saditeś za stol - zapraszaj nas.

Przechodząc koło łóżka zgarnął leżący na nim karabin i postawił go w rogu za stołem, opierając o ścianę. Sam usiadł na zydlu bokiem odwrócony do stołu fając po lewej okno na podwórze a za sobą karabin. Wyjął z za pasa pistolet i położył go na stole, tak, aby mieć go pod ręką.

Milczący Rusek nie odkładając karabinu usadowił się po przeciwnej stronie, tak, że dla nas pozostały miejsca na ławie przy dłuższej krawędzi stołu, pomiędzy oboma bandytami.

Aby podkreślić nasze pokojowe zamiary, położyłem swój PPD na łóżku i usiadłem naprzeciw komandira, lecz na wszelki przypadek uprzednie odpiąłem kaburę pistoletu, którą zawsze nosiłem na brzuchu. Dwaj kole-dzy usiedli na ławie obok mnie, zaś Tońko przysiadł na łóżku, na którym Polza, uzbrojony w pistolet, też położył swą "samozariedkę" mało przydatną w przypadku strzelaniny w chałupie. Erozumiiałem, że Tońko chciał mieć nas wszystkich przed sobą, a bardzo słabo znając rosyjski wolał nie włączać się do rozmowy.

Z pozoru panował między nami przyjazny nastrój, lecz wyzuwało się napięcie i każdy z nas pilnie obserwował pozostałych ze wyjątkiem mrukliwego bandyty z karabinem, który zaopiekował się jedną z butelek samogonu i co chwila napełniał nim swój kubek. W krótkim czasie wzrok mi zmętniał, ale ruchy miał pewne i nie drżała mu ręka, gdy nalewał bimber pozostałym biesiadnikom.

Komandir zainteresował się skąd przybywamy i skąd mamy broń, zwłaszcza intrygował go MP Tońki i nasze niemieckie pistolety. Polza opowiedział bajeczkę, że Tońko / nie pamiętam, jak go nazywał / był w białoruskiej policji, ale po pijanemu pokłócił się z Niemcem i go zastrzelił. Wziął broń z posterunku, zwiął do lasu i tam przyłączył się do nas. Przez

parę miesięcy kręciliśmy się w okolicach Kołodeczna i Wilejki, a teraz postanowiliśmy zmienić teren działania. Można się było domyślać z naszych niejasnych odpowiedzi, że tam grunt zaczął się nam palić pod nogami, że mieliśmy zatargi z miejscową ludnością i że woleliśmy nie spotykać się z sowiecką partyzantką.

Komandir przyjął nasze wyjaśnienia z pełnym zrozumieniem /tak mi się przynajmniej zdawało/.

- No, bratcy, zróbieś wmiestle s nami wy chorosze ustroitieś. Krasivo pożywiom!-

Gospodyni postawiła na stole dwie skwierzące patelnie pełne suto oskwarzonej jajecznicą. Zabraliśmy się do jedzenia nie zapominając o samogonie. Sięgając łyżką do wspólnej patelni zerkaliśmy na siedzącego obok komandira. Litewski młody był na niego za ciasną, rozpiął go pod szyją. W opalonej, kościstej, końskiej twarzy zwracały uwagę szerokie usta umieszczone w zbyt dużej odległości od niewielkiego zadartego nosa. Nad wąskim czołem kędzierzawiła się wysoko podstrzyżona blond czupryna, a skronie i przestrzeń nad uszami świeciła bielą nieopalonej skóry. Gdy Komandir śmiał się odsłaniając duże białe zęby, oczy zachowywały chłodny, czujny wyraz i był^m przekonany, że nic nie uchodzi jego uwagi. Jadał i pił posługując się lewą ręką, podczas gdy prawą dłonią leżącą na stole stale dotykał pistoletu. Sowiecka "teteika" polyskiwała srebrzyście, bo powierzenia jej była starta piaskiem lub gładkopapierem; zapewne zardzewiała w ukryciu i potem doprowadzono ją do tego stanu.

-Narod zdieś żywiot bahato - wymawiał słowa z ukraińska - i chwattit wieźliwe paprasit', a muzyki niczewo nie otkazut.

- I baby tożej dorzucik jego kompan - osobienne kagda uwidiał etu twaju sztuczku - wskazał palcem na pistolet Komandira.

- Rozumiejetsa! - zaśmiał się Komandir - Nie otkazut! Uwidite, kakisze wielikolepnyje dziewcziny naszli - oczy mu błyszczały, gdy zachwalał uroki pobytu w tej okolicy.

Alkohol szumiał mi w głowie i czułem, jak mi pulsują skronie. Wiedziałem, że zabijemy tych ludzi, ale ta myśl nie robiła wtedy na mnie wrażenia - najbliższa przyszłość jawiła mi się jako ostatecznie zdecydowana i moja zgoda lub sprzeciw nie mogły mieć na nią wpływu.

Czekałem, kiedy "to" się zacznie i analizowałem swe możliwości działania. Zdawałem sobie sprawę, że nie zdążę wyciągnąć mego Parabellum z kabury i zarepetować go /nie miałem naboju w lufie/, zanim Komandir nie użyje swej broni, którą miał pod ręką, a było jasne, że to ja będę pierwszym jego celem - siedziałem o metr od niego.

W podobnym położeniu byli obaj koledzy siedzący obok mnie przy stole. Tonko, który siedział na łóżku i miał pod ręką automat, nie zdecydował się na strzelanie, bo my trzej byłibyśmy między nim i bandytami. Trzeba było coś zrobić, aby zmienić nasze wzajemne usytuowanie nie budząc podejrzeń. Może wstać, aby napić się wody z wiadra stojącego przy drzwiach?

-Nakrej chleba!- zawołał Komandir do gospodyni. Kobieta zbliżyła się do stołu z bochnem, stanęła obok mnie i przyciskając chleb do pierśki krociła wielkie pajdy razowca. Gdy nachylała się pomiędzy mną i Polzą kładąc chleb na stole, zaleciał mnie ostrzy zapach potu rozgrzanej pod piecem baby.

- Na, pasmatryże na naszu gałubku,- rzucił Komandir- kakaja żeńszczyzna! Wsiu rabotu tianiet odna, a kak treba i nocziu ográjet. Baba kak parawoz!-

-- Wižu, szto ty żeleznodorożnikom rabotał - zaśmiał się Polza ubawiony porównaniem.

- Ja weśdie rabotał. Celyj sawieckij sojuz znaju. Powsiudu pobywał- chwalił się Komandir.

- A czaszcze wsiewo w tūrnie,- wtrącił półgłosem jego towarzysz, który sennie kiwał się oparty o karabin trzymany między kelanami.

- Nie skažu, słuczajeś - potwierdził Komandir - i w tiumie można żyć.

Z lewej kieszeni na piersi dość nieperadnie wyjął lewą ręką zegarek. Z pod przykrótkiego rękawa mignął wytatnowany na przedramieniu sztylet z węzłem owiniętym wokół ostrza.

Tońko na widok zegarka wstał z łóżka i nachylając się pomiędzy mną i Polzą postawił szklanę z reszką wódki na stole.

- Idę zamienić wartownika - powiedział z ręką opartą o moje plecy. Dwukrotnie znacząco ścisnął mi ramię - zrozumiałem to jako zachętę do działania.

- Wot, uprianyj Palak! - Komandir pokręcił głową - Wracajcie wszyscy razem do chaty.- Niema co tam sterczeć w lesie, stąd wszystko widać - wskazał ręką na okno.

Tońko nic nie mówiąc wziął z łóżka swój automat i wyszedł. Pomyślałem -"Wkrótce będzie po wszystkim" i pod stołem nieznacznie trąciłem Polzę kolanem. Odpowiedział mi tym samym. Spodziewałem się, że Tońko seria przez okno zlikwiduje Komandira, a wtedy my uperamy się z tym drugim. Zaczęłem coś mówić, aby odwrócić uwagę Ruska, ale strzały nie padały. Zerknąłem przez okno - Tońko oddalał się spokojnie w kierunku lasu, gdzie tkwiła nasza czujka. Odczułem to jako niewykorzystaną okazję i zacząłem mnie ogarniać złość. Wiedziałem, że jeżeli szybko nie spełnimy z tym wszystkim, że urzęną się i będą do niczego.

Komandir ciągle zachęcał nas do picia i sam nie wylewał za kołnierz, ale wydawało się, że alkohol nie robi na nim wrażenia, podczas gdy ja czułem coraz silniej jego działanie.

- Razwietali jabłoni i gruszy,
Paplyli tumany nad rēkoj..- zaśpiewał nagle pijackim głosem

Rusek z karabincem -

- Wychadila na biereg Katiusza
Na wysokij biereg, na krutoj - ciągnął wymachując ręką nad głową. Był już zupełnie pijany i oczekiwałem, że zaraz zwali się pod stół.

I właśnie wtedy zaczęło się .

W lesie zabrzmiały wystrzały; jeden, drugi i po małej chwili trzeci. Rozmowa urwała się, tylko pijany śpiewał dalej.

- Małczy!- wrzasnął na niego Komandir - Szto eto takoje? - spojrzał na nas z niepokojem i złapawszy swój pistolet pochylił się ku oknu.

- Mozet eto Niemcy? - powiedział Polza przekładając nogę przez ławę.

-Nie może być! - Komandir przesłusnął się obok mnie i rucił^s ku wyjściu z pistoletem w dłoni, lecz swój karabin zostawił w kącie. Ruszyłem za nim łapiąc po drodze mój automat leżący na łóżku. Wchodząc za Ruskiem do sieni odciągnęłem zamek, skierowałem broń w jego plecy i nacisnąłem spust.

- Klap - suche szczyknął mechanizm, lecz automat nie wystrzelił. Niewypał.

Jak smagnięty biczem Komandir odwrócił się z pistoletem wyciągniętym w moim kierunku. Zapamiętałem jego ^{ciemną} sylwetkę z plamą twarzy na tle jasnego prostokąta drzwi wiodących na podwórze.

- Ty czto? - zapytałem siłąc się na spokój - Wychadź!

Po paru sekundach milczenia napiętego oczekiwania wystrzelał Komandir opuścił pistolet i westchnął głęboko:

- Uch, a mnie skazał, czto ty mienia chcesz ubić!

- Słuska saszoł, durak! - powiedziałem stukając palcem w głowę - ty nawierna pijan.

Wolno odwrócił się i wyszedł na ganek, a ja za nim. Chwilę staliśmy obok siebie obserwując rozświetlone podwórze, drogę i milczącą las.

Komandir odwrócił się, zrobił parę kroków ku krawędzi ganku i ręką oparł się o ścianę. Wtedy szarpnąłem zamek i prawie nie celując nacisnąłem spust automatu, który zadrgotał w moich rękach.

Na białej skórze podgolonego karku bandyty wyskoczyły dwie małe, ciemne planki. Mężczyzna wolno, sunąc wyciągniętą ręką po ścianie spłynął w dół i zamarł bez ruchu, w kucki, ze zwieszoną na pinś głową.

- Zabijem go! - przeleciało mi przez głowę - tak łatwo się umiera?!

W chacie klaskały wystrzały. Pędem wbiegłem do sieni i z automatem gotowym do strzału wpadłem do izby. Obaj koledzy stali nieruchomo z opuszczonymi pistoletami, a u ich stóp przy przewróconej ławie leżał na wznak drugi Rusiek. Rozrzucone szeroko jego ręce drgały falami drobnych skurczów, ale już był martwy.

Śmierdziało pałem prochem, a w powietrzu fruwało białe gęsie pierze, które wysypało się z przewróconego koszyka.

-Nie strzelajcie! Nie zabijajcie mnie! Znikajcie się, nie zabijajcie!
-to histerycznie krzyczała kobieta wciśnięta w kąt obok pieca oskania-
jąc dłońmi głowę. Staruszka nieruchomo tkwiła na stołeczku z jedną
ręką przyciśniętą do piersi, a drugą wyciągniętą ku leżącej przed nią
nawpół oskubanej gęsi.

Już było po wszystkim. Polza, nie spuszczając wzroku z zabitego,
wolno przytrzymując lewą ręką lufę zwolnił napiętą sprężynę swego Wal-
tera i włożył pistolet do kabury.

- Nie krzycz. Nic ~~W~~am nie zrobimy - powiedział do kobiety zupełnie
spokojnym jakby zmęczonym głosem - Uspokój się. Milcz! - powtórzył
głośniej, gdy gospodynię nie przestawała lamentować.

Jeleń pochylił się po karabin zabitego a potem zwrócił się do mnie:

- A Komandir?-

- Leży na ganku. Miał lekką śmierć, zginął na miejscu - powiedziałem,
jakbym chciał się usprawiedliwić z tego, co się stało.

Zabierając broń wyszliśmy z chaty. Gdy któryś z kolegów wyjmował
pistolet z zaciśniętej dłoni Komandira, trup wolno przewrócił się na
bok i zwinięty pozostał na ganku. W obejście wchodzili wracający z lasu
Teńko i Janek. Spotkaliśmy się na środku podwórza i w paru słowach po-
wiedzieliśmy, jak to się odbyło. Trzeci bandyta zginął w lesie zastrzelo-
ny przez Teńka.

Gdy wychodziliśmy z obejścia, obejrzałem się. Kobieta wywlekała z
chaty bezwładne ciało zabitego, a na krawędzi ganku zieleniak ~~się~~ nie-
ruchomą plamą litewski ⁿ miodur.

Przed chatą pies na łańcuchu z opuszczonym ogonem i nastawionymi
uszami ciekawie przyglądał się tej scenie.

Gęsiego zamurzyliśmy się w las.

Szeroka błotnista droga biegła wzdłuż dworskich zabudowań. Głębokie,
kręte koleiny łączyły liczne kałuże odbijające szare niebo. Szpaler
topoli w równym rytmie pni przeświecających przez nagie różgi gałązek
biegł w dal ku linii horyzontu, gdzie majaczyły jakieś młodziaki.

W prawo od drogi rozciągały się zaorane pola opadające zagorami ku rzece obrzeżonej ciemnymi olszynami. W matowym świetle pochmurnego dnia kontury zacierają się w szarości, a krajobraz przypominał nie w pełni wywołaną fotografię.

W nieruchomym powietrzu wirowały wolno opadające drobne płatki śniegu; pierwszego śniegu tej jesieni:

Oparty plecami o ścianę jakiejś stajni czy obory pełniłem wartę, podczas gdy koledzy wypoczywali w niedalekim budynku mleczarni w pachnącym mlekiem ponieszczeniu z wirówką w rogu i konwiami ustawionymi na kamiennej posadzce.

Na wartę zgłosiłem się na ochotnika, bo chciałem w samotności przemyśleć to, co zdarzyło się dzisiejszego poranka. Zdarzenie z przed kilku godzin nie dawało mi spokoju i wyprawiało w pomury nastrój. Gnębiło mnie nawet nie to, że zabiłem, bo zdarzało mi się już strzelać do przeciwnika, lecz okoliczności śmierci tych trzech ludzi. Wierzyła mnie nasza przewrotność i ta podstępna gra, którą prowadziliśmy tam w tej izbie, pijąc i jedząc razem z naszymi przyszłymi ofiarami, starając się naszym z pozoru bez troskim zachowaniem uspić ich czujność. Mogłem szukać usprawiedliwienia, że okoliczności narzuciły nam tę grę, a temu, że odegrałem przekonująco swą rolę zawdzięczam życie, bo tam w sieni, gdy zawiódł mój automat, Komandir jednym strzałem z pistoletu mógł wyprawić mnie na tamten świat i miał duże szanse ucieczki. Dlaczego wtedy zaważał się? Czy był zaskoczony biegiem wypadków, czy nie chciał opuścić swego kompana, czy wreszcie był pod wpływem alkoholu, który stępił jego podejrzliwość? Tego już nie dowiem się nigdy.

Ciągle przed mną oczyma odżywał ten sam obraz - kark bandyty z nagle pojawiającymi się na białej skórze dwoma punktami - śladami kul z mego automatu i ten powolny ruch zsuwającego się ciała. Zaskakiwała ta łatwość zadawania śmierci, a to w jakiś sposób pozbawiało grezy odbieranie życia człowiekowi. Zrozumiełem, dlaczego wszyscy oprawcy tak uśmiercają swoje ofiary. A więc jaka jest różnica pomiędzy nimi i mną? Motywy działania? Przeszłość ofiary? Słuszność sprawy? Nie umiałem na to zna-

leżę przekonującej odpowiedzi.

Snieg sypał coraz gęściej; oblepiał gałęzie, kładł się białymi smugami na zacranych zagenach; zacierał kontury drzew.

Czy to wszystko, co miało miejsce dziś rano, musiało się zdarzyć? Jeszcze dzień temu nie wiedzieliśmy o istnieniu tych trzech. Jakie fatum zdecydowało, że nasze drogi przecięły się w tej samotnej kolonii? Nic nas wcześniej nie łączyło, a sprawą przypadku było, że pojawiliśmy się w tej okolicy właśnie teraz i Tońko podjął się likwidacji bandy, a oni tego ranka wrócili do swej meliny, choć równie dobrze mogli spędzić dzień w innej chacie. Czy to był wyrok Opatrzności, która karała ich za występki, podczas gdy gorzkie zbrednie pozostawały bezkarne? To byłoby zbyt proste i myśląc o tym umacniałem się w przekonaniu, że wszystko jest dziełem przypadku i próżno szukać jakiegoś sensu w biegu zdarzeń, który jednym pozwala wyjść cało z niebezpieczeństwa, a innym odbiera życie. Naprawdę ważne jest tylko to, że jeszcze raz los był dla mnie łaskawy. Jak długo jeszcze?

Nadciągający zmrok, cisze i gęste sypiący śnieg odgradzały mnie od całego świata - samotnego ze swymi myślami i wątpliwościami.

© ARCHIWUM WARSZONIE

Warszawa, wrzesień 1989

II/1268/2kw

A. Dobrowolski

Nie miałem już nic do roboty - należało tylko czekać zmroku. . . .
Wszystko było związane na ostatni guzik, akcja omówiona z chłopcami,
role rozdzielone, rozkazy wydane. A jednak nie mogłem pozbyć się nie-
pokoju, że coś przeoczyłem, o czymś zapomniałem. Podniecenie i nie-
uchwytny cień niepokoju nie pozwalał mi beczynn timer usiedzieć na jed-
nym miejscu. Z zazdrością spoglądałem na śpiącego Zygmunta rozwalone-
go w butach na łóżku lekko poświsującego przez nos. Korzystał z na-
darzającej się chwili i odsypiał wczorajszą noc. Noc nieudanego na-
tarcia na Worniany, przeproszonej okazji, w której Brygada po-
kładała wielkie nadzieje.

Przypomniałem sobie swą złość, kiedy dwa dni temu "Dziewic" wyzna-
czył mój III pluton do osłony naszych taborów, co znaczyło, że nie
weźniemy udziału w tej akcji; po przeprowadzeniu wozów na nowe miejs-
ce postoju mieliśmy czekać na nadejście reszty oddziału; oddziału,
który będzie miał na swym koncie nowe osiągnięcie bojowe bez udziału
mojego plutonu. Tkwieliśmy więc w tej wioseczce oczekując na Brygadę
i zupełnie przypadkowo rozmawiając z gospodarzami dowiedziałem się
o Niemcach w Jazówce.

Sprawa wyglądała interesująco, więc wysłałem patrol pod dowództ-
wem "Janka" w cywilnych ubraniach na przeprowadzenie rozeznania.
Po powrocie "Janek" zdał mi relację z położenia i wtedy zadecydowa-
łem, że poproszę majora "Konara" o pozwolenie zaatakowania Niemców
przez III pluton i opracowałem plan zdobycia obozu.

Tego ranka, gdy przybył łącznik od dowództwa Brygady, która nad-
ciągnęła nocą i zakwaterowała się w dwóch sąsiednich wsiach, przeka-
załem dowództwo plutonu "Jankowi" a sam zameldowałem się u "Konara".
i przedstawiłem mu wszystkie dane zebrane o Niemcach, prosząc o poz-
wolenie na wykonanie akcji. Ku mej radości, po omówieniu mojego pla-
nu w dowództwie Brygady, "Konar" zgodził się na tę akcję, przydzia-
jąc mi dodatkową drużynę z II plutonu Zygmunta i CKM.

Opiekę nad taborami przejął Zygmunt a ja miałem wolną rękę aż do dnia następnego, kiedy mieliśmy dołączyć do Brygady w wyznaczonej wsi. Z odprawy w dowództwie powróciłem do wsi z CKM-em i II plutonem Zygmunta, który teraz szykował się z moimi chłopcami do kolacji przed nocnym maszem na nowe m.p.

Na zwołanej odprawie dowódców drużyn i sekcji omówiliśmy cały plan działania a gotowość marszową wyznaczyłem na 20⁰⁰. Teraz już każdy wiedział, co do niego należy i byłem pewien, że mogę liczyć na tych chłopców, którzy palili się do walki. Pluton był zgrany, panował dobry nastrój, byliśmy dobrze uzbrojeni a większość żołnierzy miała już za sobą nie jedno starcie z nieprzyjacielem.

Wyczuwałem podniecenie panujące w wiosce: ruchliwość żołnierzy, zbyt głośne rozmowy, częste wybuchy śmiechu - wszystko to stwarzało tę nieuchwytną atmosferę poprzedzającą zapowiedzianą walkę, kiedy czas dłuży się niepomierne i coraz trudniej czekać bezczynnie.

Wszedłem na ganek chaty. Uderzył mnie powiew wiosennego wiatru, dziwnie ciepłego jak na tą porę roku. Z sąsiedniej chaty dolatywały urywane dźwięki bałabajki, na której ktoś nieporadnie usiłował zagrać partyzancką piosenkę. Melodia urywała się fałszywym brzękiem wciąż w tym samym miejscu, aby za chwilę zabrzmieć od nowa.

Oparty o drewnianą balustradę patrzyłem na pole pokryte wiosenną runią, której zieleń sięgająca nieodległego lasu zwolna szarzała w nadciągającym zmroku. Te same myśli uparcie kłębiły się w mojej głowie - oto mam dowodzić samodzielnie oddziałem ponad 50-ciu żołnierzy i jestem odpowiedzialny za nich i za powodzenie akcji. Czy wszystko przewidziałem? Czy niczego nie należałoby zmienić? Jeszcze raz przebiegłem w myśli znane mi fakty i istniejącą sytuację.

A więc: Oddział około 10 Niemców i 20 Ukraińców pilnujący grupę radzieckich jeńców zatrudnionych przy wyrębie lasu kwateruje w u-mocnionym gospodarstwie nad rzeczką Wilejką przy Trakcie Batorego, na wschód od Mickun. Zabudowania otacza z trzech stron wysoki

plot z drutu kolczastego a przed nim leżą splecione zasieki. Od strony szosy i z obu stron dom, w którym są Niemcy, chroniony jest dwiema ścianami wysokimi na ok. 3 metry z belek drewnianych, między którymi nasypało się ziemi. W tym drewnianym bunkrze znajduje się jedno wejście i kilka wąskich poziomych strzelnic.

W odległości ok. 40-50 m po drugiej stronie rzeki, zaraz przy moście, stoi pojedyncza chata, w której mieści się posterunek złożony z kilku Własowców i Niemców - stanowią oni ubezpieczenie od strony Mickun.

Oddział jest dobrze uzbrojony w karabiny, granaty i 2 lub 3 karabiny maszynowe.

W dzień, grupy jeńców wychodzą pod strażą do lasu na roboty, a część załogi zostaje w obozie. W nocy pomiędzy bunkrem a chatą za mostem co pewien czas chodzi patrol złożony z 2 żołnierzy, który od czasu do czasu wypuszcza rakietę oświetlającą teren.

Po przeciwnej od obozu stronie szosy leży gołe pole sięgające lasu odległego o ok. 500 m, na którym stoi obszerna szopa. Do obozu prowadzą biegnące wzdłuż szosy druty telefoniczne łączące Niemców z Michaliszkami lub Wornianami.

Analizując położenie doszedłem do wniosku, że Niemców należy zaatakować nocą wtedy, gdy są wszyscy razem, i to równocześnie po obu stronach rzeki. Natarcie od tyłu połączone z forsowaniem drutów kolczastych musiałoby nas wplątać w długotrwałą walkę, której wynik nie mógłby dla nas być korzystny. Jediną szansą powodzenia stanowiło zaskoczenie przeciwnika i szybkie wdarcie się do wnętrza umocnienia, to znaczy nagły, zdecydowany nocny atak od strony szosy, do której należało podczołgać się na tyle cicho, aby nie zaalarmować czuwającego ubezpieczenia.

Nieco łatwiejsze zadanie miała drużyna Wiktora, którą wyznaczyłem do opanowania chaty za rzeką, bo liczyłem, że może uda się wtargnąć

do jej wnętrza bez strzału, gdyby przed chatą nie było wartownika.

Pozostałe trzy drużyny mojego plutonu miały atakować równocześnie bunkier i liczyłem, że ogniem i granatami przerzucanymi przez osłonę drewniano-ziemną obezwładnimy przeciwnika i wdrzemy się poza umocnienia.

Zdecydowałem, aby CKM umieścić pod lasem na skraju szosy wiodącej do Michaliszek w odległości ok. 150 m od obozu, celem ubezpieczenia nas przed ewentualną odsieczą i wspierania bocznym ogniem równoległym do szosy, gdyby natarcie przedłużało się i nie udało się pierwszym rzutem zbliżyć się do umocnienia.

Ustaliłem rozpoczęcie natarcia o godz. 22¹⁵, a bezpośrednim sygnałem ataku dla wszystkich miał być pierwszy wystrzał oddany czy to przez mój pluton, czy też drużynę Wiktora. Miał on być też sygnałem przecięcia drutów telefonicznych przez patrol zaopatrzony w nożyce i szupokazy.

Swoje miejsce widziałem przy II drużynie, na wprost wejścia do bunkra, a mój zastępca "Janek" miał trzymać się na prawo przy drużynie III. Tam też miał działać "Fryc" - dezertier niemiecki, który schronił się w naszej brygadzie, a którego "Konar" przydzielił do nas na czas tej akcji, jako ewentualną pomoc w porozumiewaniu się z rozbrajanymi Niemcami.

W razie niepowodzenia akcji mieliśmy gromadzić się w lesie przy stanowisku naszego CKM-u, a miejscem zbiórki dla zagubionych miała być wioska, do której powinniśmy wycofać się po walce.

A co będzie z rannymi? - błądza mi myśl - a jeżeli będą zabici i nie zdobędziemy obozu? Wiedziałem, że wtedy trzeba będzie nieść ich do najbliższej osady, brać furmanki i wieźć ich do Brygady. Choć zdawałem sobie sprawę, że straty mogą być nieuniknione, wtedy na balkonie chałupy, z której głębi dochodziły mi głosy kolegów, wydawało mi się to nie takie ważne. Może podświadomie odsuwałem od siebie tę myśl.

Uderzenie wiatru szarpnęło drzewami i przygięło wierzchołki brzoś. Spojrzałem na niebo. Z nad lasu nasuwało się zwarta masa ciemno-popielatych chmur i jedynie na zachodzie jaśniała smuga światła w wąskim pasku chłodnego błękitu.

Wzdrygnąłem się i wszedłem do chaty.

Leżałem na brzuchu na środku polnej drogi między dwiema głębokimi koleinami we wgłębieniu wydeptanym kopytami koni. Przede mną w mroku nocy ciemniały niewyraźną plamą zabudowania leżące po przeciwnej stronie szosy. Za sobą słyszałem oddech "Edwarda", a po obu bokach raczej wyczuwałem w ciemności niż widziałem naszych żołnierzy rozciągniętych w tyralierę na gołym polu równoległe do szosy. Minęło już kilka minut od chwili, gdy przed nami wytrysnęła rakietą oświetlając całą okolicę. Przypadliśmy do ziemi i tkwili nieruchomo w oczekiwaniu na serie z broni maszynowej, ale wokół panowała cisza wypełniona jedynie poszumem wiatru w lesie za naszymi plecami. Pełne napięcia oczekiwanie z wolna zmieniało się w przeświadczenie, że nas nie dostrzegli. Spojrzałem na fosforyzujące wskazówki zegarka. Do wyznaczonej godziny natarcia pozostało niewiele czasu. Trzeba było posuwać się do przodu.

Cicho powiedziałem:

- Naprzód, podać po linii - i zacząłem czołgać się starając się sprawić jaknajmniej hałasu. Po chwili zatrzymałem się, aby sprawdzić czy chłopcy wykonują mój rozkaz. Z ciemności dochodziły szurania i szmery, czasem lekki dźwięk uderzenia bronią o kamień - tyraliera posuwała się naprzód.

Od ziemi ciągnęło wilgotnym chłodem lecz mnie było gorąco - demarwowałem się, choć zupełnie nie czułem strachu. Zawadzając kaburę z pistoletem przesunąłem z brzucha na plecy, granat zaczepiony o pas na prawe biodro i wsparty na łokciach i kołanach czołgałem się sta-

rajac się uchronić automat od zetknięcia z ziemią.

Ciemna bryła bunkra była coraz bliżej. Co parę chwil zamierałem nieruchomo nadsłuchując. Przede mną z lewa miarowo łomotała w podmuchach wiatru jakaś oderwana blacha a z pobliskiej szopy dochodziły jakgdyby miękkie uderzenia kopyt o ziemię. Pewnie stały tam konie.

Byłem już blisko szosy, gdy wydało mi się, że słyszę ludzkie głosy. Znieruchomiałem. Wiatr przynosił strzępy cichej rozmowy. Ktoś się roześmiał, posłyszałem kilka głośniejszych słów po niemiecku, a potem wyraźny odgłos kroków po żwirze. Rozpłaszczony na ziemi słuchałem w napięciu, lecz przede mną była cisza i tylko blacha uderzała monotonnie gdy wiatr się nasilał.

Za szosą, od której dzieliło mnie nie więcej niż 10 metrów, rozciągał się bunkier. Już mogłem rozróżnić za jaśniejszą smugą drogi na tle ciemnej ściany czarny prostokąt drzwi i poziome szczeliny strzelnic.

Serce biło mi gwałtownie. Udało się nam dostać tak blisko. Zaraz się zacznie. Wskazówka zegarka zbliżała się do 15 min po 22-giej. Czy Wiktor jest już pod taką chatą poza rzeką? Postanowiłem czekać jeszcze trzy minuty a potem atakuję pierwszy.

Obejrzałem się. Tuż za mną rozciągnięta na ziemi jaśniejsza plama - to "Edward" a za mną majaczyła sylwetka przykucniętego żołnierza. Czemu się nie położy - przeleciało mi po głowie - mogą go spostrzec!

I wtedy z lewa przez szum wiatru doleciało głucho stuknięcie a po ułamku sekundy przytłumiona seria z automatu.

- Naprzód! Hurra! - wrzasnąłem i w paru skokach już byłem na szosie prążąc z automatu. Błyski mojej serii oślepiły mnie na chwilę, ale biegłem ku ciemniejszej plamie wejścia do bunkra.

Nagle poczułem tępe uderzenie w udo i znalazłem się na ziemi.

Próbowałem się podnieść i nie mogłem - nie czułem mojej prawej nogi. Zewsząd klaskały strzały, grzechotały serie a ja leżałem pod ścianą bunkra krzycząc: Hurra, naprzód, hurra.

Trafili mnie-pomyślałem po chwili- jestem ranny. Ale mnie nic nie boli.

Furkocząc gdzieś nad moją głową wyleciała rakietą, jedna a za nią druga. Zrobiło się jasno jak w dzień. Przede mną zobaczyłem zrab zazębiających się bierwion i ławkę wzdłuż ściany. Leżałem przy samym wejściu do bunkra przytulony lewym ramieniem do belek. Rakiety wolno spływały z góry, a nade mną nieco z tyłu bił długimi seriami karabin maszynowy. Po drugiej stronie szosy błyskały wystrzały i niósł się krzyk "Hurra" lecz nie widziałem ludzi. Łupnął granat, a w huku strzałów co chwila wylatywały z szumem coraz to nowe rakiety.

-Granat. Wrzucić granat do bunkra! -

Z pod brzucha wygrzebałem granat, chwilę ^znocowałem się z zawleczką a potem lekkim ruchem bez zamachu i wysiłku wrzuciłem grubo karbowane jajko w otwór drzwi.

Głucho łupnęło za ścianą a z drzwi bunkra wytrysnął kłęb kurzu. Zakrztusiłem się piaskiem i poczułem pieczenie pod powiekami.

Potem macałem prawą dłońią moje udo, lecz nie czułem nic. Uniosłem głowę i spojrzałem do tyłu. W świetle rakiet widziałem moją nogę ze stopą nienaturalnie wykręconą w bok, lecz nie mogłem się ruszyć. Poprostu nie czułem nogi, jak gdyby wogóle jej nie było.

Leżałem tak w tej strzelaninie usiłując od czasu do czasu krzykami i rozkazami poderwać chłopców do ataku, ale, co dziś wydaje mi się dziwne; nie czułem strachu o siebie lecz jedynie bałem się, że nie zdobędziemy obozu. Gdy zbyt blisko wybuchały granaty, osłaniałem głowę prawym ramieniem; nos i gardło miałem pełne suchego piasku i gryzącego dymu.

Kiedy w pewnej chwili uniosłem głowę, zobaczyłem tuż przy mej twarzy ostrą mordkę i dwoje oczu, w których odbijało się światło ra-

kiety. O pół kroku przede mną tkwił brązowy jaszczur i przyglądał mi się z zainteresowaniem. Wydało mi się, że chce mnie obwąchać, lecz po chwili piesek odwrócił się i znikł w wejściu do bunkra.

Rakiety wylatywały ku górze lecz strzelanina jak gdyby zemdlała, były krótkie chwile ciszy. Przestraszyłem się, że nasz atak załamiał się w ogniu Niemców i chłopcy wycofują się, a ja zostanę tu sam.

Krzyknąłem, aby CKM otworzył ogień, ale żeby bił górą i uparcie wołałem: Naprzód! Skokami naprzód! Granatami walcie! - ale nie widziałem nikogo przebiegającego przez szosę, choć ogień znów nasilił się i wytuchło kilka granatów. Nie mogłem się ruszyć i gorączkowo myślałem, co zrobić, jak poderwać pluton do ataku.

Huczało mi w głowie i dźwięki dochodziły jak przez gęstą watę, ale zdawałem sobie sprawę z tego co dzieje się wokół.

I wtedy nagle /skąd to mi się wzięło?/ zacząłem śpiewać naszą partyzancką pieśń:

- Na znojną walkę krwawy bój z wrogami

Każdego z nas sumienia wezwał głos - wykrzykiwałem słowa przez zaschnięte gardło -

- Przebojem iść a los iść musi z nami

A jeśli nie to przekłaniamy los! - chrzypiałem coraz ciszej, dławiąc się kurzem.

Potem wszystko zaczęło się gmatwać, wybuchy granatów huczały jakoś przeciągle i głucho, a z oddali leciały ku mnie całe roje świecących punkcików - hukiem w pierw ku górze w potem w dół wprost na mnie.

Zrozumiałem, że to strzela ^eświltlnymi pociskami nasz CKM.

- Wyżej, - krzyknąłem - nie tak nisko-!

Nie wiedziałem co się stało z moim automatem - macałem wokół ręką, lecz nie mogłem go znaleźć - może leżałem na nim a może był gdzieś pod moimi nogami?

Potem mocowałem się z zapięciem kabury zsuniętej na plecy a gdy

w końcu wyciągnęłam pistolet, odbezpieczyłam go, odciągnęłam kurek i uspokoiłam się, że mogę się bronić i nie dam się wziąć żywcem.

-W ostateczności, gdybym został tu sam, byłam gotów strzelić sobie w łeb i ta myśl nie wydała mi się straszna, tak jak gdyby zostało to zdecydowane poza mną i nie zależało od mojej woli. Wszystko stało się jakiegoś odległe i obojętne. Tylko myśl: Czemu nie nacierają? Jak ich poderwać do przodu? - tłukła się w mej głowie.

Wydało mi się, że już nie słyszę karabinu maszynowego strzelającego nad moją głową, chwile cisłości były coraz dłuższe, potem jakaś rakietą syczała i kręciła się po ziemi przyskajac wokół iskrami, rozlegały się bliskie okrzyki /ktoś krzychał po niemiecku/, a potem usłyszałam słowa: - Kruk tu leży.-

Ktoś przykucnął przy mnie, zaświeciła latarka i doszły mnie słowa: On został w głowę-. Przy mnie byli moi żołnierze.

- Skacze do środka! Granatami walcie, granatami!- krzychałam, bo chociaż jeszcze strzały i walka nie była skończona.

Coraz więcej ludzi było wokół mnie, zewsząd rozlegały się krzyki, ktoś złapał mnie za ramię i usiłował obrócić na wznak ...

Straszny,, ostry ból targnął mój udeł. Wrzasnąłam:

- Moga! Dłabajcie, to boli! -

- Cholera! On dostał jeszcze w nogę - powiedział ktoś - Powoli, powoli.-

Pole bólu przygłuszyły wszystko. Nieśli mnie gdzieś dźwigając pod ramię i unosząc nogi ku górze. Biodra zwiślały mi ku ziemi, a każdy krok niosących przeszywał mnie nowym spazmem..

-Dupę wytaf!- wrzasnąłam - Dupę!-

Potem leżałam na ziemi, a stożek światła tkwił nad moim brzuchem. Uniosłam głowę. Z rozpiętych spodni wylaniały się skrwawiony brzuch i uda, e nad nimi wolno, w chłodnym powietrzu, zwijały się kłótki strażki pary. Coś brzękło mi w głowie i poleciałam nogami ku górze na gigantycznej huśtawce. Zemdlałam.

Prawa noga pulsowała tępym bólem, a w uszach brzęczał rój owadów. Z trudem usiłowałem przełknąć ślinę - drapało mnie w gardło. Otworzyłem oczy. W ciemności rysowały się nade mną czarne sylwetki i czułem, że coś robią z moją głową.

Jestem ranny - pomyślałem i zaraz przypomniałem sobie wszystko - Ale dlaczego bandażują mi głowę? Przecież dostałem w ^{nogę.} ~~głowę.~~

- Dlaczego bandażujecie głowę? - zapytałem.

- Bo ciągle krew cieknie - powiedział ktoś - ale proszę się nie bać, to nie groźnego. A potem dodał do kogoś: - Już przytomnieja.-

Czyjeś ręce trzymały sztywno moją głowę i czułem ciasny tamtał na szyi.

-A co z bunkrem? Co z Niemcami? -

- A co ma być? - ktoś rozszalał się w ciemności - Wągliśmy. Dostali zarówno po dupie.

- A nasze straty? Czy ktoś zabity?.

- Nie, wszyscy żywi, ale mamy rannych; "Janek" dostał, "Ognik" i "Edward" postrzeleni, ale nie ciężko. Pan najgorzej oberwał, ale teraz to już będzie dobrze.-

- "Gawęda" poparzony rakietą - to był inny głos - dostał w piersi i głowę ma popaloną.

- Ale za to kilku Niemców już stygnie a i rannych też kilku. Mamy 2 erkaesy, granaty, karabiny, amunicję, a teraz chłopcy zaprzęgają konie, zaraz was położymy na wozie.-

- Znowu będą mnie przenosić - przestraszyłem się bólu.

-A gdzie mój automat? Gdzie spłuwat? -

-Wszystko jest tutaj. Proszę być spokojną.-

Ktoś nowy pochylił się nade mną.

-Jak się czujesz? - poznałem głos "Wiktora" - Już dobrze? Jak noga? A u mnie "Ognik" ma rozharataną rękę. Zaraz was odwieziemy.-

-Słuchaj "Wiktor" - powiedziałem - Obejmij dowództwo, bo "Ja-

nek" też ranny. Zbierzcie broń i pilnuj porządku...-

- O nic się nie martw, już wszystko się robi...

Nagle zrobiło się jakieś zamieszanie -

- Samochody nadjeżdżają! - ktoś krzyknął - Prędzej rebiata! Światła widać . -

Uniosłem głowę. Z lewa nad ciemnym grzebieniem lasu niebo rozświetlało się i przygaszało, jak gdyby omiatane reflektorami samochodów.

Z turkotem podjechała fura. Zagryzłem wargi, lecz nie mogłem powstrzymać się od pojękiwania gdy układano mnie na słomie.

Obok podtrzymywani przez kolegów wsiadali do wozów inni ranni i żądowano zdobycz.

Podali rozkazy i ludzie przebiegali wzdłuż szosy. Byłem plecami odwrócony do nadjeżdżających samochodów, lecz nie mogłem dosłyszeć szumu silników. To chyba dlatego, że tak mi ciągle brzęczy w głowie - pomyślałem - ale tam jest nasz CKM, a on milczy. Dlaczego?

Po kilku minutach wszystko się wyjaśniło. To był fałszywy alarm. Za światła samochodów wzięto odbłask pożaru. W lesie przy szosie paliła się jakaś stodoła, czy stóg siana zapalony zypewne zabłąkanym pociskiem światlnym. W słabym odbłasku odległego ognia nasze wozy wtoczyły się na most, głucho dudniący podkopytami koni a potem skręciły w dół na miękką piaszczystą polną drogę.

Nad ranem wozy z rannymi dotarły do wyznaczonej wsi. ~~Kierownik~~ Patrol wysłany jeszcze nocą powiadomił dowódcę Brygady o wyniku starcia, tak, że prawie równocześnie znami zjawił się we wsi "Dechamps" - student medycyny, pełniący rolę naszego lekarza. Kolejno brał nas w obroty, tak, że wkrótce wszyscy byliśmy opatrzeni, obandażowani i gotowi do przewiezienia na meliny. "Janek" i "Ognik" mieli paskudne rany postrzałowe rąk połączone ze złamaniem kości /"Janek" był ranny po raz drugi w to samo ramię/, "Edward" był niegroźnie ranny w rękę, a rany "Gawędy" "Lwa" i "Zielonego" były na tyle lekkie, że mogli pozostać w Brygadzie.

Ja także miałem szczęście. Kula, która mnie dosięgła trafiła mnie

w udo tuż poniżej pachwiny, ominęła tętnicę i główny nerw i straszkawszy kość utkwiała gdzieś w mięśniach. Opatrunek i unieruchomienie nogi był bolesny i odetchnęłam z ulgą, gdy w końcu przeniesiono mnie ze stołu, na którym "Dechsamps" obrabiał mnie, na łóżko i uświadomiłam sobie, że już najgorsze mam za sobą. Szkoda mi było jedynie nowych butów, które wyfasowałam przed tygodniem, bo trzeba było przeciąć cholewę aby but ściągnąć z mojej nogi. Rany na głowie i szyi okazały się lekkimi draśnięciami przez odłamki granatu, choć i tu mogłam mówić o szczęściu, bo jeden z nich utkwiał w kości oczodołu tuż nad moim prawym okiem. Te draśnięcia spowodowały dość obfite krwawienie, a bliskie wybuchy granatów przytępiły na pewien czas mój słuch.

Leżeliśmy z "Jankiem", który stracił wiele krwi i był bardzo osłabiony w jednej izbie, przez którą przewijał się rój odwiedzających nas żołnierzy. Przychodzili aby dowiedzieć się jak się czujemy, podzielić się swoimi przeżyciami ostatniej nocy i pochwalić zdobyczą. Jak zawsze po bitwie, gdy minęło podniesienie i poczucie zagrożenia wyzwalala się w tych młodych żołnierzach przemożna chęć mówienia o walce, o swoim w niej udziale i swoich doznaniach. Odprężenie po psychicznym napięciu objawiało się wzmożoną aktywnością i niekiedy wisielczym humorem. Wybuchaly spory o szczegóły, te same fakty podawane przez poszczególne osoby już nieco różniły się pomiędzy sobą. Tworzyła się złołna legenda zdarzeń, która w miarę upływu czasu coraz bardziej będzie odrywała się od rzeczywistości i nabierała indywidualnego zabarwienia.

Wygodnie wyciągnięty na łóżku nie odczuwałam silnego bólu i z przyjemnością słuchałam tych relacji, które pozwalały mi odtworzyć bieg zdarzeń od chwili mego zranienia. Rosło poczucie jedności i braterstwa z tymi młodymi chłopcami, scementowanie wspólnie przeżytym niebezpieczeństwem i odniesionym zwycięstwem.

Dowiedziałam się wtedy, jak padły pierwsze strzały na naszym lewym skrzydle, które poderwały nas do ataku. Drużynie "Wiktor"'

udało się skrycie podejść do samej chaty, przed którą nie było wartownika. Gdy wtargnęli do izby z okrzykiem: "Hände hoch!" - zerwali się z za stołu żołnierze w mundurach feldgrau, a jeden z nich złapał pistolet i zdążył wystrzelić raniąc "Ognika". Seria "Wiktora" powaliła go, a reszta posłusznie podniosła ręce - byli to wszystko Własowcy a jedynym Niemcem okazał się podoficer, zastrzelony przez "Wiktora". Tu więc poszło łatwo.

Przebieg walki po prawej stronie rzeczki najlepiej oddadzą dwie relacje, które dotarły do mnie w wiele lat po wojnie.

Są to list Zbigniewa Roguskiego ps. "Grzmot", żołnierza VII drużyny III plutonu oraz raport niemiecki o przebiegu starcia w Osiennikach III tak bowiem Niemcy nazwali atakowany przez nas obóz leżący w pobliżu wsi Osienniki.

1. List Zbigniewa "Roguskiego ps. "Grzmot"

..... Zacznę od chwili, gdy leżałeś głową przy wejściu do atakowanego przez nas obiektu, byłeś ranny, z pewnością zszokowany i nie wiem czy dokładnie pamiętasz każde słowo. Ja natomiast będąc w Kałudze w czasie długich nocy miałem możliwość rozpamiętywania wszystkich szczegółów naszych przeżyć. W chwili, gdy podszedłem do Ciebie mówiąc:

- "Zrobię Panu opatrunka " - gdyż głowę miałeś we krwi - odpowiedziałeś -

- Grzmocik, nie trzeba, głowa to nic, dostałem w nogę i nie mogę się ruszyć. Grzmocik, skacz do środka, skacz do środka! -

Nie byłem na to psychicznie przygotowany, owszem, iść równo ze wszystkimi to co innego.

Odpowiedziałem: - Tak jest, zaraz -. Byłem trochę otumaniony, ale pomyślałem, że muszę się przygotować. Wziąłem latarkę od rannego, który leżał pod ławką po drugiej stronie wejścia x/ i granat od kogoś/?/.

"Kniaź" też się przygotował. Wszedłem za obwarowanie, z lewa, z prawa nie ma Niemców przed nami, parę schodków, drzwi zamknięte obok okno.

x/ kpr. "Janek" - Jan Chroź

Mówię do "Kniazia": - Rzucić granat przez okno, ja wskoczę, ty mnie ubezpieczaj.-

Gdy wskoczyłem do środka, odskoczyłem w bok i zaświecełem latarkę. Na wprost drzwi leżało dwóch Niemców, jeden miał rozerwany brzuch, drugi miał urwaną nogę na wysokości kolana. Ten z tą nogą w momencie gdy zaświecełem latarkę składał się karabinkiem do strzału. Wyrwałem mu ten karabinek. "Kniaź" przeskoczył ramy Niemców. Drugie pomieszczenie. "Kniaź" mówi: teraz ty ubezpieczaj, ja skaczę.- Pchnął nogą drzwi, zaświeceł latarkę, nikogo niema. Ja zawróciłem do wyjścia, a "Kniaź" woła: - Niemiec pod łóżkiem! Wziąłem Niemca na muszkę, a "Kniaź" go wyciągnął. To był Ukrai-
niec.

Na drugi dzień, gdy odwiedziłem Ciebie i innych rannych/nie wiem czy pamiętasz?/ powiedziałaś:

- Dziękuję Ci "Grzmociku", udzielam Ci pochwały.-

Nie wyobrażasz sobie jaki byłem dumny, jak urosłem od tej pochwały.

2. Tłumaczenie raportu niemieckiego:

Do

Naczelnego Dowództwa Wojskowej Grupy "Mitte"

dot. napadu bandy na punkt wyrębu lasu Dulag 130 /meldunek dzienny z 26.IV.44. nr 42/ rozmowa telefoniczna por.von Koelle i Oberleutn. Roth l.V.1944, zał. 1.

Dulag 130 wysłał do Osienniki III położonych ok.21km ONO od Wilna Komando do wyrębulasu w sile: 1 feldfebel, 1 unteroffizier 9 żołnierzy i 22 hiwis z 32 jeńcami. Komando było uzbrojone w 3 lekkie karabiny maszynowe, 31 karabinów, 5400 amunicji, 45 granatów ręcznych i rakiетnicę z amunicją.

Rozmieszczenie Komando jest pokazane na załączonym szkicu jak również zabezpieczenie przy pomocy palisady.

W głównych pomieszczeniach znajdowali się 1 feldfebel, 3 żołnierzy, 16 hiwisów i jeńcy. Uzbrojeni byli w 3 karabiny maszynowe, 23 karabiny, 41 granatów jak również 1 raketnicę.

W pobliskiej kwaterze / ok. 50 m dalej / było: 1 Unteroffizier, 1 żołnierz i 6 hiwisów z 8 karabinami i 4 granatami.

Ubezpieczenie nocne składało się z jednego podwójnego patrolu, który chodził wzdłuż drogi od bunkra nr 1 do bocznej kwatery i drugiego patrolu podwójnego, który chodził ^{ze} strony SO od bunkra nr 1 do bunkra nr 2.

Około 23,15 patrol chodzący po drodze zanotował podejrzane odgłosy, nie mógł jednak pomimo wystrzelenia rakiety świetlnej nic ustalić. Dopiero gdy z kierunku stajni słychać było obce głosy, patrol zaalarmował obóz strzelając i krzycząc: "napad!"

Załoga głównego obozu zajęła natychmiast pozycje obronne. Jednocześnie bandyci otworzyli skoncentrowany ogień z karabinów maszynowych, MP i karabinów na główny obóz, szczególnie na wejścia Nr 1 i 2, z których wybiegała załoga. Bandyci zdołali otoczyć obóz ze wszystkich stron pod osłoną ciemności i silnego wiatru i dotarli bezpośrednio do palisady.

Załoga głównego obozu broniła się ze wszystkich sił; jeden lekki karabin maszynowy zaraz na początku walki wypadł z akcji wskutek ciężkiego poranienia załogi-obslugi. Drugi karabin maszynowy został uszkodzony przez granat mgielny i był nie do użycia. Strzelec został ranny. Trzeci karabin maszynowy po krótkim ogniu uległ zacięciu nie do usunięcia, ponieważ bandyci w międzyczasie doszli do samej palisady i rzucali ręczne granaty.

Po wyeliminowaniu z walki feldfebela, 4 żołnierzy i 4 hiwisów bandyci dostali się przez palisadę i resztę załogi unieszkodliwili częściowo w walce wręcz.

Potem dostali się do pomieszczenia obozu, zniszczyli je i po obrabowaniu rannych i pokonanych razem z 3 karabinami maszynowymi, 6 karabinami i pozostałą amunicją wycofali się.

W między czasie inna część bandytów wzięła 6 koni ze stajni i zaprzęga je do 3 wozów, na które załadowane 2 trupy i 10 rannych bandytów.

Jednocześnie z napadem na główny obóz inna grupa bandytów otoczyła przyległe pomieszczenia i napadła nań.

Załoga przyległego pomieszczenia pod dowództwem podoficera chciała po uzyskaniu strażaków z obozu głównego spęczyć na pomoc, została jednak przy wyjściu z domu zatrzymana przez ogień z karabinów maszynowych i przygwożdżona ogniem do ziemi. Podoficer zginął natychmiast.

Pod osłoną ognia własnych karabinów maszynowych bandyci pokonali niemieckich żołnierzy i 6 hiwisów, obrabowali ich i po zabraniu 6 karabinów i 4 granatów przyłączyli się do pozostałej grupy bandytów. Cała walka trwała ok. 1 godziny. Łączna siła bandytów wynosiła ok. 200 ludzi.

Dowodził Niemiec /?/ o dialekcie saksońskim, który ani słowa po polsku nie rozumiał. Wożono na niego Fritz -nosił mundur niemiecki z dystynkcjami obergefreitira. Podczas ognia skierowanego z obozu do bandytów wołał on: "Strzelacie do własnych kolegów".

Łącznie zużyto 41 granatów, 1600 naboju broni piechoty, 40 rakiet świetlnych.

Straty nieprzyjaciela: 2 zabitych, 10 rannych. Straty własne: 3 zabitych i 9 rannych /między nimi 4 hiwisów i 2 jeńców/.

Strata w broni: 3 karabiny maszynowe i 14 karabinów.

Oprócz tego bandyci zabrali 6 koni i 3 wozy.

Ustalony stan faktyczny wykazuje, że potrzebne środki bezpieczeństwa nie zostały zachowane. Rozdział zakwaterowania załogi niezbyt silnego Komando był niecelowy i oznaczał rozbięcie już niewielkiej siły bojowej.

Trzeba stwierdzić, że cała załoga w krótkim czasie znalazła się na swoich posterunkach alarmowych i biła się dzielnie.

Pokonanie ostateczne załogi było skutkiem przede wszystkim nie-

dostatecznego wyszkolenia bojowego i małego doświadczenia takich Komando.

Do przeprowadzenia przewodu sądu wojskowego nie ma żadnego uzasadnienia.

W zastępstwie Naczelnego Dowódcy Wehrmachtu

Szef Sztabu Generalnego

/-/ Podpis nieczytelny

Jeszcze na tej kwaterze w oparciu o relacje chłopców i własne spostrzeżenia napisałem dla "Konsra" krótki meldunek z przebiegu akcji; wymieniałem w nim tych żołnierzy, których działania przyczyniły się szczególnie do naszego powodzenia. Na tym kończyła się moja rola jako dowódcy; teraz mogłem przestoczyć się z żołnierza w rannego, o którego los będą troszczyć się inni.

O zaroku ruszyły w drogę wozy wiozące rannych, eskortowane przez kilku uzbrojonych partyzantów. Jechaliśmy w kierunku Miednik, gdzie uprzednio przygotowane były meliny gotowe przyjąć rannych.

Każdy z nas zachował swą broń krótką, która nie mogła się na wiele przydać w przypadku spotkania z Niemcami lub Litwinami, ale podnosiła nas na duchu, bowiem dla starego partyzanta myśl, że jest bezbronny była trudna do zniesienia.

Jechaliśmy bocznymi wiejskimi drogami, czasami po wertepach wywołujących jęki rannych, gdy wozy podskakiwały na wbojach i korzeniach z takim wyliczeniem, aby przed świtem znaleźć się u celu i schronić w chatkach nie budząc niczyjej ciekawości. Jeszcze było ciemno, gdy obolali i wymęczeni przebytą drogą znaleźliśmy się z "Ognikiem" na podwórzu samotnego gospodarstwa, podczas gdy wozy wiozące "Janka" i "Edwarda" pojechały dalej, aby wylądować ich gdzieś w okolicy. Folwarczek, w którym wylądowaliśmy, nazywał się Borówka lub Malinówka /jakaś

nazwa związana z jagodami/, lecz nazwiska naszych gospodarzy, wstyd o tym mówić, nie pamiętam. Wypadło mi ono z pamięci mimo, że czułem i żywię nadal do nich uczucie głębokiej wdzięczności i szacunku za postawę, którą wykazała cała rodzina w tych trudnych dla nas chwilach. Przyjmując pod swój dach dwóch rannych, do tego uzbrojonych, byli z góry skazani na najgorsze w przypadku wykrycia tam naszej obecności. Cała rodzina składająca się z gospodarza i jego żony oraz dwóch córek nie mogła liczyć na żadną pobłażliwość ze strony Niemców i ryzykowali wszystkim bez żadnej szansy obrony. Ci ludzie gotowi nieść nam pomoc dawali świadectwo patriotyzmu i odwagi, jak wiele innych polskich rodzin, nie spodziewając się za to żadnej nagrody.

Nasze niespodziewane przybycie zrazu wywołało wiele zamieszania i biegania, ale po krótkim czasie znaleźliśmy się w łózkach, w małym pokoiku, którego drzwi w razie potrzeby mogły być zasłonięte przesuwaną szafą. Gdy układano nas w pościeli, światło naftowej lampy rzucało wielkie cienie na ściany izdebki. Szepty, ściśnione rozmowy, zasferowane twarze osób nagle zerwanych ze snu, gorączkowa krzątanina, wszystko to spleta się w mym wspomnieniu w nawpók zatarty obrez, jak gdyby w pogranicza snu i jawy.

"Ognikowi" dokuczyła ręka postrzelona tuż nad łokciem; kręcił się w łóżku, siałek, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji, postękiwał.

Mnie ułożono^o na wznak z poduszką pod kolanami. Moja noga unieruchomiona pomiędzy dwoma deseczkami i ciasno obandażowana przestała boleć. Było mi wygodnie w pościeli pachnącej czystą bielizną; w ciszy, która przed świtem zapanowała w domu, wolno zapadałem w sen przekonany, że oto znalazłem spokojną i bezpieczną przystań.

W pokoiku tym spędziłem cały maj i kilka dni czerwca przez cały ten czas pozostając pod troskliwą opieką tych gospodarzy, a zwłaszcza panny Janki, starszej z dwóch siostr.

Ustępowała urodą swej młodszej siostrze Jadzi, postawnej około 18-to letniej dziewczynie o ładnych błękitnych oczach i rumianej cerze, ale przejawiała w stosunku do nas tyle życzliwości i troski o wszystkie nasze potrzeby, że budziła w nas obu uczucie głęboką wdzięczności i serdecznej przyjaźni. Poświęcała nam wiele czasu, zapewne kosztem swych codziennych gospodarskich obowiązków i głównie na nią spadały te nie zawsze najprzyjemniejsze czynności przy rannych. Pomagała nam przy codziennej tualecie, sprzętała pokój i wyносиła szalik i miskę, które spełniały rolę nocnika i basenu. Początkowo krępowało nas to bardzo, ale nie było innego wyjścia, a Janka nigdy nie dała nam odczuć, że może to być jej nie miłe.

Umięjętnie zmieniała opatrunek "Ognikowi", którego rana nie goiła się dobrze i zaczęła ropieć. Na szczęście doktor, który złożył nam wizytę w kilka dni po naszym przybyciu, pozostawił materiały opatrunkowe i nauczył obie dziewczyny, jak należy pielęgnować rannych.

W czasie mojego pierwszego opatrunku, gdy doktor rozwinał bandaż, coś spadło na podłogę. Okazało się, że był to pocisk, który zapewne w skutek ruchów nogi niedokładnie unieruchomionej przebił skórę na zewnętrznej stronie uda i tkwił pomiędzy bandażami. Była to kula kalibru 9mm, spłaszczona i lekko wygięta, co świadczyło, że mam mocne kości. Kiedy prawie w dwa miesiące potem zrobiono mi w Wilnie prześwietlenie okazało się, że pocisk złamał i rozszczepił kość uda, a oba jej odcinki zrosły się nieprzewidzownie /zapewne wskutek tego, że nie założono mi gipsa, a noga nie była całkowicie unieruchomiona/.

W odróżnieniu od Tadka /"Ognika"/, którego rana dokuczała bardzo, i który nie mógł spać po nocach, moje rany goiły się jak u psadzego ropienia ani innych komplikacji i gdyby nie konieczność leżania wyłącznie na wznak z nieruchomą prawą nogą, cały pobyt w Malinówce można byłoby uznać za przymusowy wypoczynek. Monotonię dochodzenia do zdrowia zakłóciło jedynie kilka zdarzeń, które utkwily^W mi w pamięci.

Pierwszym z nich była moja walka z wszami², z którymi przyszło mi zmagać się wkrótce po naszym przybyciu.

Przed położeniem nas do łóżek zmieniono nam całą bieliznę, więc pozbyliśmy się wszy odzieżowych, które w oddziale stałe nas męczyły. Po paru jednak dniach zacząłem się drapać w głowę i ze zdziwieniem stwierdziłem, że mam pełno wszy we włosach, czego dotychczas uniknąłem. Zapewne zagnieździły się tam na pierwszej kwaterze po Jazówce, gdy położono nas na poduszkach gospodarzy. Nie było żadnego środka do walki z tymi stworzonkami, za wyjątkiem grzebienia, więc przez szereg dni kilka razy dziennie skrobałem swój łeb nad rozpostartą na mej pierśi gazetą, którą potem wraz z plonem tego polowania wędrowała do pieca.

Czasem te moje zabiegi obserwowała z zainteresowaniem siedząca na gazecie kaczką, a właściwie kacze piskle, które kiedyś przyniosła mi "do towarzystwa" jedna z panienek.

Tę żółtą kaczuszkę na moją prośbę dziewczyny codzień przez szereg dni przynosiły mi do łóżka na parę godzin. Zachowywała się poprawnie i widać odpowiadało jej moje towarzystwo, a mnie sprawiało przyjemność obserwowanie tego miękkiego kłębuszka z wesołymi czarnymi ślepkami, łapczywie polkującego kawałki chleba lub kartofla, albo próbującego spacerować po mnie /oczywiście po gazecie, na której często zostawiała ślady, świadczące o jej doskonałym apetycie/

Te ornitologiczne zainteresowania pomagały mi nieco do zabicia czasu, który dłużył się niepomniernie. Przeczytałem wszystkie niezbyt liczne książki, która mi przyniesiono, spałem, przekomarzałem się z dziewczynami lub prowadziłem dyskusje z moim gospodarzem, który wieczorami wpadał na pogawędkę, ale prawdziwym ratunkiem przed nudą było towarzystwo Tadka, z którym, jak tylko nieco poprawił się stan jego ramienia, gawędziliśmy całymi dniami. Początkowo rana dokuczała mu bardzo i nawet zaczął gorączkować. W czasie kolejnego opatrunku Janka wyciągnęła ~~mi~~ z niej kawałek materiału - strzęp munduru czy koszuli, który tam tkwił niezauważony.

Stan rannego polepszył się znacznie, ale doktor zdecydował, że powinien znaleźć się pod stałą opieką lekarską i po około 2 tygodniach wspólnego pobytu w Malinówce Tadek wyjechał do Wilna, eskortowany przez naszą łączniczkę Basię, przez którą korzystając z okazji przesyłałem krótki list do Matki. Zostałem sam.

Z Brygady nie docierały do mnie żadne wieści. Jak dowiedziałem się później, w początku maja przesunęła się ona na południe w okolice Ejszyszek i Radunia, aby być blisko mostu na rzece Ule koło Marcin-kańców. Wg planu "Burza", zadaniem naszej Brygady miało być zdobycie i zniszczenie na radiowy sygnał z Londynu mostu kolejowego na Ule, co miało przerwać ruch na trasie Wilno-Grodno.

Rozkaz taki nigdy nie został wydany wobec zmiany planu "Burza" na plan "Ostra Brama", a nasza Brygada, która w tamtym terenie stoczyła szereg udanych potyczek z Niemcami, nie wzięła udziału w mar-tcju na Wilno - po prostu nie zdążyła przybyć na czas na koncentrację. Ale o tym dowiedziałem się w kilka miesięcy później.

Któregoś dnia, ktoś przyniósł wiadomość o niebezpiecznej przygodzie, która spotkała "Janka" leczonego swą ranę w podobnym gospodarstwie odległym od nas o kilometr, lecz położonym blisko szosy Wilno-Oszmiana. Poprzedniego wieczoru mieszkańcy folwarczku zostali zaalarmowani zbliżaniem się niemieckiego oddziału i mieli jedynie krótką chwilę, aby gdzieś schować "Janka" i posłać jego łóżko.

W pośpiechu umieszczono go w szafie stojącej w sypialni, gdzie przykucnął pomiędzy wiszącymi ubraniami. Przybyli Niemcy oświadczyli, że będą tu nocować, a pokój, w którym był schowany "Janek", dwaj oficerowie obrali za swą sypialnię. W tej szafie, nawet nie zankniętej na klucz "Janek" spędził całą noc bez ruchu, z pist^oletem w garści gotów - w razie wykrycia go - drogo sprzedać swe życie. Zdrożeni oficerowie po kolacji szybko usnęli, a wcześniej rano pobudka postawiła ich na nogi; po śniadaniu cały oddział ruszył w dalszą drogę łęgnany przez gospodarzy z prawdziwą ulgą. Kiedy otworzono drzwi

szafy "Janek" był na w pół przytomny i musiano go stamtąd wyciągać, bo nie miał siły wyprostować zdętwiałych nóg.

Wobrażam sobie, co przeżył ten chłopak i wszyscy mieszkańcy domu - ciężka musiała być dla nich ta noc. A o ich poczuciu odpowiedzialności, odwadze i zdecydowaniu niech świadczy fakt, że nikt nie zaproponował, aby ranny zamienił miejsce pobytu. Aż do wyzdrowienia "Janek" przetrwał u tej rodziny, nadal narażonej na najęcia niemieckich żołnierzy. Przygotowano dla niego jedynie kryjówkę w spiżarni we wnętrzu wielkiej pustej beczki do kiszenia kapusty.

Któregoś popołudnia wpadła do mnie zafarowana Jadzia i spiesząc się tajemniczym szeptem powiedziała, że czeka mnie niespodzianka - bardzo miła niespodzianka. Nie zdążyłem się nad tym zastanowić, gdy wolno uchyliły się drzwi i do pokoju wsunęła się - kto? Moja Matka!

Zbliżała się do mnie z wyciągniętymi ramiionami, uśmiechnięta z niepokojem w oczach, dopiero gdy pochyliła się nade mną i przytuliła głowę do pierśi wyszeptała:

- Guteczku. Mój synku.

Była to dla mnie niezapomniana chwila.

Ścisnąłem ją i całowałem jej dłonie i chyba mało brałowało, że bym się popłakał.

Jeszcze dziś stoi mi w oczach jej postać, zbliżająca się do mego łóżka - ubrana w jakąś starą spódnicę i wyciągnięty budy sweter ze zmienioną fryzurą, z upiętymi na uszach dwiema staroświeckimi kukiełkami i z tym żalnym, niepewnym uśmiechem na twarzy. Może jadąc tu wyobrażała sobie, że ze mną jest dużo gorzej niż to wynikało z mego listu i relacji Basi, że coś przed oczami ją ukrywają. Roztkliwił mnie ten Jej niepokój o mnie i ten śmieszny kamuflaż w stroju, aby uchodzić za prostą babę, a nie elegancką panią z miasta.

Matka pozostała ze mną przez parę dni i oczywiście przejęła w swe ręce wszystkie sprawy związane z moją osobą. Ona to zauważyła mijając mnie w Łódku, że moja prawa noga jest krótsza od lewej, co mnie wtedy zbytnio nie zaniepokoiło, bo sądziłem, że wynika to z jej ułożenia w unieruchamiającym opatrunku. Niemniej zdecydowaliśmy, że Matka wróci do Wilna i postara się o lekarza, najlepiej chirurga, który zbiera mnie na miejscu i w razie potrzeby zostanie przewieziony do miasta do domu.

Po wyjeździe Matki opiekę nadę mną spowrotem przejęła Janka - nieoceniona dziewczyna, który powoli zaczęła traktować mnie jak swoją osobistą własność. Egoistycznie wykorzystywałem jej opiekuńcze nastawienie i przekonarzałem się z nią, a czasem wciągałem w długie rozmowy na różne niekiedy poważne tematy.

Bardzo ją polubiłem - była rozsądną, zrównoważoną i pogodną dziewczyną, którą wspominam dziś bardzo ciepło, chociaż nasze wzajemne stosunki nigdy nie przekroczyły ram wyłącznie przyjaźni.

Każdy gdy zmęczony samotnością prosiłem ją, by dotrzymała mnie towarzysztwa, oświadczyła, że nie ma czasu, bą idzie się wykąpać - może wpadnie na wieczorną pogawędkę. Wtedy leżąc samotnie ułożyłem dla niej taki wierszyk:

- O gdybym ja był
Tą kroplą wody
Co zwilżę Twoje
Dziewezęce jagody
I łaskotliwą pieśczętą spłynię
Po warg dojrzałych słodkim karminie.
A potem perłą po szyi się stoczy
Na kształt twych piersi prężny i uroczy
Izbiegnie po twej atlasowej skórze,
Przy której bledną lilije i róże,
Na biodr twych linią cudownie sklepioną

Jak dzieło mistrza i na twoje łono,
Co jak kwiat wonny swoje płatki stula,
Jak czara wina godna uczy króla!
I po strzelistych udach twoich spłynię
Na uszmar kolan i u stóp twych zginia . -

Kiedy odczytałem Jance swój utwór, dziewczyna ślicznie się zarumieniła, a na jej buzi malowało się zgorzzenie /chyba nieco udawane/ i satysfakcja, którą starała się ukryć.

Przecież nie każda dziewczyna bywa obiektem poetyckich uniesień nawet tak domorosłego poety jak ja!

Docierające do nas wieści i komunikaty niemieckie wskazywały, że front wschodni zbliża się do nas w szybkim tempie i nie ulegał już wątpliwości, że nadchodzące lato przyniesie nam zmianę Niemców na Bolszewików. Budziło to niepokój mych gospodarzy, którzy do obu okupantów mieli podobny stosunek, a "Baskich" obawiali się bardziej. Pamiętano ich zachowanie się w latach 1939-1941, aresztowania, wywózki i zapędzanie ludzi do kolchozów; panowała powszechna obawa, że w niedalekiej przyszłości może się znów to powtórzyć. Gdzieś w głębi duszy kołatała jednak nadzieja, że może teraz gdy formalnie Rosjanie i my Polacy jesteśmy po tej samej stronie, może czerwony terror nie będzie tak bezwzględny. Przyszłość miała rozwieść ten cień nadziei.

Nastały piękne majowe dni. Krzak bzu rosnący pod oknem mego pokoiku zieleniał gęstym listwem, które prawie całkowicie zasłaniało okno; w pokoiku panował zielonkawy półmrok a przez uchylony lufcik wpadały wiosenne zapachy. Coraz trudniej było wytrzymać w łóżku, ale ból w nodze przy każdym śmielszym poruszeniu wskazywał, że kości jeszcze nie zrosły się całkowicie.

Jednego ranka w końcu maja zbudził mnie wystraszony głos gospodarza, który zajrzał do pokoju.

-Niemcy idą! Leż Pan cicho.-

Drzwi zamknęły się. Dobiegł mnie odgłos przesuwania szafy, która miała zamaskować wejście do mojego pokoju, po czym nastąpiła cisza.

Leżałem z bijącym sercem, łowiąc uchem każdy szmer z domu. Z szuflady stolika stojącego przy łóżku wyjąłem pistolet, sprawdziłem, że naboje jest w lufie i wsunąłem go pod koldrę. Czekalem.

Zaczęły ujadać psy. Wydało mi się, że słyszę głos gospodarza krzyczącego na nie, a potem jakiś niewyraźny głos y wewnątrz domu. Wyobraźnia podsuwała mi obraz otwierających się drzwi i ukazującego się w nich żołnierza niemieckiego. Czy strzelać odrazu czy czekać?

Wyraźnie coś dygotało we mnie. - beżem się. Przeleciała myśl o przygodzie "Janika" - może i mnie się uda? Szafa zakrywa drzwi, ale okno zdradza moją kryjówkę - dobrze, że zakrywa je krzak bzu.

Stukanie w szybę poderwało mnie na łóżku, obróciłem się do okna, noga targnął przejmujący ból.

Na szybę ujrzałem twarz gospodarza. Wykrzywił się usiłując coś mi przekazać szeptem, wskazywał gwałtownie palcem. Kilko ostrego bólu w nodze przewróciłem się na bok i pochyliłem ławę przetrzymując okno. - Trzech ich przyszło. Mówią, co z waszej Brygady - pospiesznie szeptał gospodarz - Łaję opaski na rękawie, ale mundury niemieckie. Chcą mówić z Panem.

Nie Niemcy. Swoi! Co za ulga.. Poczuliem, że robi mi się słabo i chyba złość za ten bezpodstawny alarm sprawiła, że nie oklapłem zupełnie.

Byli to chłopcy z mojego plutonu /chyba "Zośka" z dwoma kolegami/; przyszli po grupę nowych ochotników z Wilna i przy okazji postanowili mnie odwiedzić i podrzucić nam trochę zdobycznego cukru. Nie spodziewali się, że napędzą nas takiego strachu; gospodarz tłumaczył się, że zobaczył ich z daleka gdy kierowali się ku jego gospodarstwu a mundury niemieckie wprowadziły go w błąd. Nic przyglądał się dokładnie, nie zauważył biało-czerwonych opasek, bo spieszył się, aby nas uprzędzić i przesunąć szafę.

Potem było dużo śmiechu i opowiadań o losach kolegów, o walkach w Konławie, pod Lelańcami i pod Koleśnikami. Ze smutkiem dowiedziałem się, że polegli w boju żołnierze naszego plutonu "Pepesza" /Orłowski/ i "Chińczyk" /Kunicki/ - lista strat naszej Brygady rosła, ale to przecież była wojna!

W kilka dni potem przyjechał z Wilna mój kuzyn Olutek Skwarczewski - lekarz, który przybył na prośbę matki, aby mnie zbadać. Potwierdził, że kość uda zrosła się nieprawidłowo i prawą nogę będę miał krótszą o ok. 2 cm. Pocięczał mnie, że tak niewielka różnica w długości nóg nie powinna sprawić mi żadnych trudności w chodzeniu, a nieco podwyższony obcas lub kora w obucie zamaskują to kalectwo. Diagnoza ta przygnębiła mnie bardzo, a perspektywa utykania do końca życia wydawała mi się wtedy nieomal niemożliwością.

W obecności Olutka spróbowałem po raz pierwszy podnieść się z łóżka i podpierany z dwóch stron zrobić pierwsze kroki. Pierwsze próby były bolesne, a w dołatkę noga w kolanie okazała się prawie zupełnie sztywna; ta "contractura", jak ją określił Olutek, powinna ustąpić z czasem, a sprzyjać temu powinny gorące kąpiele, masaż i chodzenie.

Kuśtykałem więc oparty na 2 laskach początkowo po mojej izdebce, a potem po domu, aż po kilku dniach mogłem o własnych siłach zejść z ganek i snuć się po obejściu. Wieczorami grzano kilka wiader wody i wiazikiem do koryta /chyba od karmienia świn/, w którym moczyłem w gorącej wodzie to moje sztywne kopyto, próbując je maseżować, ugniatać i zginać w kolanie. Te zabiegi, które przywodziły na myśl wierszyk Boy'a:

....Lektór zaraz wiaął trzy ruble,

Kazał Frania moczyć w kuble....

nie wiele pomagały, ale stwarzały złudzenie kuracji i budziły nadzieję.

Czułem się na tyle dobrze, że należało pomyśleć o opuszczeniu

tego gościnnego domu i przestać dalej narażać moich gospodarzy swoją obecnością.

Moje dokumenty na prawdziwe nazwisko, nie pamiętam już dlaczego, Basia dostarczyła z Wilna do Alteracji, gdzie był stały punkt kontaktowy naszej Brygady. Ten folwarczek był odległy od Malinówki o kilkanaście kilometrów i położony blisko Turgiel w terenie całkowicie opanowanym przez nasze oddziały. Wiosną 1944 r. okolice Turgiel stanowiły "Rzeczpospolitą Partyzancką", gdzie ani Niemcy ani Litwini nie śmieli zaglądać. Spotkać tam można było w biały dzień polskie oddziały nawet niewielkie poruszające się jawnie po drogach pomiędzy dworami i wsiami, w których mieściły się bazy zaopatrzeniowe, magazyny i punkty szpitalne Brygad Partyzanckich.

Rejon ten odległy od Wilna zaledwie o ok. 25 km stanowił całkowicie polską enklawę z naszą administracją i władzą sprawowaną przez siłę Armii Krajowej. W tym czasie Niemcy zrezygnowali już z przeprowadzania tam jakichkolwiek obław czy innych akcji zbrojnych i ograniczali się jedynie do mało zresztą skutecznej ochrony głównych szos i linii kolejowych Wilno-Lida i Wilno-Mołodeczno. W Rzeczpospolitej Partyzanckiej nie pojawiały się też oddziały sowieckie i można się było tam czuć zupełnie bezpiecznie.

W początku czerwca pożegnałem się z całą rodziną moich gospodarzy, którym zawdzięczałem tak wiele; wyczałowałem serdecznie Jankę i Jadzię i odprowadzany błogosławieństwem gospodyni wsiadłem na wóz, który przyjechał po mnie z Alteracji.

Właścicielem tego folwarku była rodzina Czepulonisów, która mimo litewskiego brzmienia nazwiska całym sercem była oddana sprawie polskiej i naszej walce o Wileńszczyznę. To w Alteracji/jakaś ładna staroświecka nazwa./ oddział Tońki po wyjściu z Puszczy Rudnickiej spędził święta Bożego Narodzenia 1943 r. przy stole wigilijnym w atmosferze ciepła rodzinnego i staropolskiej gościnności. Od tego czasu w Alteracji krzyżowały się sprawy naszej Brygady, tu ściągali

z Wilna ochotnicy, docierała poczta i zaopatrzenie. Obaj synowie Władysław i Czesław byli żołnierzami naszej Brygady, a ich rodzice zapłacili za swą działalność wysoką cenę - zostali wywiezieni do ZSSR.

W Alteracji spędziłem zaledwie parę dni, a potem czekając na jakąś okazję do Wilna zatrzymałem się w położonym niedaleko stamtąd domu ojca jednego z moich żołnierzy-bawiącego wówczas w Brygadzie.

Drewniany dom z piętarkiem i oszklonym gankiem przypominał raczej żydowską podmiejską willę niż siedzibę gospodarza, ale było tam wiele miejsca, a przylegający las stwarzał idealne warunki dla spacerów. Długie godziny spędzałem wciągając się z laską po lesie, żeby rozruszać to moje sztywne kolano. Czerwcowe dni były ciepłe i słoneczne a noce jasne i pachnące. Od wschodu dołatywał niekiedy stłumiony pomruk zbliżającego się frontu, a nocą powietrze wibrowało od ciągnących górą samolotów. Lecz tu na ziemi było sielisko i spokojnie, a rodzina gospodarzy nie zdradzała nadmiernego niepokoju w myśl zasady: "Co ma być to będzie". Wszyscy byli urodzonymi optymistami i ludźmi pogodnymi, lecz atmosferę wręcz radosną roztaczała wokół młodsza córka gospodarza Otylka.

Miała około 16 lat i była śliczną brunetką o typie śródziemnomorskim, być może cygańskim.

Czarne oczy, pod prawie zrosniętymi gęstymi brwiami, ocienione długimi wygiętymi ku górze rzęsami, wąski nosek z garbkim i ruchliwymi chrapkami, pełne usta z nieco uniesioną górną wargą nad równymi ząbkami, śniada cera i lśniące głęboką czernią włosy splecione w 2 warkocze, czyniły z niej prześliczną dziewczynę, która wkrótce przeistoczy się w prawdziwą piękność.

Tymczasem łączyła w sobie dziecienną wesołość i ciekawość wszystkiego, bezpośredni sposób bycia z rodzącą się kokieretką, czasem wydawała się dzieckiem, a czasem już małą kobietką.

Jej egzotyczna uroda zdumiewała w tym wiejskim prostym otocze-

niu zwłaszcza na tle matki i starszej siostry- obie były typowymi blondynkami o szaro-niebieskich oczach. Otylka była podobna do ojca i starszego brata Antka; obaj mężczyźni mieli wygląd południowców, choć rodzina była polska i osiadła od dawna w tych okolicach.

W tym domu w atmosferze pełnej życzliwości spędziłem około tygodnia. Sypiałem w małym pokoiku na piętrze, w którym oprócz 2 drewnianych łóżek i małego stolika nie było innych mebli. Wieczorami w kuchni moczyłem swego kulasa w gorącej wodzie w starej blaszanej wannie, a potem stękając i sapiąc starałem się go zginać na siłę. Zabiegi te wywoływały żywą wesołość obu dziewczyn, i pełne współczucia uwagi gospodyni.

W końcu przyszła wiadomość, że do Wilna zawiezie mnie bryczką pani Cierpińska, żona doktora i właścicielka niezbyt odległych Anulizzek, majątku, w którym wiosną 1943 r. kopałem rowy z kilku ukrywającymi się tam chłopakami.

W przeddzień wyjazdu pod wieczór, zmęczony kilkugodzinnym łażeniem po lesie, leżałem w swoim pokoiku nawpół drzemiąc nad jakąś nudną książką, gdy zjawiły się tam obie dziewczyny.

Wesoła rozmowa zmieniła się po pewnym czasie w deklamowanie wierszy Tuwima, których w owym czasie pamiętałem mnóstwo. Otylka siedziała z podwiniętymi nogami na moim łóżku- a jej siostra /nazwijmy ją Anielką/ przysiadła na sąsiednim łóżku. Obecność obu dziewczyn sprawiała mi przyjemność, tkwiły bez ruchu wsłuchane w strofy wiersza. Lśnienie promienia zachodzącego słońca na bujnych włosach Anielki i błyszczące oczy Otylki zasłuchanej w tragedię Piotra Płaksina jawią mi się dziś jak romantyczny obrazek z tej odległej przeszłości.

Dziewczyny zeszyły na dół; zostałem sam ze swoimi myślami. Otylka podobała mi się bardzo, ale była prawie dzieckiem, zato Anielka choć ustępowała jej urodą była pełnokrwistą, młodą kobietą, której widok przywodził na myśl igraszki na sianie.

-Cóż z tego - pomyślałem. I tak jutro wyjeżdżam i niema co zastanawiać się nad niewykorzystaną okazją.-

Zasłrzypiały schody. Ktoś szedł na górę wolno stając po stopniach.

-Przyniosłem podwieczerek-połyszałem głos za drzwiami- Czy można?

Do pokoju weszła Anielka niosąc przed sobą talerz, na którym stał kubek i leżało kilka kromek chleba z masłem. Szła wolno wpatrując się w skupieniu w powierzchnię płynu, starając się nie uронić ani kropli.

-Napewno chętnie napijs się Pan śmietany. Zimna, tylko co przynios-
zam ze sklepu x/ .-

Postawiła podwieczerek na stoliku przy łóżku i oparta dłońmi o jego blat przyglądała mi się w milczeniu. Nieco zbyt ciasna sukienka opinała jej piersi i podkreślała kształt szerokich bioder. Dziękując wziąłem ją za rękę i przyciągnąłem ku sobie. Lekko opierając się siadła na krawędzi mojego łóżka, a potem pozwoliła się objąć i pocałować. Miała chłodne i wilgotne wargi, pachnące mlekiem. Całowałem jej usta, zaróżowione policzki, perkaty nosek usiany drobnymi piegami, oczy przysłonięte powiekami z jasno blond rzęsami. Rozpiąłem jej sukienkę, lecz w żaden sposób nie mogłem wyhuskać jej piersi z ciasno opinającego je stanika. Anielka nie stawiała oporu, nawet gdy sięgnąłem pod sukienkę, aby zdjąć jej majtki, lecz tu napotkałem na nieprzewidzianą trudność.

Owa ostatnia przeszkoda broniąca dostępu do celu okazała się nie- możliwa do sforsowania; majtki z lnianego płótna o nogawkach sięga- jących połowy uda nie dały się w żaden sposób ściągnąć.

Próżno ciągnąłem je i nawet lekko szarpałem, tkwiły na biodrach jak przyklejona. Nie było tam żadnej gumki w pasie, która tak h two zawsze po udach się zsuwa. W końcu moja dłoń myszkująca w ciepłe pod sukienką natrafiła na tasiemkę zawiązaną w pasie na kokardkę i zdołała ją rozwiązać, ale... nadal nie mogłem zsiągnąć majtek. Owa część garderoby miała jakąś przemyślną konstrukcję i broniła dostępu do twierdzy niczym średniowieczny pas cnoty.

Moje bezowocne wysiłki wywołały chichot Anielki, co zupełnie

zbiło mnie z tropa.

-Trzeba i z tyłu rozwiązać- powiedziała.

Po omacku natrafiłem na drugą tasiemkę zawiązaną z tyłu, ale w pośpiechu pociągnęłem za niewłaściwy jej koniec i zamiast rozwiązać kordkę zacisnąłem ją w węzeł. Moje rozpaczliwe usiłowania rozzerwania tasiemki, zacisnęły ten węzełek na amen- sytuacja zdawała się beznadziejna. Zziębnięty, spocony, przewróciłem w końcu dziewczynę na brzuch i drżącymi palcami usiłowałem rozwiązać ten gordyjski węzeł. Nad jej pośladkami drgającymi w paroksyźmie tłumionego śmiechu. Anielka wtaliła głowę w poduszkę i trzęsła się chichocząc, a ja ze sztywną nogą sterczącą poza krawędź łóżka, niczym bukszpryt na okręcie miotany falami, walczyłem z tasiemką gotów niemal pomóc sobie zębami. W końcu udało się, a trud mój został sownie nagrodzony.

Potem gdy Anielka odwrócona do mnie tyłem wkładała te potworne majtki i mocowała je w pasie tasiemkami, sięgnęłem po kubek i nogę z czystym sumieniem oświadczyć, że nigdy śmietana bardziej mi nie smakowała.

© ARCHIWUM Wschodnie

x/ Sklepem na Wileńszczyźnie nazywa się piwnicę wykopaną w ziemi obok domu, w której przechowuje się Produkty żywnościowe.

II/1268/2kw

© ARCHIWUM WSKRSDNIE

A. Dobrowolski

Promienie słońca przenikały przez nieruchome na tle wyjątkowego nieba gałęzie sosen i kładły się plamami na ziemi porośniętej suchą trawą i krzaczkami borówek. W upale lipcowego popołudnia milczący las stał nieruchomo w rozgrzanym powietrzu wypełnionym zapachem żywicy i leśnych ziół.

Siedziałem w skąym cieniu oparty o pień sosny, bosy, w rozchełstanej koszuli, zbyt ociężały, aby unieść rękę i otrzeć pot z czoła. Wokół pod sąsiednimi drzewami tkwiły grupki żołnierzy leniwie rozprawiających lub pogrążonych we śnie.

Nie mogłem zasnąć- było zbyt gorąco. Do wnętrza lasu nie docierał najbliższy powiew świeżego powietrza. Chciało mi się pić, ale moja manjerka była pusta; nie miałem siły, aby wstać i poszukać wody.

-Do wieczora wytrzymam,- pomyślałem- napiję się gdy wyjdziemy z lasu. Tylko dokąd dziś pójdziemy?

Od paru dni kręciliśmy się po puszczy wolno zbliżając się do Niemna w nadziei przepłynięcia na zachodni brzeg rzeki, ale okazało się to trudniejsze niż sądziliśmy. Wiele wiosak w okolicy było zajętych przez Bolszewików, na których natykały się nasze patrole wysłane przez Tońka. Coraz trudniej było zdobyć żywność dla tak dużego oddziału, bo nasze dowództwo unikało bezpośredniego starcia, co mu się, jak dotychczas, udawało. Ale na jak długo?

Wiele to dni minęło od opuszczenia Wołkorabiszek? Chyba 6 lub 7. Nie byłem pewien daty dnia dzisiejszego: 23 a może 24 lipca? 26/6
W myślach próbowałem odtworzyć bieg wypadków, które przywiodły mnie tutaj. Pożegnanie z Matką i opuszczenie Wilna, dotarcie 17 lipca do Wołkorabiszek- miejsca postoju naszej Brygady, powitanie kolegów pełnych nadziei na przekształcenie nas w regularny pułk piechoty, który podejmie walkę z Niemcami u boku naszych nowych żołnierzy- jakie to dziś wydaje się odległe.

Przed oczami jawiła mi się nasza Brygada ustawiona w wyrówna-

nych szeregach na łące za wsią czekająca w promieniach słońca na przegląd przez generała sowieckiego, nastroj podniecenia nie wolny od niepokoju wywołanego głęboko zakorzoną nieufnością do poczynań Sowietów, zapewnienia dowództwa, że generał „Wilk” dogadał się z Armią Czerwoną, że po przeformowaniu i przebrojeniu oddziały nasze wyruszą na front- wszystko to nadawało memu wspomnieniu owego poranka barwę radosnej nadziei. Nadziei tak krótkotrwałej!

Potem, gdy goniec przyniósł wiadomość o aresztowaniu naszych dowódców w Boguszach- alarm i wymarsz pod dowództwem Tońka do Puszczy Rudnickiej, całonocny, pośpieszny marsz w kolumnie przemieszanych oddziałów, w nastroju niepewności, gniewu na przewrotność Sowietów, sprzecznych wieści przebiegających szeregami żołnierzy, zmęczenie i ból nogi, zdobycie wierzchowca i przeciskanie się konno wśród wozów taborowych w obawie, aby się nie zgubić, nie stracić kontaktu z naszymi chłopcami- wszystko to spłatało się w mej pamięci w ciąg krótkich migawek, nad którymi panowała myśl "Co dalej? Czy będziemy się bić z Sowietami?"

A potem nadszedł ten ranek w puszczy i postój wśród rzadkich sosenek i krzaków jałowca, nisko krążący kukuruźnik, biała chmura spływających z góry ulotek, przemożna chęć pociągnięcia serii po przelatującym samolocie, rozmowy raz pełne zdecydowania, aby kontynuować walkę, a inne wypełnione wątpliwościami i zniechęceniem. Bezskazywanie na decyzję radzących pod drzewami oficerów, a potem wieść o rozformowaniu oddziałów i daniu wolnej ręki żołnierzom w podjęciu decyzji o składaniu broni lub dalszej walce. Rozmowa z Tońkiem, który zbiera ochotników do marszu na zachód.

Wtedy podjąłem decyzję- nie składam broni i nie opuszczam oddziału. Dziś nie wiem, wiele w niej było wściekłości i protestu przeciw temu, co działo się wokół mnie, a wiele wiary w sens dalszej walki. Napewno kierowałem się pragnieniem zachowania broni, która dawała mi możliwość wyboru dalszej drogi; nie mogłem pogodzić się z myślą o bezwolnym poddaniu się biegowi wypadków, gdy bezbronny opuszczę las i będę zdany na łaskę lub niełaskę bolszewików.

Podjąłem ryzyko mimo nie w pełni sprawnej nogi i trudności w chodzeniu /poruszałem się o lasce/, ale miałem nadzieję, że długie marsze rozruszają w końcu moje sztywne kolano.

Żegnając się z kolegami składającymi broń i wracającymi do domu, a takich była większość, skompletowałem swój rynsztunek: Fiński automat, który otrzymałem w Wołkorabiszkach, wymieniłem na niemieckie MP z 6 pełnymi magazynkami umieszczonymi w dwóch brezentowych futerałach umocowanych na pasie. Ponadto wziąłem dwa pudełka, to znaczy 100 nabojów 9mm. pasujących i do automatu i do mojego pistoletu FN, do którego miałem dwa pełne magazynki. Dwa małe obronne granaty w zgrabnej torebce, lornetka, busola, mapnik, chlebak, manierka i niemiecka plandeka uzupełniały mój ekwipunek. Laskę zaopatrzyłem w pętlę zakładaną na przegub ręki, co pozwalało mi na strzelanie bez utraty mej podpory. Angielska krótka kurtka, pas z koalicijką, wygodne buty i polówka na głowę to było wszystko, czego potrzebowałem wyruszając na nowy etap mego wojowania.

Wieczorem na polanie zebrali się wszyscy, którzy zdecydowali się nie składać broni. Nie było nas wielu- około dwustu, przyczym tylko część należała do naszej Brygady; resztę stanowili żołnierze z różnych innych oddziałów. Tworzyły się mniejsze i większe grupy- każdy trzymał się swego macierzystego oddziału i swoich dowódców.

Z mego dawnego plutonu było nas zaledwie kilku, więc przyłączyliśmy się do resztek II plutonu Zygmunta i staraliśmy się trzymać razem. Tabory, wozy i konie pozostały na polanie, a żołnierze poza bronią zabierali jedynie najniezbędniejsze rzeczy osobiste, aby nie obciążać się w marszu.

Gdy o zmroku nasza kolumna zanurzała się w lesie, za nami pozostały grupki rozbrojonych żołnierzy wolno rozchodzące się w różne strony. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że to była klęska wileńskich brygad Armii Krajowej i koniec zorganizowanego wysiłku zbrojnego. A przed nami- niewiadome.

Przez całą noc szliśmy marszem ubezpieczonym kłucząc leśnymi dro-

gami pomiędzy rzadko rozszaneml puszczanłsklem osadaml. Był juź jasnł dzień, gdy padł rozkaz postojul. Wystawlono ubezplęczenla, a zmęczeni ludzle pokładl slę pod krzakaml leszczlnly, młędy którłml wykrylłml starę, nawpół zawalone zlęmlankl jaklegoś opuszczonęgo obozul partylzanckęgo. Nle rozpalalłml ognlsk, lecz kaźdy wycłagnął z chlebaka coś do jedzenia- resztkl zabrane przed wyruszenlem w drogę, a potem moścłł slę do snul.

Nagle rozległł slę strzałyl. To ubezplęczenle zareagowalł na zblłżanle slę nieprzyjaclela. Grzechotanle serll podrywalł zmęczonech żołnlerzy- jednł bleglł w klęrunku strzałów, lnnl stalł nlezdęcydowanł czekajęc na rozkazy. Pośplęsznlę wkładalł ten całł wojannł rylsztnęk, którł zdążyłłm zdjęć z slęble gotujęc slę do wypoczynku, klędy przybległ gonlec z rozkazem wycłofylwanla slę na zachód, w klęrunku przęclwnym od odgłosów walkl. Ruszylłml dość bezładnlę przedzlerajęc slę przez krzakl, a za naml klaskalł pojedyncze strzałyl karablnowe. W mlarę jak oddalalłml slę od mlęjsca postojul, strzałyl rzędkl l przycłchalł, zapewne Bolszewlcy zatszylmal slę l czekajęc na poslłkl strzelalł jednle na postrach.

Szłlłml przez wllgotny, mlęjscaml podmokłł las usllujęc trzymać slę razem l nle pogublć w zaroślach. Gdy las skończył slę, zajaśnlalł przed naml otwartal przęstrzeń, bagnlsta łękal z pojedynczyml krzakaml łozyl. Poprzęcznie do klęrunku naszęgo marszul bległal grobla, po któręj cłagnęłł oddzlałyl z biało-czerwonęml opaskaml na rękawach. Wśróđ nllch konno jęchalł klłku oflcęrow w polskllch mundurach, dalej para konl cłagnęłal dzlałko ppanc. otoczone przez partylzantów, jakleś wozy grzęzłyl w błęclę drogl popychane przez żołnlerzy. Wszylcy śplęszył slę, podblegalł, woźnlce okładalł konle bataml- wojsko w pośplęsznym odwroclę, w marszul ku błękltnlejęcej w oddall smudze lasul.

Nle dołęczyłłml do nllch, lecz poszłłml skrajem lasul wylblerajęc własnę drogę w klęrunku połudnlowo-zachodnlm z zamlarę przedostanla slę do Puszczy Rusklęj.

Do puszczy dotarlłml po klłku dnllch maszerujęc głównle nocę, a

dnie spędzając w osadach położonych zdala od głównych tras komunikacyjnych. Patrole wysyłane z zadaniem rozpoznania drogi często meldowały obecność Sowietów stacjonujących w wioskach; musieliśmy je omijać skrycie nie chcąc doprowadzić do starcia.

Około 50-cio kilometrowy gęsto zamieszkały pas pomiędzy Puszcą Rudnicką i Puszcą Ruską udało nam się przebyć bez walki. Jedynie wczesnym, mglistym porankiem w okolicy, w której w 1863r. walczył oddział powstańców, co upamiętniał stojący na płaskim wzgórzu krzyż Narbutta, doszło do krótkiej wymiany ognia. Polegli w niej dwaj szeregowcy- żołnierze którejs z oszmiańskich brygad. Zdecydowane natarcie poprowadzone przez Zygmunta zmusiło Bolszewików do wycofania się i otworzyło nam drogę ku leśnym ostępom.

Przez kilka ostatnich dni kluczyliśmy po puszczy wolno posuwając się ku zachodowi. Coraz trudniej było zdobywać pożywienie dla oddziału, który topniał z dnia na dzień, lecz liczył jeszcze ponad setkę żołnierzy. Poczucie niepewności i osaczenia oraz brak zdecydowanych działań bojowych osłabiały wiarę w sens dalszego trwania w lesie i wielu ludzi pod różnymi pretekstami zwalniało się z oddziału i wsiąkało w teren. Ten stan powolnego upadku morale dotychczas dzielnych i zdecydowanych żołnierzy znałem z września 1939 r., z moich pierwszych partyzanckich doświadczeń w oddziale Dąbrowskiego. Coraz mniej przekonująco brzmiały w czasie odpraw słowa Tońka, który żywił jeszcze nadzieję na przeprawienie się oddziału na zachodni brzeg Niemna, dotarcie do Generalnej Guberni i dalszą walkę z Niemcami.

Przed paru godzinami spotkaliśmy niewielki oddział "Frycza" Świącickiego, który, tak jak i my, przywędrował z pod Wilna i dotarł aż do nadniemeńskich lasów, lecz musiał się cofnąć na wschód, bo doszedł do przekonania, że nie uda się przedostać za Niemen- wszystkie miejscowości po obu stronach rzeki były jakoby zajęte przez Sowietów, a w la-

/ fakt ten, który umknął mej pamięci, podają według relacji J. Gillerna "Śwista", który brał udział w natarciu na Sowietów.

sach biwakowały nieprzyjacielskie oddziały. Jeżeli tak było naprawdę, to sytuacja nasza nie przedstawiała się najlepiej. Należało się spodziewać, że prędzej lub później Czerwoni przystąpią do oczyszczania Puszczy Ruskiej, w której znalazło się wiele oddziałów partyzanckich z Wileńszczyzny i Nowogródziny. Wtedy będziemy musieli podjąć walkę i nawet jeżeli uda się nam przebić przez pierścień obławy, to nie wiadomo by było, dokąd wycofać się. Wracać do Puszczy Rudnickiej, czy przedzierać się na wschód do Puszczy Nalibockiej? Nie miało by to większego sensu i zastanawiając się nad tym, dochodziłem do wniosku, że w końcu dojdzie do rozformowania oddziału i powrotu do domu, co miało by charakter ostatecznej kapitulacji. A na to nie miałem najmniejszej ochoty.

-Śpisz?- nade mną stał Zygmunt.

-Tak sobie podrzemuję i myślę, co z nami będzie.

-Klawo. -Zygmunt usiadł obok i wyciągnął swe długie nogi- Właśnie chciałem z tobą o tym pogadać.

Z jego dalszych wynurzeń wynikało, że męczą go te same wątpliwości co mnie i zastanawiając się nad nimi doszedł do wniosku, że tak dużym oddziałem liczanym około stu ludzi nie przedostaniemy się do centralnej Polski. Rozmawiał z kilku swoimi żołnierzami i powstał projekt, aby utworzyć małą grupę zdecydowanych partyzantów i próbować przebijać się na zachód na własną rękę. Właśnie wraca od Tońka, któremu przedstawił swój zamiar prosząc go o zezwolenie na oddzielenie się od oddziału i bez trudności uzyskał jego zgodę.

No, i chciałem cię zapytać, czy poszedłbyś z nami? Pójdzie "Wiktor", "Świst", "Kizak", "Orwid", "Kukułka", może jeszcze trzech lub czterech... Dziesięciu, dwunastu to byłoby w sam raz.

-A nie boisz się, że nawalę z tą nogą? Trzeba będzie zdrowo zasuwać, a ja jeszcze nie bardzo...

-Jak tu dolazłeś to i dalej dasz sobie radę. Ryzyk-fizyk!- dodał- Noe co, idziesz?

-Idę.- zdecydowałem się- Kiedy chcesz ruszać?

-Dzisiaj. Nie ma na co czekać. Rozejrzę się, może jeszcze ktoś będzie chciał z nami... Wiedziałem, że się zgodzisz, i zobaczysz, jeszcze sobie zdrowo popijemy w Warszawie.

Wkrótce nasz oddział był gotów do drogi. Zebrało się nas piętnastu. Oprócz pięciu wymienionych przez Zygmunta dołączyli jeszcze do nas: "Pająk", "Władek", "Storczyk", "Baryka", "Dąbek", "Okoń", "Warszawiak" i "Budrys". Ten ostatni nie był z naszej brygady i wiedzieliśmy o nim tylko to, że jest oficerem z garnizonu wileńskiego. Większość z nas albo pochodziła z centralnej Polski, albo miała tam rodzinę; zaledwie kilku było rodowitymi kresowiakami.

Ustaliliśmy, że dowódcą grupy będzie Zygmunt, a ja będę jego zastępcą. Ktoś wręczył mi mapę "trzechsetkę" obejmującą teren Suwalszczyzny i Białostockiego; okazała się wielką pomocą w naszym marszu na zachód.

Pożegnanie z oddziałem było krótkie. Tylko życząc nam powodzenia każdemu z nas uściśnął dłoń, a my wszyscy, jak i koledzy pozostający w puszczy, zdawaliśmy sobie sprawę, że drogi nasze rozchodzą się może na zawsze; nad takim rozstaniem unosi się cień niepokoju i smutku.

Nasza grupa opuściła miejsce postoju oddziału późnym popołudniem i posuwała się marszem ubezpieczonym duktem leśnym biegnącym prosto na zachód. Minęliśmy słup stojący na skrzyżowaniu z leśną drogą z tabliczką skierowaną ku niedalekiej gajówce. Napis "Pohorenda" utkwiał w pamięci "Śwista" tak mocno, że pozwolił nam w wiele lat po wojnie ustalić miejsce rozstania z resztkami naszej Brygady. Pozostawiając Grodno na południe od osi marszu podążaliśmy ku Niemnowi starając trzymać się większych kompleksów leśnych, z takim wyliczeniem, aby dotrzeć do Puszczy Augustowskiej. Las był naszym sprzymierzeńcem, o którym mówią słowa partyzanckiej pieśni:

I szumi stary las

Przyjaciół, wierny druh

W swym cieniu skryje nas,

Że nie dostrzeże żaden wróg.

To dla nas sosen śpiew

I urok, co w nim tkwi,
Bo wsiąkła w leśny mech
Nie jedna kropla naszej krwi,

Już przeszło godzinę posuwaliśmy się brzegiem wąskiego jeziora, które zagrodziło nam drogę. Byliśmy wypoczęci, bo część nocy i cały ranek przespaliśmy w lesie oraz najedzeni, bo mieliśmy chleb i słoninę, którą dostaliśmy od życzliwych nam ludzi w gajówce, dokąd zwabiło nas szczekanie psów. Teraz musieliśmy zboczyć ku południowi nie mogąc przedostać się na drugą stronę wąskiego i długiego jeziora; brak mapy tych okolic nie pozwalał odgadnąć, jak wiele będziemy musieli nadłożyć drogi, aby ominąć tę przeszkodę.

Ubezpieczeni przez dwóch szperaczy szliśmy rozluźnieni poprzez puszcę bezludną i cichą w promieniach lipcowego słońca. Lekki powiew ciągnący od wody mile chłodził nasze twarze; czuliśmy się jak na harcerskiej wycieczce, a nie w marszu w pełnej gotowości bojowej.

Do zapachów rozgrzanego lasu wmieszał się w pewnej chwili ledwie uchwytny zapach dymu, który po pewnym czasie przybrał na sile. Coś paliło się w lesie. Pomiedzy drzewami pojawiła się sinawa mgiełka, która wolno zasnuwała wszystko wokół nas. Zmatowiałe słońce wisiało w górze jak srebrny pieniążek, a cienie wielkich sosen już nie leżały na ziemi, lecz rozpływały się ciemnymi smugami w zamglonym powietrzu.

Nie ulegało wątpliwości - przed nami płonął las. Iść dalej, czy zawracać? Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że idziemy naprzód, bo może prześліźniemy się pomiędzy ogniem i wodą, zanim pożar dosięgnie jeziora. W ostateczności będzie można wejść do wody i posuwać się między trzciniami, które zielonym pasem rosły w płytkiej wodzie.

Wkrótce doszły nas odgłosy pożaru. W gęstym dymie, który zatopił wszystko wokół nas, słychać było trzask palących się gałęzi i syk płonącej ściółki. Po ziemi wiły się migotliwe ogniki; krzaki jałowca płonęły strzelając iskrami, a w powietrzu latały smugi sadzy i siwe kłacze-

ki popiołu, które osiadały na naszych mundurach i oblepiały spocone twarze. Czuliśmy gorący dech pożaru. Zeszliśmy nad sam brzeg jeziora, po którym snuły się smugi dymu. Nagle o kilkadziesiąt metrów przed nami z płonącego lasu wyskoczył jeleni jednym susem wpadł do jeziora. Z wysoko uniesionym pyskiem, z rogami nieomal położonymi na grzbiecie biegł roztrzacając trzciny a z pod jego racie tryskały strugi wody. Czekałem aż cały zanurzy się w falach jeziora i popłynie ku drugiemu brzegowi, ale rogowiec biegł dalej i dalej, a woda nie sięgała mu nawet do brzucha. Sylwetka biegnącego zwierzęcia malała w oddali, a po wodzie rozchodziły się smugi fal. Jeleń dotarł do przeciwnego brzegu i zniknął w lesie.

-Patrzcie jak tu płytko!- ktoś zawołał- Rebiata, smarujemy na tamten brzeg.

Pierwsi jak zawsze poszli szperacze- nie wiadomo kto może kryć się w tamtym lesie. Z butami pod pachą, z wysoko zakasanyimi spodniami weszliśmy w wodę, która w najgłębszym miejscu sięgała nam nieco ponad kolana. Dno było piaszczyste, a woda mile chłodziła nasze spocone ciała. Płonący las widziany z tego brzegu jeziora był okryty chmurą dymu, którą lekki wiatr z nad wody zwiewał wgłąb lasu. Z tej odległości nie dochodził do nas trzask płonących drzew i jedynie lekki zapach spalenizny, może wydobywający się z naszych mundurów, uświadamiał nam, że ogień już nie zagraża. Można było wysuszyć przemoczone spodnie, wypocząć, a potem ruszyć w dalszą drogę.

Od napotkanego w lesie chłopca dowiedzieliśmy się, że od Niemna dzieli nas około 5 km. Wyjaśnił nam jak dotrzeć do rzeki między dwiema wioskami zajętymi przez bolszewików lecz powiedział, że trudno będzie przeprowić się nam na drugą stronę, bo wszystkie łódki zabrali Rosjanie; wielu z nich kręci się po okolicy w poszukiwaniu jedzenia i samogonu. Miejscowa ludność jest wystraszona. Nikt o zmroku nie wychodzi z chałupy i nikt nas nie wpuści nocą pod dach. Nie brzmiało to zachęcająco, ale nie mieliśmy wyjścia- trzeba było próbować.

W lesie doczekaliśmy nocy. Wolno, często przystając i nasłuchując ruszyliśmy ku rzece. Nie baliśmy się spotkania z niewielkim patrolem; byliśmy dobrze uzbrojeni i pewni siebie, zwłaszcza, że wokół był las i w razie strzelaniny można było wycofać się i próbować w innym miejscu. Noc była jasna, a na bezchmurnym niebie wolno przesuwał się wielki księżyc- była pełnia. Po paru godzinach marszu drzewa rzedyły i posuwając się pomiędzy rzadkimi krzakami wyszliśmy na szeroką, rozjeżdżoną wiejską drogę biegnącą wzdłuż rzeki. Teren za drogą porośnięty chaszczami stromo opadał w dół, a w dali w świetle księżyca błyszczała szeroka rzeka. Z prawej zaczynały się opłotki wsi, w której monotonie ujadaly psy.

Staliśmy na skraju krzaków naradzając się czy schodzić ku wodzie czy przejść w lewo dalej od wsi, gdy zobaczyliśmy człowieka idącego drogą w naszym kierunku. Kiedy był od nas o kilkadziesiąt kroków, poznaliśmy w nim sowieckiego żołnierza. Szedł wolno, bez broni, w płaszczu narzuconym na ramiona, z gołą głową. Spostrzegł nas dopiero, gdy Zygmunt zastąpił mu drogę.

-Stoj! Ruki w wierch!

Żołnierz zatrzymał się zaskoczony i uniósł ręce nad głowę. Płaszcz zsunął mu się z ramion i upadł na ziemię. Zobaczyłem płaską, brunatną twarz Azjaty i ciemne oczodoły pod niskim czolem.

- Ne ubiwaj menia! Ne strelaj!

Mówił dziwnym akcentem- był przestraszony. Zygmunt wziął go za gimnastorkę i pchnął z Jrogi między krzaki.

- Opusti ruki.

Bojce zobaczył nas i wydawał się jeszcze bardziej przerażony.

- Ne ubiwajte menia! Ja ne Ruskij- ja Tadżyk.- powtarzał- Ja Tadżyk.

Zaczęliśmy go wypytywać, kto jest w wiosce. Odpowiadał pośpiesznie na wszystkie pytania: w chatach i stodołach spali żołnierze, a po wiosce chodził patrol. Nie przypominam, czy wyjaśnił nam, co robił na tej drodze sam w środku nocy. Kiedy Zygmunt kazał mu położyć się na

ziemi, wystraszony zaczął znów prosić, aby go nie zabijać.

- Ja nie Roskij, ja Tadżek - powtarzał w kółko - Nie ubiwajte, praszu, nie ubiwajte!

Kazaliśmy mu nakryć głowę płaszczem i leżeć bez ruchu przez godzinę. Jak ruszy się - zabijemy.

Potem cicho ruszyliśmy skrajem drogi w stronę przeciwną od wioski, a po przejściu około kilometra zeszliśmy zboczem nad wodę. Rzeka płynęła cicho srebrząc się w księżycowym świetle. Poszliśmy pod prąd rozglądając się i wyszukując po krzakach w nadziei, że znajdziemy coś, co pozwoli na przepłynąć na drugą stronę, ale brzeg był pusty - żadnej łódki lub chociażby kłód drewna, z których można by było związać tratwę. Dopiero po parogodzinnym łazeniu nad wodą zobaczyliśmy w górze na zboczu samotne gospodarstwo. Otockyliśmy chatę i przy ujadaniu psa zaczęliśmy pukać w okno chcąc wywabić gospodarza. Słyszając polską mowę chłop uchylił w końcu drzwi i wpuszczył paru z nas do środka. Gdy zorientował się, kim jesteśmy, przyznał się, że ma łódź schowaną w krzakach i po namowach zgodził się przewieźć nas na drugą stronę Niemna. Obiecaliśmy za to zegarek, zdobyczny niemiecki zegarek któregoś z nas.

Niedaleko już było do świtu, gdy wyciągnęliśmy z krzaków niewielką łódź i zanieśli ją nad wodę. Była zbyt mała, aby pomieścić nas wszystkich - musieliśmy przeprować się partjami. Płynęłam pierwszy z pięciu chłopakami, a reszta pozostała na brzegu. Na środku rzeki było przeraźliwie jasno, choć księżyc zaszedł i wydawało się, że łódź nasza stanowi świetny cel dla bolszewików. Wiosłowaliśmy tak, aby czynić jak najmniej hałasu i aby prąd nie zniósł nas w dół rzeki. Przeciwległy niski, porośły krzakami brzeg zbliżał się szybko, a gdy doń dotarliśmy, podciągnęliśmy łódź po płytkiej wodzie kilkadziesiąt metrów w górę rzeki i jeden z chłopaków popłynął spowrotem po kolegów. Przeprowaliśmy się w trzech grupach, zaś właściciel łodzi, który zaryzykował przeprowę z ostatnimi chłopakami, zabrał ją spowrotem. Dostał w nagrodę zegarek, ale była to niska cena za ryzyko,

które podjął. W świetle rodzącego się dnia przedzieraliśmy się przez nadbrzeżne łoży przemoczeni do kolan, lecz niemal szczęśliwi - byliśmy na zachodnim brzegu Niemna.

==

Świtało. Na wschodzie niebo pojaśniało; w panującej ciszy każdy dźwięk niósł się daleko. W chłodnym powietrzu nad polem prześwitującym między pniami wisiała lekka mgiełka, lecz bezchmurne niebo wskazywało, że czeka nas upalny dzień.

Zmęczeni całonocnym marszem wlekliśmy się między rzadko rosnącymi sosnami skrajem boru, obok pola kartofli, szukając dogodnego miejsca na spędzenie dnia. Szczekanie psa przywiodło nas do leśniczówki leżącej w lesie nad szerokim na około 50 m. sośniakiem porośniętym gęstwiną młodych drzewek wrzynającym się w starodrzew sosnowego boru.

Przyjęto nas gościnnie, a gospodyni zakrzętała się ochoczo przygotowując posiłek dla niespodziewanych gości. Mogliśmy się umyć i zjeść śniadanie, bo według słów leśnika Sowietci zaglądają tu rzadko - leśniczówka była oddalona dość znacznie od najbliższych wsi.

Kiedy szykowaliśmy się do snu w stodole, czujka wystawiona na skraju lasu zameldowała, że drogą posuwa się w naszym kierunku kolumna samochodów. Ledwie zdążyliśmy porwać broń i swoje rzeczy, gdy doszedł nas warkot nadjeżdżających aut. Nie było czasu do stracenia - pędem wybiegliśmy z obejścia i szurgnęli w sośniak rosnący tuż za płotem. Roztrącając gałęzie, przygięci ku ziemi przedzieraliśmy się w głąb zarosli starając się sprawiać jak najmniej hałasu. Przywarliśmy do ziemi wśród gęstych, kilkuletnich sosenek i zamarli w bezruchu wsłuchaliśmy w warkot zbliżających się samochodów.

Słyszając z odgłosów docierających do naszej kryjówki, samochody wjeżdżały na dwie równoległe leśne drogi biegnące po obu stronach zagajnika i kolejno zatrzymywały się pod drzewami. To nie był mały oddział, bo samochodów musiało być kilkadziesiąt; słychać było nawoływania żołnierzy, hałas opuszczanych klap ciężarówek, trąbienie klaksonów. war-

kot silników i trzask łamanych krzaków i gałęzi. Najwyraźniej żołnierze przybyli tu na postój i wjeżdżali teraz pomiędzy drzewa boru, otaczającego z trzech stron nasz zagajnik. Znaleźliśmy się w samym centrum obozowiska i każdej chwili mogliśmy się spodziewać wykrycia naszej obecności. Nie mogliśmy nic uczynić i pozostawało nam leżeć bez ruchu licząc na to, że nikomu nie zechce się przedzierać się przez zwarte, sprężyste gałęzie młodych świerków.

W napięciu nerwów wolno płynęły godziny. Po pewnym czasie krzątania w obozowisku nieco przycichła, zapewne zmęczeni nocnym marszem żołnierze pokładli się spać. Słysząc było niekiedy urywki głośniejszych rozmów, brzęk wiader i uderzenia siekiery rąbiącej drwa na ogień. Czasem zaszeleściły krzaki - to jakiś żołnierz załatwiał się na skraju naszego zagajnika. Modliłem się wtedy, aby nie przyszła mu chętka wleźć głębiej między sosenki.

Szಂತem naradzaliśmy się, co robić. Doszliśmy do wniosku, że trzeba czekać nocy i próbować wydostać się na przyległe pole ziemniaków i oddalić się od obozu czołgając się brudami. A czekanie było tak męczące! Duszny upał panujący w zagajniku, pragnienie i ciągła huśtawka nastroju między nadzieją i zwątpieniem; stałe poczucie zagrożenia, wlokące się oczekiwanie i przymusowa bezczynność stwarzały trudne do zniesienia napięcie nerwowe.

Pod wieczór las ożywił się: słysząc było śmiechy, pokrzykiwania i różnorodne odgłosy żołnierskiego życia obozowego, lecz dla nas czas włókł się niemiłosiernie. W końcu nadszedł zmrok, a po nim coraz to gęstniejąca ciemność. Niebo musiało być zachmurzone, bo nie było księżycy - można było ostrożnie unieść się i wyjrzeć ponad wieszchołkami sosenek. Płonęło kilka niewielkich ognisk, a blask płomieni oświecał onie i tonął w czarnych gałęziach drzew.

Trzeba było odczekać jeszcze parę godzin, aż w obozie zapanuje nocny spokój i wszyscy pogrążą się we śnie z wyjątkiem wartowników i czujek, które z pewnością kryją się w mroku.

Około północy rozpoczęliśmy przesuwanie się ku skrajowi zarośli

przylegających do pola. Powolutku rozgarnialiśmy w ciemności gałęzie, czołgali między sosenkami, zamierając bez ruchu na każdy szelest lub trzask. Trwało to bardzo długo i przekonałem się wtedy, jak trudno jest udawać Indianina, gdy co chwila coś z rynszpunku zaczepia o krzak, lornetka i automat zawieszony na szyi ciężą ku ziemi, a laska uwiązana w przegubie utrudnia czołganie się. Nakoniec dotarliśmy do skraju zarośli. Droga oddzielająca je od pola była porwta głęboriami koleinami pozostawionymi przez koła samochodów, ale pusta, przynajmniej w zasięgu naszego wzroku. Przebiegaliśmy ją kolejno, przecinali na skos skrawek pola i wpadali pomiędzy sosny rozsiane na skraju boru. Przymykaliśmy od drzewa do drzewa, spięci, by nie nadebrać na suchą gałązkę leżącą w trawie i jej trzaśnięciem nie zaalarmować wartowników. Wokół panowała jednak cisza i po kilku minutach znaleźliśmy się dostatecznie daleko od obozu, aby poczuć się bezpiecznie.

Szperacze wysunęli się na przód i ruszyliśmy w dalszą drogę.

W marszu naszym na zachód, a ściślej mówiąc, w przemykaniu się pomiędzy ~~między~~ wioskami w większości zajętymi przez Armię Czerwoną ustalił się pewien porządek. Oczywiście zdarzały się odchylenia, lecz zazwyczaj nasze dnie i noce były do siebie podobne. Gdy posuwaliśmy się wielkimi rzadko zamieszkałymi kompleksami leśnymi takimi jak Puszcza Rуска lub Augustowska nie obawialiśmy się poruszać przy świetle dziennym.

W drogę wyruszaliśmy po północy, a na wypoczynek zatrzymywaliśmy się późno nocą lub nad ranem. W terenie odkrytym marsze dzienne były zbyt ryzykowne, więc posuwaliśmy się wyłącznie nocą, a dzień spędzaliśmy ukryci w gęstwinie lub w samotnych gospodarstwach położonych daleko od większych dróg i wsi.

W miarę wchodzenia w gęściej zamieszkałe okolice, byliśmy zmuszeni kluczyć między osadami, tracić czas oczekując na właściwy moment, aby przeskoczyć przez szosę, po której przetaczały się sowieckie transporty,

lub długo obserwować zagrodę, gdzie zamierzaliśmy wypocząć albo zdobyć pożywienie. Czasem okazywało się, że w wybranym gospodarstwie są Sowieci - wtedy musieliśmy wycofywać się unikając niepotrzebnej szere-
laniny. Sprawilo to, że tempomaszego przesuwania się na zachód spad-
ło do zaledwie 10-12 km. na dobę.

Wyżywienie zdobywaliśmy od miejscowej ludności. W większości przy-
padków przyjmowano nas przyjaźnie, choć nasze niespodziewane przybycie
było zaskoczeniem dla gospodarzy i niekiedy mogło ich narazić na przyk-
re następstwa. Kilka razy spotkaliśmy się z przejawami szczerzej życz-
liwości i gotowości do udzielenia pomocy, zwłaszcza wśród rodzin zwią-
zanych pracą konspiracyjną z siatką Armii Krajowej. Niemniej były też
objawy niechęci, a nawet wrogości; zdarzało się to w końcowej fazie na-
szej wędrówki przez tereny zamieszkałe przez ludność Białoruską w oko-
licach Białegostoku. Wtedy sami szukaliśmy jedzenia myszując po spi-
żarniach i komorach nie zważając na lamenty i protesty mieszkańców.

Nauczyliśmy się kraść kury z kurników; kiedy część z nas przeby-
wała z gospodarzami w chacie, wchodziło się do kurnika, gdzie na grzęd-
dach spały kury i macając w ciemności łapało się oglupiałe ze smu-
ptaki za łeb i mocno wstrząsało. Kury ze skręconą szyją dechły na-
tychmiast; potem w lesie piekliśmy je nad ogniskiem lub gotowali w
jakimś naczyniu ukradzionym we wsi. Kopaliśmy także kartofle, i zbie-
rali w ogrodach ogórki, pomidory, wódkiew i jabłka. Często bywaliś-
my głodni, lecz prawdziwy głód zaczął nam dokuczać w okolicach Bia-
łegostoku, gdzie zagęszczenia sowieckich oddziałów było tak duże, że
nie odważaliśmy się nawet rozpalić ogniska, by upiec wykopane w polu
kartofle.

Na nasze szczęście koniec lipca i cały sierpień były pogodne a
deszcze złapały nas pod gołym niebem zaledwie kilka razy. Nie marziś-
my zbyt, bo przedświty, gdy jest najchłodniej, zastawały nas najczęs-
ciej w marszu, a odpoczynki nocą były zbyt krótkie, aby nasz rozgrza-
ne ciała zdążyły ostygnąć.

Poczucie stałego zagrożenia wyostrzyło nasze zmysły: reagowaliśmy
na każdy szmer, zmianę temperatury powietrza w lesie i w otwartym-

terenie oraz wszystkie zapachy. Szczególnie byliśmy wyczuleni na zapach benzyny i spalin samochodowych- kilkakrotnie ostrzegły one nas przed żołnierzami obozującymi w lesie.

Każdy partyzant, nawet po krótkim przebywaniu w oddziale, nabiera szczególnego stosunku do lasu. Wśród drzew czuje się pewnie - las daje schronienie. To poczucie bezpieczeństwa w borze ~~zagłębiliśmy~~ w czasie naszej wyprawy pogłębiło się w nas wyraźnie i zaczął mu towarzyszyć instynktowny lęk przed otwartą przestrzenią. Dlatego ślęcząc nad mapą tak układaliśmy naszą trasę, aby, o ile to było możliwe, nie oddalać się zbyt od lasów i zarośli nawet kosztem dodatkowych kilometrów. Rodził się w nas instynkt dzikiego zwierzęcia, które zmuszone głodem do zbliżenia się do ludzkich siedzib, musi przełamać w sobie odruch sprzeciwu.

Dla mnie trudne były minuty poprzedzające wymarsz o zmroku, gdy trasa była już ustalona, broń sprawdzona, cały nasz skromny dobytek spakowany i trzeba było uczynić pierwsze kroki opuszczając dzienną kryjówkę i ruszyć w nieznane. Uczucie niepokoju, które rozwiewało się, jak tylko ruszaliśmy w drogę, było tak silne, że jeszcze dziś po wielu, wielu latach, gdy jestem o nadciągającym zmroku w lesie, wraca ono do mnie żywym wspomnieniem.

Wyruszając z Zygmuntem obawiałem się, że moja sztywna noga będzie sprawiać mi wiele kłopotu. Okazało się jednak, że nawet dłuższe marsze znoszę dobrze, o ile droga nie była zbyt grząska lub śliska. Początek drogi był dość trudny, ale w miarę przebytych kilometrów kolano coraz lepiej się zginało, a ja nauczyłem się racjonalnie posługiwać laską. Codzienny wysiłek sprzyjał odzyskiwaniu sprawności ruchowej, a że musiałem płacić za to bólem kolana i łydki, było nieuniknione.

Nad kanał Augustowski, gdzieś w okolicy Rygola, dotarliśmy ran-kiem. Spoglądałem z pomiędzy drzew rosnących na zboczu pagórka na położony na przeciwległym brzegu biały piętrowy dom, w którego szy-

bach odbijały się promienie słońca. Droga biegnąca nad wodą zbliżyła się dwie dziewczyny. Zatrzymane przez naszych chłopców, gły rozpoznały w nas polskich partyzantów, szybko pozbyły się obawy i chętnie udzielały wszelkich informacji. Okazało się, że mieszkają w tym białym domu, lecz że często zaglądają do niego Sowieci. Byłoby lepiej, abyśmy tam nie przychodzili, lecz spędzili dzień ukryci w ziemiankach wykopanych na zboczu pagórka po tej stronie kanału, one zaś przyniosą nam jedzenie. Były wyraźnie podniecone spotkaniem i rolą naszych opiekunek, budziły zaufanie, więc przystaliśmy na ich propozycję.

Ziemianki okazały się kilku płytkimi jamami wykopanymi pomiędzy jałowcami przez wieśniaka jako kryjówka na wypadek zagrożenia walkami toczonymi w okolicy; świetnie odpowiadały naszym potrzebom i po wystawieniu wart rozłożyliśmy się na jodłowych ławkach pokrywających dno ziemianek sprężystym materacem.

Dziewczęta nie zawiodły naszych oczekiwań: zjawily się z garnkami i koszem pełnym wiktuałów. Wspaniale smakowała gorąca zupa i świeżo ugotowane kartofle; chleb, jajka i słonina stanowiły zapas na dalszą drogę. W miejscu tym odpoczywaliśmy przez resztę dnia, a o zmroku ruszyliśmy dalej.

Rankiem dnia następnego, lub może po dwóch dobach, dotarliśmy do leśniczówki Hanus położonej w południowej części Puszczy Augustowskiej. Leśniczy^{*)} i jego żona przyjęli nas gościnnie. Nakarmieni i umyć powędrowaliśmy na dzienny odpoczynek do leżącej kilkaset metrów od zabudowań ziemianki ukrytej wśród drzew i krzaków otaczających leśniczówkę. W domu pozostał jedynie „Budrys”, który postanowił ogolić się, doprowadzić odzież do porządku i dołączyć do nas nieco później. Wyznaczono kolejność wart i po chwili wszyscy chrapaliśmy.

Obudził mnie Wiktor

- Wstawaj! - powiedział - Budze ciebie, bo niema „Budrysa”, który miał być po mnie, a ty jesteś następny, więc smaruj na górę.

- A gdzie "Budrys"?

- Nie wiem. Tutaj go niema. Pewnie siedzi w chałupie albo śpi w sto-

bole.

Nie podobało mi się to. Staraliśmy przestrzegać ściśle uzgodnionego postępowania i nikt dotychczas nie wykłamywał się od tej zasady. Nie można było tolerować samowoli i lekceważenia rozkazów.

- Suchaj, Wiktor- powiedziałem- Ja idę na wartę, a ty wal do leśniczówki i każ "Budrysa" natychmiast wracać. Dowiedz się też, kiedy będzie kolacja.- dodałem.

Wiktor wziął automat i poszedł w dół ku zabudowaniom. Znalazłem dogodnie miejsce, skąd mogłem obserwować szeroki krąg lasu, sam nie będąc widziany. Było już popołudnie, więc za jakieś pięć godzin wyruszymy. Wiedziałem z mapy, że przed nami leżą bagniste tereny nad Biebrzą i zastanawiałem się, czy nie lepiej by było tu przenocować i wyruszyć rano. Nie miałem ochoty tłuc się po nocy po rojstach i błotach, po tym pustkowiu, gdzie napewno nie spotkamy nikogo.

Zobaczyłem wracającego Wiktora. Szedł szybko, obejrzał się, podbiegł kilka kroków - robił wrażenie zaniepokojonego. Wyszedłem mu na przeciw.

- Bolszewicy w leśniczówce - rzucił śpiesznie - Kręcą się po podwórzu, ale nie wiadomo, ilu ich tam jest.

- Cholera!- Zakląłem- Złapali "Budrysa"! Musieli go zaskoczyć, bo nie było strażaków. Budzimy chłopaków.

W chwilę potem wszyscy byliśmy na nogach; opuściliśmy ziemiankę, w której można nas było nakryć jak borsuka w norze i skryli między krzakami na wzgórzu. Aby zorganizować się w położeniu, należało wysłać patrol dla obserwacji Sowieców, a potem zdecydować, czy próba odbicia "Budrysa" ma jakąś szansę powodzenia. Aby rozpoznać sytuację, Zygmunt z jednym z żołnierzy ruszył w kierunku zabudowań obchodząc je z prawej strony, tam, gdzie rosły gęste zarośla. My mieliśmy oczekiwać

*/ Nazywał się Gołębiowski. "Świst" zetknął się z nim w Ostaszku w rok później, dokąd leśniczy został wywieziony przez Sowieców.

na miejscu na jego powrót. Płynęły minuty pełnego napięcia oczekiwania. Nagle z kierunku, w którym zniknął Zygmunt, doleciał odgłos krótkiej serii z automatu i dalej panowała cisza. Wiedziałem, że strzelał Zygmunt, bo grzechot strzałów miał charakterystyczne dla MP tempo. Upłynęło zaledwie parę minut, gdy szelest krzaków oznajmił powrót kolegów. Okazało się, że skradający się Zygmunt nieomal wlaź na leżącego pod krzakiem Bolszewika, który zaskoczony sięgnął po karabin, ale Zygmunt był szybszy. Zdarzenie to musiało zaalarmować żołnierzy i teraz zaskoczenie ich stawało się mało realne.

Zaproponowałem jednak, że spróbuję przedostać się na drugą stronę leśniczówki, aby od strony ogrodu poobserwować chatę i przekonać się, z jak licznym oddziałem mamy do czynienia; wyruszyłem z "Kizakiem" i "Orwidem". Szerokim łukiem okrążyliśmy zabudowania, a potem zaczęliśmy podkradać się do nich z przeciwnej strony. Poprzez gałęzie drzew widziałem dom z gankiem na wysokiej podmurówce i podwórze pomiędzy gospodarskimi zabudowaniami. Z odległości około 200 m. mogłem przez lornetkę rozróżnić wszystkie szczegóły: podwórze było puste, a okna domu mimo upału zamknięte. Wąska droga z obu stron obrośnięta krzewami biegła ku nam wzdłuż ogrodu oddzielając go od lasu.

Oparty o drzewo obserwowałem zagrodę, a "Orwid" i "Kizak" tkwili w zaroślach po obu stronach drogi, kiedy zupełnie niespodziewanie z pomiędzy drzew ogrodu wyłoniło się dwóch żołnierzy z pepeszami i skierowało w naszą stronę. Wolno szli drogą obok siebie z automatami niedbale zarzuconymi na plecy; było oczywiste, że za chwilę spotkają się z nami oko w oko. O wycofaniu się bez zwrócenia ich uwagi nie było mowy - musiało dojść do starcia.

Powiedziałem szeptem:

- Rąbiemy. Niech podejda bliżej.

Kucnąłem za drzewem i oparłem automat o pień. Żołnierze zbliżali się rozmawiając. Patrzyłem na nich wzdłuż lufy mego automatu z muszką na sylwetce idącego z lewa.

- Czekaaj, jeszcze nie, jeszcze nie...- powtarzałem w myśli - jak

dojdą do tego krzaka...Ręce lekko mi drżały.

Nagle tuż obok mnie buchnął strzał - to nie wytrzymał któryś z moich chłopców. W ułamku sekundy zdążyłem pociągnąć za spust, automat zadygotał, a Bolszewik, do którego celowałem upadł na kolana i przetoczył w krzaki. Drugi skoczył w bok i też skrył się w zaroślach. Z przeciwnika zagrzechotała pepesza i kule zaczęły siec gałęzie wokół nas i wzniecać kurz na drodze. Odpowiadaliśmy strzałami w kierunku naszych przeciwników, lecz wiedziałem, że nie możemy wdawać się w dłuższą walkę, bo zaraz mogli pojawić się nowi żołnierze.

- Przerwać ogień! Wycofujemy się.

Odprowadzani strzałami wyczołgaliśmy się do tyłu a nisko pochyleni pobiegli lasem. Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się wśród swoich. Byłem zły, że zbyt wcześnie padły nasze strzały, że nie podpuściliśmy tych dwóch bliżej, ale dziś, gdy piszę te słowa, sądzę, że dobrze się stało. Może zostali tylko ranni, a może nasze kule ich nie dosięgły? Na swej wojennej drodze widziałem tyle niepotrzebnych śmierci i naszych, i wrogów, i tych stojących z boku, przypadkowo wciągniętych w niszczycielski wir wojny.

Po tej utarczce nie widzieliśmy żadnych szans na uwolnienie "Budrysa" i Zygmunt zdecydował, że wycofujemy się w głąb puszczy. Pośpiesznie ruszyliśmy w las, aby dalej od leśniczówki. I wtedy nastąpiła rzecz nieoczekiwana: "Warszawiak" rąbnął karabinem o ziemię i nie zważając na "Świstę", który usiłował go zatrzymać, rzucił się do ucieczki; po chwili znikł nam z oczu wśród drzew. Był to zaskakujący nas objaw zamania. Nerwy "Warszawiaka" nie wytrzymały długotrwałego napięcia a kryzys, którego nie zapowiadało, nastąpił nagle.

Tak więc w dniu tym straciliśmy dwóch kolegów, o dalszych losach których nic mi nie wiadomo.

Resztę dnia spędziliśmy w podmokłym lesie, gdzie pnie olch wyrastały z płytkich rozlewisk, a zapach błota stał w nieruchomym powietrzu. Panującą ciszę z rzadka przerywał rechot pojedynczej żaby albo plusk uschłej gałęzi spadającej do martwej, czarnej wody. Czas dłużył się

niepomierne. Kiedy tak stałem na brunatnych, wystających z wody korzeniach olchy oparty plecami o jej pień, dobiegł z głębi zatopionego lasu przeraźliwy dźwięk, donośny i chrapliwy. Powtarzał się raz za razem jak zwiastun nieszczęścia i wsiąkał bez echa w mglistą szarość zmierzchu. To nawoływały się władcy tej krainy - żurawie.

W gęstniejącym zmroku wróciliśmy do suchego sosnowego lasu. Po naradzie ustaliliśmy kierunek marszu na południe ku Biebrzy, przez którą zamierzaliśmy przeprowić się na zachód od Lipska. Było już ciemno, gdy ruszyliśmy w drogę. Łukiem okrążyliśmy Hanus i z suchego wysokopiennego lasu weszliśmy w coraz to rzadzieją zagajnik, a potem na podmokłe rojsty. Nogi plątały się w kępach żurawin porastających sprężystym kożuchem wszystko dokoła, a pod stopami coraz częściej zaczęła chlupotać woda. Kierując się wskazaniem busoli brnęliśmy naprzód coraz głębiej zapadając się w błoto, przeskakując z kępy na kępę, oganiając się od komarów, których chmura brzęczała nad naszymi głowami, coraz bardziej otumanieni przenikliwym, duszącym zapachem bahunu.

Dyszałem ciężko wyciągając z trudem sztywną nogę z płataniny bagnianych roślin i błota; laska głęboko grzęznąc w bagnie przestała być pomocą, a stała się zawadą, rynsztunek ciążył coraz bardziej. Dobywałem wszystkich sił, aby nadążyć za kolegami i nie opóźnić marszu, lecz przychodziło to mi z coraz większym trudem. Sytuacja pogorszyła się, gdy weszliśmy pomiędzy trzciny i coraz częściej musieli omijać oczka odkrytej wody i płytkie rozlewiska. Kilka razy wypoczywaliśmy na płaskich wysepkach porośniętych krzakami łoży lub w kępach rachitycznych brzózek i olch rzadko rozsianych na bagnie. Byliśmy zmęczeni, przemoczeni do pasa, a mimo to zgrzani i spoceni. Twarze pogryzione przez komary oblepiały nam nitki pajęczyny gęsto rozwieszane między trzcynami. Nie wiedzieliśmy, co jest przed nami i czy uda nam przedrzeć się przez bagna, czy w końcu nie będziemy musieli zawrócić. Dopóki starczało nam sił, parliśmy naprzód ogarnięci jedną myślą, czepiając się nadziei, że w końcu to się skończy, że wyjdziemy na twardy grunt, na który można paść i wydyszeć zmęczenie.

Nad ranem mgła zatopiła wszystko wokół nas. Widoczność spadła do kilkunastu metrów, a cały świat stawał się nierealny. Jak lunatyczni pływacy rozgarnialiśmy jednostajnymi ruchami rąk zagrządzające nam drogę trzciny, a ich suchy szelest, chlupot wody, nasze sapanie i urywane słowa zdawały się wsiąkać w otaczający nas mleczny tuman. Byłem u kresu sił. Najwyższym wysiłkiem woli wyciągałem grzęznące w bagnie, płaczące się w podwodnych roślinach nogi. Ból prawego kolana, drętwienie uda i drobne drżenie obolałych mięśni sprawiały, że musiałem walczyć sam ze sobą, aby nie usiąść bezwładnie w wodzie, obojętny na wszystko, oziębiały ze zmęczenia.

A wtedy nastąpiło coś, co wydało mi się wtedy nieomal cudem: od czoła naszej gromady doleciał okrzyk:

- Kładka! Jest kładka! Chodźcie tu.

Śpiesznie do kierunku, w którym wlekliśmy się leżały między trzcinami dwa drągi oparte o kłody drzewa nawpół zanurzone w błocie. Droga nadziei wiodąca ku suchemu lądowi, lub ku siedzibie człowieka roztaśniała się we mgle.

Z ulgą wdrapałem się na tę drewnianą ścieżkę i stałem na drżących nogach łapiąc równowagę na chwiejnych, chlupoczących w wodzie drągach. Była to oczekiwana chwila odpoczynku, gdy odzyskiwałem siły i wiarę, że nareszcie wygrzebiemy się z tego przeklętego bagna.

Posuwając się kładką dotarliśmy do skrawka lądu stanowiącego suchą wysepkę w morzu trzciny. We mgle przed nami ciemniały jakieś stożkowate kształty, które okazały się dwoma krytymi trzciną szałasami. Ostrożnie zbliżyliśmy się do nich - były puste. Wewnątrz leżała gruba warstwa suchych trzciny zapraszająca do odpoczynku. Zwaliliśmy się na to legowisko i pomimo przemoczonych ubrań prawie natychmiast zapadli w sen.

Okolo południa wartownik zatrzymał mężczyznę, który nadszedł z przeciwnej niż my strony. Był zaskoczony naszą obecnością na tym pustkowiu. Nie pamiętam już, po co przyszedł do szałasu zbudowanego jako schronienie przed nadciągającym frontem. W czasie przyjaznej rozmowy

dowiedzieliśmy się, że przybyły jest członkiem miejscowej siatki A.K. i że w Warszawie wybuchło powstanie. Może byłem jeszcze zbyt zmęczony naszą przeprawą przez bagna i otępiały, ale wiadomość o walkach w Warszawie nie zrobiła wtedy na mnie większego wrażenia. Ucieszyła nas gotowość gospodarza przyniesienia z wioski jedzenia oraz fakt, że znajdujemy się na skraju bagien, które przebyliśmy w nocy i że już niedaleko do Biebrzy, którą można przejść mostem. Wbrew zasadom partyzanckim puściliśmy tego człowieka wolno i nie zawiedliśmy się na nim. Wieczorem zjawił się z jedzeniem tak obfitym, że mogliśmy nasycić nasz głód, a po kolacji, kiedy zaczął padać deszcz, zdecydowaliśmy pozostać tu na noc i zrobić dzień odpoczynku. Z tej decyzji najbardziej zadowolony byłem ja, bo ostatnia noc mocno dała mi się we znaki i zmęczyła mnie jak żaden najdłuższy nawet marsz w moim partyzanckim żywocie.

Zupełnie nie pamiętam naszej przeprawy przez Biebrzę; posłużę się tu relacją "Śwista", któremu przejście to utkwizo w pamięci, bo razem z "Bajakiem" jako szperacze ubezpieczali nasz marsz i musieli pierwsi wejść na most nie wiedząc, czy nie natkną się na sowieckich wartowników. Obawa była uzasadniona, bo po przeciwnej stronie rzeki w ciemności migotało ognisko. Obaj chłopcy z bronią gotową do strzału przeszli most, a gdy zbliżyli się do dogasającego ognia, nie było tam już nikogo, lecz rozrzucone wokół puszki po "swinnoj tuszonce" świadczyły, że biwakowali tu żołnierze. Mieliśmy szczęście, że odeszli przed naszym przybyciem, bo spotkanie takie skończyło by się strzelaniną.

Tejże nocy przeszliśmy przez linię kolejową Augustów - Sokółka, Planowaliśmy przekroczyć nad ranem uczęszczaną szosę z Goniądza do Dąbrowy Białostockiej, lecz straciliśmy zbyt wiele czasu omijając oddziały sowieckie biwakujące w osadach i zaroślach leżących na naszej trasie. Gdy ujrzeliliśmy szosę, było już jasno, a na drodze panował ruch pojazdów wojskowych. Wokół nas rozciągało

się otwarte pole, jedynie na miedzy ciągnęła się wąska smuga niskich krzaków i pojedynczych drzew rosnących w zagłębieniu terenu.

Nie mieliśmy wyboru, trzeba było zdecydować się na spędzenie dnia w tych zaroślach oddalonych od szosy o 100 - 120 m. Przez cały dzień leżeliśmy przykryci plandekami, z (pod których obserwowaliśmy szosę. Droga przejeżdżały samochody i wlokły się kolumny żołnierzy, a my tkwiliśmy nieruchomo w krzakach tak rzadkich, że wystarczyło, by zbliżyć się do nas na kilkanaście metrów, aby wykryć naszą obecność. Dopiero wieczorem, kiedy ustał ruch na szosie, mogliśmy przedostać się na jej drugą stronę i ruszyć na poszukiwanie jedzenia.

Tej nocy wiele czasu zmarnowaliśmy na znalezienie samotnego gospodarstwa, gdzie mogliśmy zjeść gorący posiłek, a potem musieliśmy omijać samochody zgrupowane na bocznej drodze między zaroślami. O obecności Czerwonoarmistów w ostatniej chwili ostrzegł nas zapach benzyny wiszący w nieruchomym powietrzu, dzięki czemu udało się nam cofnąć nie wywołując alarmu. Prawie przez całą noc kręciliśmy się po gęsto zamieszkałej okolicy; stale towarzyszyło nam ujadanie psów dochodzące z położonych wokół wsi. Brnęliśmy przez zagony ziemniaków, przez rżyska i przęzagrochowe ogrody, przekazili przez płoty i odpoczywali w kopach zboża. Noc była bezksiężycowa, nie było gwiazd, więc przemysłaliśmy blisko zabudowań niezauważeni. Było już niedaleko świtu, choć panowała jeszcze ciemność, gdy przecinając pole owsa lub jęczmienia mokrego od rosy zbliżyliśmy się do czarnych drzew zagrządzających nam drogę zwartą ścianą.

Posuwaliśmy się gęsiego całą grupą; szedłem na przodzie zerkając od czasu do czasu na busolę umocowaną jak zegarek na przegubie ręki; fosforyzująca igła kompasowa wyznaczała kierunek naszego marszu. Z głębi lasu na prawo od nas dochodziły jakieś niewyraźne, ledwie słyszalne odgłosy, pojedyncze przytłumione dźwięki na tle jednostajnego szumu, którego nie byłem w stanie zidentyfikować; przed nami jednak panowała kompletna cisza. Kiedy zanurzyliśmy się w lesie, stało się tak ciemno, że aby nie pogubić się każdy z nas musiał uchwycić pas lub położyć rękę

kę na ramieniu poprzedzającego go żołnierza. Dotykając gałęzi zorientowałem się, że posuwamy się wśród młodych dębów. Ponieważ szedłem pierwszy, wyciągałem przed siebie ręce, aby nie obijać się o pnie i ostrożnie stawiałem kroki bojąc się wpaść w jakąś jamę lub wykrot. W ciszy panującej w lesie szeleściły kroki żołnierzy posuwających się za mną w kompletnym milczeniu.

Niespodzianie z ciemności doleciał okrzyk:

- Stoj! Kto idiot?

- Swoj! -odkrzyknąłem.

¿ Kto swoj ?

- Kajok durak spraszysz, kak swoj tak swoj.- wyrwało mi się bez chwili zastanowienia; nawet nie zatrzymałem się ani nie zmieniłem tempa posuwania się. Sunąłem dalej jak automat, czekając aż zaświeci latarka lub padną strzały - nie stało się nic. Po chwili doszły nas jedynie słowa:

- Misza, spiesz ?

- Nie splu. -i odgłos zabijania rak - Uch, chłod, dusza moja, Wolno oddalaliśmy się od sowieckiej czujki skrytej w ciemności - minęliśmy ją w odległości zaledwie kilkunastu kroków; dopiero wtedy poczułem ogarniające mnie podniecenie, gdy zdałem sobie sprawę, że w lesie znajduje się wojsko, a my jesteśmy wewnątrz chronionego terenu.

Posuwając się dalej w tym samym kierunku po kilku minutach wyszliśmy z gęstej ciemności pod dębami na nieco jaśniejszą przestrzeń wysokopiennego sosnowego boru. Stwierdziliśmy wtedy, że jest nas zaledwie siedmiu- reszta pozostała gdzieś z tyłu. Po naradzie prowadzonej szeptem doszliśmy do wniosku, że nie ma żadnej możliwości odnalezienia ich w ciemności / przecież nie można było nawoływać się /, więc po krótkim oczekiwaniu ruszyliśmy dalej. Pomędzy sosnami natknęliśmy się na całe szeregi drewnianych skrzyń ułożonych w stosy. Wsunąłem rękę w szczelinę między deskami i namacałem obłe kształty - były to pociski artyleryjskie. Z prawa z niewielkiej odległości dochodziły

przytłumione głosy i szum pracującego motoru; pomiędzy pniami drzew i gałęziami kuzaków pobłyskiwało nagle światło. Kiedy wysunąłem się z pomiędzy skrzyń, ogarnął mnie tak intensywny zapach świeżego chleba, że nie miałem wątpliwości, że przemysłamy się obok piekarni wojskowej. Posuwając się ostrożnie, aby nie zdradzić się najłżejszym szelestem dotarliśmy do szerokiej drogi, na której było o wiele jaśniej niż między sosnami. Po drugiej stronie siemniały kształty ciężarówek, a z lewa w odległości około 40 m. nad samą ziemią błyszczało nieruchome światło - blask żarówki przenikający przez szczelinę ziemianki. I właśnie stamtąd zabrzmiał okrzyk:

- Stój! Kto idiot?

- ~~Szajka~~ Swoj! - odkrzyknąłem jak poprzednio.

- Parol!

Teraz nie było na co czekać; rzuciliśmy się całą gromadą na drugą stronę drogi. Bez okrzyków "Stój! ~~Szajka~~!", a potem strzałach dochodzących z tyłu, wpadliśmy pomiędzy ciężarówki i podzili na złamanie karku, aby dalej od wartownika. Petykając się o śpiących na ziemi ludzi, obijając się o pnie drzew i jakieś stopy okryte plandekami biegłem co sił starając się nie zgubić Zygmunta. Wpadłem w wykręt i zanim wygrzebałem się z niego, Zygmunt zafknął.

- Zygmunt! Poczekaj - zawołałem niegłośnie - Zygmunt!

Po chwili, przerykując się wśród drzew, zobaczyłem go - czekał na mnie. Rozejrzałem się wokół, byliśmy sami - nie było ani Czerwonoarmistów, ani żadnego z naszych kolegów. Z tyłu dochodziły nawoływania i trzaski, lecz z wolna dźwięki te zamierały i wkrótce zapanała kompletna cisza. Pomyślałem, że jesteśmy już poza obozem, ale zostaliśmy tylko we dwóch z Zygmuntem. Co z resztą? Czy zostali złapani, czy tylko pogubiliśmy się w ciemności?

Pod drzewami robiło się coraz jaśniej - świtało. Należało szybko oddalić się z tego miejsca i poszukać bezpiecznej kryjówki. Ruszyliśmy przed siebie lasem, który zwolna przeszedł w sosnowy zagajnik. E lo-ku między drzewami prześwitywało pole, na którym w równych szeregach

stały kopy zboża. Obaj byliśmy w kiepskim nastroju. Zostaliśmy sami i nie wiedzieliśmy, co stało się z resztą: czy zdołali uratować się, czy wpadli w ręce Sowietów, a jeśli tak, to co ich czeka? Pociesza- liśmy się, że za nami nie było żadnej strzelaniny - trudno było wy- obrazić sobie, że chłopcy nie użyliby broni, przy próbie ich ujęcia.

Było już zupełnie jasno. Od obozu uszliśmy około 5 km., lecz nig- dzie nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego miejsca, gdzie można by było spędzić dzień w ukryciu. Kilkunastoletnie drzewa rosnące dość rzad- ko nie dawały żadnego schronienia, zwłaszcza że nie było pomiędzy nimi żadnego poszycia, żadnych krzaków. W pewnej odległości przed nami leżał pokaźny stos chrustu, a obok rosło kilka świerczków czy też jałowców. Zdecydowaliśmy, że tam spędzimy dzień; jakież radosne było nasze zaskoczenie, kiedy z zarośli i z¹ za chrustu zaczęli wyła- zić nasi zagubieni koledzy: "Wiktor", "Świst", "Kizak", "Orwid" i "Ku- kułka". Ogarnęło nas wszystkich radosne podniecenie - ściskaliśmy się i witali jak po długim rozstaniu, a przecież nie minęły jeszcze dwie godziny, gdy pogubiliśmy się w ciemnościach.

Było nas teraz siedmiu, lecz nie wiadomo, co stało się z "Baryką", "Pajakiem", "Władkiem", "Storczykiem", "Okoniem" i "Dąbkiem".

Dopiero po wojnie, kiedy spotkałem "Storczyka" i "Okonia", dowie- działem się, że grupa ta pozostała w lesie, gdy po okrzyku "Stoj! Kto idiot", część z nas nie zatrzymała się i poszła naprzód. Prosto któryś z nich stracił w ciemności kontakt z idącym przed nim żołnie- rzem i nie pozostało im nic innego, jak cichcem wycofać się z lasu w kierunku, skąd przybyliśmy. Przez cały dzień siedzieli ukryci w sno- pach zboża, a w nocy dostali się do wsi, której mieszkańcy pomogli im schować broń i przedzierzgnąć się w cywilów. Różne były ich losy: "Okon" po wielu perypetiach znalazł się w Ludowym Wojsku, a "Storczyk" został aresztowany i wywieziony do ZSRR, gdzie trafił do obozu w Os- taszkowie. "Pajak" dotarł w strony rodzinne, lecz w końcu lat czter- dziestych urwała się więź między nim i "Okoniem". O losie ~~dwóch~~ po- zostałych nic mi nie wiadomo.

Cały dzień spędziliśmy w tych nędznych krzaczkach przy kupie chrustu nie niepokojeni przez nikogo. Oddział nasz stopniał o połowę, byliśmy zmęczeni trudnymi warunkami marszu, nie tyle fizycznie do psychicznie, wchodziliśmy w gęsto zamieszkałe okolice, gdzie kompleksy leśne były coraz rzadsze, a zagęszczenie wojska duże. A jednak postanowiliśmy iść naprzód w nadziei, że uda nam się nam dotrzeć do Warszawy i wziąć udział w walkach z Niemcami. Wierzyliśmy w nasze partyzanckie doświadczenie i nasze szczęście, od którego na wojnie tak wiele zależy.

Byłem głodny. Głód męczył mnie nieustannie i zdominował wszystkie moje myśli. Wystarczało zamknąć oczy, aby jawiły się obrazy różnych potraw, a rozmowy prowadzone z kolegami prawie wyłącznie obracały się wokół tego, co najchętniej by się zjadło. Minęły zaledwie trzy doby od naszego ostatniego posiłku, a już dawało o sobie znać pewne osłabienie i zmęczenie opanowujące nas nawet po krótkim marszu. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, aby w gęsto zamieszkałej okolicy nasza grupa nie mogła zdobyć jedzenia, a jednak tak właśnie było. Ilekroć próbowaliśmy zbliżyć się do wsi lub osady, zawsze napotykaliliśmy żołnierzy, a w okolicy wszędzie biwakowało wojsko, co nie pozwalało nam na rozniecenie ognia, aby upiec wykopane w polu ziemniaki. Próby zjedzenia surowych kartofli nie powiodły się - mączysta, pachnąca surowizną miazga pożątego ziemniaka była tak ohydna, że nie mogłem jej połknąć. Stale czuliśmy się zagrożeni w tym odkrytym terenie pozbawionym większych lasów. Ostatni kompleks leśny Puszcza Knyszyńska, gdzie czuliśmy się względnie bezpiecznie, pozostał za nami. To tam, w gajówce Budziska, gospodarze uraczyli nas pieczenią z żubra, którego dnia poprzedniego Czerwonoarmiści zastrzelili w rezerwacie i nie zdołali zabrać tej góry mięsa.

Tego wieczoru uświadomiłem sobie, że nazajutrz będą moje imieniny - 28 sierpnia. Pomyślałem, że najlepszym prezentem było by zdobyć kawałek chleba i słoniny, lub choć kilku jajek albo garnka ziemniaków i kubka mleka; wszystkie pragnienia koncentrowały się na pożywieniu.

Było już zupełnie ciemno, kiedy zbliżyliśmy się do gospodarstwa stojącego na skraju wsi w niewielkiej odległości od pozostałych zabudowań. Mimo chęralnego ujadania psów i licznych świateł migocących w oknach sąsiednich chat, okrążyliśmy zagrodę i weszli na podwórze. Ku naszemu zaskoczeniu drzwi nie były zamknięte od wewnątrz i gdy z bronią gotową do strzału kilku z nas wpadło do izby, ujrzeliśmy niezapomniany widok.

Światło wiszącej pod sufitem lampy padało na wielki stół, sporządzony z jakichś desek lub drzwi opartych na dwóch ławach, zastawiony garnkami, misami i talerzami pełnymi różnorodnego jedza. Czegóż tam nie było! Pieczone kury i gęsi, kawały mięsa, zwoje kiełbasy, tłusto polśniewająca kaszanka i buły salcesem, a nieco z boku złociste bułki i kołaczki z kruszonką, jakieś placki i pierożki na pociemniałych blachach.

Zaskoczony tym bajkowym przepychem dopiero po chwili dojrzałem stojące przy chlebowym piecu dwie kobiety i siedzącego na łóżku starego mężczyznę. Przerażeni i onieśmiáli spoglądali na nas jak sparaliżowani - napewno nie wyglądaliśmy sympatycznie.

Na pytania odpowiedzieli zrazu po białorusku, a dopiero po chwili po polsku; okazało się, że przygotowują przyjęcie na mające odbyć się wesele we wsi. Oczywiście nie byli zachwyceni naszą wizytą; z ponurymi minami przyglądali się, jak rzuciliśmy się na przygotowane mięsiwo i jesteśmy przekonani, że życzyli nam w duchu wszystkiego najgorszego widząc nasz wilczy apetyt i patrząc, jak pakujemy jedzenie do naszych chlebaków i kieszeni. Żegnani wrogią miłczeniem opuściliśmy tę zesłaną nam przez opatrność zagrodę i pogrążyli w ciemnościach nocy. Gdy wędrowaliśmy przez pola i brnęli po wiejskich drożynach, nasz szlak znaczyły ogryzione kości. Jeszcze raz los mój okazał się łaskawy i obdarował mnie hojnie w dniu mych imienin roku Pańskiego 1944.

Na dniówkę zapadliśmy w gęstwinie krzaków obok nędznego, małego lasku. Przez sen słyszałem huk przelatujących nisko samolotów, lecz narżarty do granic wytrzymałości spałem do południa. Po obudzeniu ujrzałem wśród nas siedzącego na ziemi młodego mężczyznę, którego rano zatrzymał wartownik i zmusił do pozostania z nami aż do czasu naszego wymar-

szu. Dowiedzieliśmy się od niego, że kryjówką naszą dzieli niecałe 2 km. od wojskowego lotniska polowego; potwierdzały to startujące i lądujące przez cały dzień samoloty. Zaskoczeniem zaś było to, że na lotnisku stacjonują Francuzi, a lotnicy w granatowych mundurach zagląдают do okolicznych wiosek. Wtedy wydawało się to nieprawdopodobne, lecz teraz sądzę, że mogła to być francuzka formacja Normandii-Niemni biorąca udział w walce z Niemcami na froncie wschodnim. Potwierdziła się wiadomość o powstaniu w Warszawie, którego Hitlerowcom nie udało się dotychczas stłumić, i o tym, że front dotarł do Wisły.

Zaczęliśmy zastanawiać się, czy nasz dalszy marsz na zachód ma jeszcze jakiś sens i czy nie należało by zamelinować broń i przedzierać się w cywilów. Od tego jednak powstrzymała nas wiadomość, że o nocnych aresztowaniach dokonywanych przez Sowietów, legitymowaniu ludzi i wywożeniu ich w niewiadomym kierunku. Takie wieści dochodziły już do nas uprzednio, a teraz nasz rozmówca potwierdził je w całej rozciągłości. Nie mieliśmy żadnych dokumentów, więc było prawdopodobne, że bez oparcia w miejscowej ludności łatwo padniemy ofiarą tych akcji nowego okupanta. A żadnemu z nas nie udało się uciec, więc los więźnia w sowieckiej turmie lub łagrze.

Teraz, gdy byliśmy najedzeni i wypoczęci, powróciła nadzieja, że dojdziemy do Warszawy i tam nawiążemy kontakt z A.K. Przez wszystkie lata wojny stolica była dla nas przykładem niezłomnego oporu i wierzyliśmy, że dotarcie do niej ukoronuje nasze dotychczasowe wysiłki i poniesione trudy.

Nasze obciążenie zostało ukarane. Czy to wskutek nadmiaru jedzenia po okresie kilkudniowej głodówki, czy też picia surowej wody z wijanych strumieni i rzeczek, kilku z nas dostało rozstroju żołądka. A może był to efekt przekleństw rzucanych na nas przez ograbionych chłopów i gości weselnych? Wystarczy powiedzieć, że przymusowe kucanie pod krzakami opóźniło naszą wędrówkę, a ofiary biegunki po paru dniach ledwie trzymały się na nogach. Szczęściem znaleźliśmy się w terenie w przeważającej części zamieszkałym przez ludność polską przyjaźnie do nas nastawioną i gotową do pomocy. Mniej tu także było wojska, co pozwalało nam na zatrzymywanie się po wioskach i chronienie się przed deszczem w stodołach

i chatkach. Od Puszczy Knyszyńskiej posuwaliśmy się w kierunku południowo-zachodnim pozostawiając Bielsk Podlaski na wschód od trasy naszego marszu. Zamierzaliśmy przeprowić się przez Bug w okolicy Drohiczyna, a potem skręcić na zachód ku Warszawie, lecz choroba pokrzyżowała nasze plany. Po przekroczeniu szosy Brańsk - Bielsk Podlaski biegunka dotknęła także tych z nas, którzy dotychczas jej uniknęli.

Stało się jasne, że musimy przerwać nasz marsz, poszukać schronienia i poczekać aż powrócimy do zdrowia.

W mgliste przedpołudnie w godnym pożałowania stanie dowlekliśmy się na skraj lasu, z którego widać było położoną o pół kilometra wieś. Od pracującego w polu chłopca dowiedzieliśmy się, że wioska nazywa się Patry-Kłopoty, niema w niej wojska, żołnierze rzadko tu zagląдают i można bezpiecznie zatrzymać się u tatejszych gospodarzy, bo wieś jest polska i "szlachecka".

Zdecydowaliśmy się odpocząć tu i napić czegoś gorącego - o jedzeniu żaden z nas nawet nie myślał.

Wieś przyjęła nas przyjaźnie, a gospodyni, w stodole której zwaliśmy się na snopy zboża, ugotowała mleka i poiła nas naparem z jakichś ziół. Pod wieczór do stodoły przyszło kilku gospodarzy, żeby dowiedzieć się, kim jesteśmy, skąd przybywamy i dokąd idziemy. Rozmawialiśmy z nimi szczerze i po wspólnej naradzie zgodzili się, że zostaniemy we wsi na parę dni, zanim nie staniemy na nogi, oni zaś postarają się zapewnić nam bezpieczeństwo i ostrzedz w razie pojawienia się żołnierzy. My ze swej strony obiecaliśmy, że nie będziemy włóczyć się po wiosce i będziemy cicho siedzieć w stodołach wyznaczonych na nasze schronienie. Oczywiście rozdzielenie się między kilka zagród stwarzało pewne ryzyko, lecz musieliśmy je podjąć nie chcąc narażać jednego gospodarza i obciążać go kłopotami związanymi z naszym pobytem.

Odniosłem wrażenie, że wszyscy nasi rozmówcy byli ze sobą spokrewnieni; wszyscy nosili to samo nazwisko - Kłopotowscy i nie kryli się z niechętnym stosunkiem do Sowietów i do powstającej władzy miejscowej. Choć nie było o tym mowy, podejrzewałem, że albo byli za Niemców w ja-

kiejś organizacji konspiracyjnej albo jeszcze są jej członkami.

My dwaj ze "Świstem" trafiliśmy do ślepego Władka, mieszkającego na samym skraju wioski. Naszym schronieniem stała się niewielka obórka, na strychu której urządziliśmy sobie wygodne legowisko na sianie. Po wciągnięciu drabiny na górę czuliśmy się tam zupełnie bezpiecznie. W półcieniu panującym pod słomianą strzechą nasze leśne wędrowki wydawały się nam tak odległe od wiejskiego bytowania; opuściło nas napięcie spowodowane poczuciem stałego zagrożenia. Z dołu docierały do nas wraz z zapachem nawozu i bydła jakże znajome odgłosy - postękiwanie i chęst słomy, brzęczenie łańcucha, lub chrząkanie świń. Gdyby nie ból brzucha i kurcze kiszki oraz nieuniknione konsekwencje tych dolegliwości /byłoby nie reagowało, gdy z góry coś tam spadało / czulibyśmy się tam jak u Pana Boga za piecem.

W tej obórcie spędziliśmy kilka dni, wieczorami odwiedzając naszych gospodarzy i kontaktując się z kolegami. Po długich naradach doszliśmy do wniosku, że bezcelowe staje się dalsze wędrowanie z bronią w rękę, zwłaszcza że docierające do Patrów - Kłopotów wieści mówiły, że powstanie w Warszawie upadło, a walki wokół stolicy ustały. Należało schować broń, która mogła jeszcze przydać się, zrzucić mundury i przebrać się po cywilnemu w ubrania, które gotowi byli nam dać mieszkańcy wioski. Oni też obiecali zapewnić schronienie w zamian za pomoc w gospodarstwie. W dodatku nie mieliśmy żadnych dokumentów pozwalających na poruszanie się po okolicy i byliśmy skazani na ukrywanie się, zanim sytuacja nie wyjaśni się na tyle, że będziemy mogli opuścić te strony i ruszyć w świat.

Aby nie narażać jednej wioski, rozlokowano nas w okolicy: Zygmunt ze "Świstem" wylądowali w Wólce Biszewskiej, "Wiktor" z "Kukułką" w Lachówce, "Orwid" z "Kizakiem" już nie pamiętam gdzie, a ja pozostałem na miejscu u ślepego Władka. Obaj przypadliśmy sobie do gustu, więc chętnie zgodziłem się pomagać mu w gospodarstwie, bowiem ze względu na swoje kalectwo miał z tym wiele trudności. Moi gospodarze, Zofia i Władysław Kłopotowscy, byli bezdzietnym małżeństwem, miłymi i życzy-

liwym i mi ludźmi, tak że nigdy nie żałowałem mej decyzji pozostania w Patrsch - Kłopotach.

Nie przypuszczałem wtedy, że w tej wiosce spędzę przeszło dwa miesiące, a dalsze koleje mego losu na długo splotą się z tamtymi stronami.